

# 128.











Handwritten text, possibly a library stamp or signature, located at the top of the page.

6. 1. 19.

**MGLAWICA.**

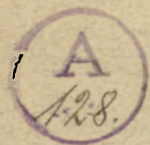


ESTEJA.

— 239 —

# MGŁAWICA

POWIEŚĆ



Tom II.

WARSZAWA.

Nakład i druk S. Lewentala.

Nowy-Świat № 41.



Дозволено Цензурою.

Варшава, 7 Декабря 1894 года.



1. 14. 716/2

## I.

W kilka miesięcy po wyjeździe Drobińskich, Złoczowski, siedząc w pokoju żony, czyta świeżą rozprawę o sztucznych nawozach i robi notatki, kombinując uwagi autora z praktyczną ich doniosłością dla dóbr zlotopolskich.

Halka haftuje wspaniały ornat. Praca jej gustowna, artystyczna niemal, całe godziny pochłania; nie lubi ręcznych robót, ale im się oddaje dla zabicia czasu, dla różnaitości. Jeden ornat tylko, gdy myśl ku tej machinalnej pracy skieruje, przyprawia ją o żywsze bicie serca, pochłania jej uwagę.

Przywiązuje głębsze znaczenie do tej roboty. To na intencję przyszłości. Dyktuje warunki niebu.

— Boże! gotowa jestem uwierzyć w Ciebie, jeżeli wysłuchasz próśb moich!

Zabobonne znaczenie przywiązuje do pracy swojej. Tą pracą dziecko chce sobie wymodlić u Boga.

To znowu myśl jej odbiega od roboty, zatrzymuje się na mężu. Wie, że się kłopotczy; wie, że powodem kłopotu jest Kilański.

Opowiedział jej zajście z administratorem; Halka wcale nie dziwi się postanowieniu Kilańskiego; jej się zdaje, że tak samo postąpiłaby na jego miejscu. Swoją drogą przykro jej myśleć, że, jak z pierwszym lepszym najemnikiem, przyjdzie się rozstać na zawsze z człowiekiem, który obudził w niej żywą sympatyę i stanowił dla niej rozrywkę w monotonnem życiu.

Należy do rzędu kobiet, które zdają się nie uważać, co się w koło nich dzieje, a mało co ujdzie bystrego ich wzroku. Jedno spojrzenie w stronę męża wystarczyło, by wiedzieć, co czyta.

— Złe będzie bez Kilańskiego — pomyślała — lata miną, zanim Czesław obcemu tak zaufa. On ma setki zajęć rozlicznych; gdy przyjdzie jeszcze myśleć o wszystkich szczegółach pospodarskich, to zapracuje się; czasu mu nie starczy!

Jakby w odpowiedzi na myśli jej, Złoczowski przerwał milczenie.

— W kłopotcie jestem — rzekł — trudno mi się zdecydować na zmianę człowieka. Potrzebuję tylko wybierać: tyłu mam gotowych do objęcia posady. Ale ostatecznie nie wiem co począć. Dzięki tobie, nie zrobiłem fałszywego kroku; zatrzymałem Kilańskiego. Wtedy, gdy widok jego drażnił mnie, gdy zaufanie moje było całkiem zachwiane, przestawałem z nim. Teraz, kiedy prawie się oczyścił w moich oczach, przychodzi się z nim rozstać. Młody jest,



gwałtowny, nierozważny; gubi się poprostu. Najlepszy dowód, jak trudno jest dostać posadę korzystną w naszym biednym kraju, to stopy listów, błagających mnie o pracę. Wiem, że on jeszcze nie odpowiedniego nie znalazł; jemu gorzej będzie, niż mnie.

— Pomów z nim jeszcze.

— Pomówię, ale nie wiem, czy to się na co przyda? Pod pierwszym wrażeniem oburzenia, wtedy, gdy odkrył malwersacyę, byłbym się dopuścił czynu zbyt gwałtownego, usprawiedliwionego w ogóle, ale w tym wyjątkowym razie... nie wolno było bezwzględnie prawem się zasłaniać. Ojciec mi go powierzył. Ostatnie jego słowa były: „Pamiętaj o Konstantym.” Ojciec miał inne pojęcia, aniżeli matka moja. Matka nie mogła dąrować matce Kilańskiego jej... upadku.

— Ty znałeś Kilańską?

— Naturalnie, była nieledwie towarzyszką mojej matki. Sierotą była, ale przecież to nie powinno być usprawiedliwieniem złego. Matka miała prawo odepchnąć ją od siebie, ale ojciec mój inaczej sądził. Litością kierował się więcej, aniżeli poczuciem sprawiedliwości. Żałował dziewczyny, zaopiekował się dzieckiem, przywiązał się do niego.

— Nie wiesz kto był?... — zawahała się Halka.

— Jego ojcem?—pytał Czesław.—Pewności nie mam co do tego, ale o ile wiem, to dawny admini-

strator tutejszy, przyjaciel mego ojca, człowiek niezbyt prawy, bardzo lekkiego charakteru. Tak przypuszczam, bo póki żył, zdaje się, że to onłożył na utrzymanie chłopca.

— Jakie to okropne położenie tego biednego Kilańskiego!

— Przykre bardzo. Ostatecznie ojciec mi go oddał w opiekę, umierając; radbym wywiązać się z zadania. Ma u mnie do śmierci korzystną posiadłość. Zżyłem się już z wadami jego; zdaje mi się, że nie jestem fantastykiem, blahemi względami się nie kieruję, a on, choćby znalazł odpowiednie zajęcie, to może je stracić po kilku latach, jeżeli trafi na pryncypała ograniczonego i fantastyka. Jednym słowem, nie wiem, co począć.

— Pomów z nim jeszcze — powtórzyła Halka.

Rezultatem tej rozmowy była druga, również ożywiona, którą Złoczowski miał z urzędnikiem swoim.

Nie przekonał go jednak ostatecznie. Miłość własna Kilańskiego na zbyt wielkie próby w Złotopolu narażoną była; zdawało mu się, że gdzieindziej mniej cierpieć będzie. A jednak nazajutrz zmienił zdanie: kilka słów Halki wystarczyły, by wpłynąć na jego postanowienie.

Z dyplomacją, wrodzoną kobiecie, nie mówiła mu, że powinien zostać przez wzgląd na swoją rodzinę, na siebie samego, że opuszczając Złotopole, sam

więcej traci, niż mąż jej; przeciwnie, ani wspomniała o jego korzyściach. Treścią słów jej było mniej więcej:

— Pan nas opuścić nie możesz. My-byśmy sobie rady bez niego nie dali.

I zwyciężyła.

Przeszło rok mija. Śnieg sypie wielkimi płatami, drogi nie widać, biały obszar ziemi ginie pod białym całunem z nieba, cicho na ziemię zsuwającym się. Niezmierna cisza w powietrzu: śmierć ciszej swych skrzydeł nie rozpościera. Biały, pełen uroczystego spokoju, krajobraz zimowy jest najstosowniejszym tłem dla tej gromadki ludzi, która w tej chwili poprzedza trumnę i idzie za nią.

Naprzód krzyż, wzniesiony po nad głowami ludzi, zdaje się płynąć na płatkach śniegu. Potém ksiądz w komży nuci hymny żałobne monotonnym głosem; śnieg nie pozwala wiernym przyłączyć się do tej pogrzebowej pieśni.

Trumnę niesie czterech mężczyzn. Trumna porządna, ludzie przyglądają jej się z uszanowaniem i, dążąc za nią, szepcą między sobą:

— O! jaki to nasz pan hojny! Jaką to piękną trumnę sprawił naszej Feliksowej! Aż miło leżeć w takiej paradzie!

— A no, juści służyła długie lata.

— Służyła, bo służyła, ale téż po ludzku z nią się obeszli. Od dziesięciu lat ani nogą nie ruszyła,



a nikt nie wspomniał, że darmo chleb je. Staranie miała około siebie, jakby od rodzonej matki. Tak ci na nią chuchali, jak na świętość jaką. Ot co, u takiego pana służyć, dobrze.

— Co dobrze, to dobrze; nikomu krzywdy nie zrobi; „mojego” własnymi *koniami* trzy razy do doktora posyłał i dał na leki.

— Chałupa Marcinowej, jak się spaliła, to dał drzewa, dał robotnika. „Biedna wdowa” — mówił. Ma litość dla biednego.

— A no, juści, dobry pan, ale Wałkowego chłopaka to ci zbić kazał za łapanie ryb w nocy; ze służby go na świat wypędził.

— Po sprawiedliwości: ryby jego.

— Bogać tam jego. Rzekę Bóg stworzył, a ryby w niej to dla wszystkich.

— Nie gadalibyście, Maciejowa; a co to ksiądz mówił na ambonie o rybach o lesie i o łąkach? Wszystko Bóg stworzył, a co czyje, to czyje.

— A no, jedni tak gadają, inni owak. Ja ta nie wiem.

— A nie wypuścili wam krowy, chociaż się koniczyny pańskiej objadła, mało nie pękła?

— Juści, krowa moja, jeszcze-by puścić nie mieli!

— I to prawda, *taki* cudzą koniczynę jeść grzech.

— Grzech, nie grzech; już to Bóg po sprawiedliwości osądzi.

— Oj! osądzi! niedługo czekać i wam, Maciejowo; prędko za Feliksową w drogę pójść przyjdzie: już też i czas.

— Nie wiadomo, komu z brzegu.

— Juści starym, nie trza młodemu miejsca zabierać.

— Albo ja to sto lat mam? Albo ja to komu w drogę wchodzę? A takie sądy Boże, co nieraz gruba, zdrowa baba przed starą chudziną naprzód *pułzie*.

— Nie taka ja ci gruba: są grubsze.

— Cichajta, nie kłóćta się! — przerwała trzecia kumoszka. — Lepiej pacierze za zmarłą duszę zmówić: niech jej ta święta ziemia będzie lekka.

— Dobra była kobieta.

— A no, niezła, albo to takięj trudno być dobrą? Ma co zjeść, ma co wypić, nikt w gębę nie patrzy, nikt do roboty nie pędzi; takiemu dobrze.

Kumoszki przyciszonym głosem mówiły, bo kilka kroków przed niemi, tuż za trumną, szedł pan z panią pod rękę: więc się mitygowano w kłótni, żeby państwo nie usłyszało.

Czesław odprowadził wierną służkę do grobu. Zasnęła staruszka cicho, bez konania, parę dni temu; do ostatniej chwili pan jej dolę osładzał, przyszedł pogawędzić, rozweselić ją trochę.

Halka, stosując się do życzenia męża, pamiętała o wszystkich jej wygodach. Śmierć spełniła swoje zadanie, zabierając ze świata istotę nikomu już niepotrzebną.

Cmentarz niedaleko za wsią leżał, dlatego trumnę niesiono, a państwo Złoczowscy dążyli piechotą po miękkim śniegu; oboje nie obawiali się zimy, codziennie dużo czasu po za domem spędzali.

Kilański z żoną poczuli się również do obowiązku oddania ostatniej przysługi zmarłej. Stara Feliksowa niemal do rodziny należała; wszyscy ją znali i odwiedzali często za życia. Kilański wielkim był ulubieńcem staruszki; oczy jej się śmiały, gdy wchodził do jej izdebki, co rzadko się zdarzało, bo zbyt wiele miał do czynienia. Dla niego śmierć starej sługi ma donioślejsze znaczenie. Gdyby nie ona, do dziś dnia nie byłby wiedział, kto był jego ojcem. Przecież myśl ta dręczyła go ustawicznie; była to myśl tajona starannie przed ludźmi. Nikt nie przypuszczał nawet, jak bardzo człowiek ten cierpiał nad niewytlómaczoną zagadką swego istnienia. Trudno powiedzieć, jak się buntował na jednę z najbardziej wołających o pomstę do nieba niesprawiedliwości. Nie chciał i nie mógł pogodzić się z myślą, że jemu imienia ojca wymówić nie było wolno bez rumieńca wstydu.

Za co miał się wstydzić? Sam nie wiedział, boć nie był winien. Wstydził się jednak, czuł się upoko-



rzonym nad wszelki wyraz, chociaż nie mógł znieść w sobie upokorzenia tego. Nie śmiał pytać. Pamięć o matce byłaby go zawsze powstrzymała. Czuł się parą w społeczeństwie; myśl ta była wiecznie jątrzącą się raną w sercu jego. A jednak prawdy łaknął; byłby oddał część życia, by się dowiedzieć, kto był ojcem jego. Ani przypuszczał, gdy wchodził, w kilka miesięcy po swém ożenieniu się, do izdebki starej Feliksowej, że nadeszła dla niego chwila ważna bardzo, której pragnął całemi siłami.

Staruszka przyjęła go z radością, jak zwykle. Mówił do niej, a ona wpatrzona była w niego, jak w tęczę. Widocznie tajemnica, którą dźwigała od tyłu, tyłu długich lat, gniotła ją zbytecznie, a może też bezwiednie prawie wyrwało jęć się słów kilka; choćby chciała je cofnąć, już nie mogła, a następstwem ich było to, że Kilański zmusił ją do całkowitego wyznania.

Gdy mu się tak przypatrywała z rozczuleniem matki, wyszeptala ledwie dosłyszczanym głosem:

— Mój Jezusieńku! jaki on też do swego ojca podobny, jak miał te lata!

Kilańskiemu krew cała uderzyła do głowy, zerwał się z miejsca, staruszki ręce w swe dłonie pochwycił gorączkowo.

— Co wy mówicie, Feliksowo! — zawołał zdławionym głosem. — Powtórzcie jeszcze! Wy wiecie, powtórzcie! musicie powiedzieć.

Aż się stara przeleżała iskrzących oczu młodzieńca. Trzęsła się ze strachu i nie miała sił ust otworzyć. Przecież, gdy ochłonęła, gdy on zaklinał ją, błagał, prosił, po rękę całował, by mu wyjaśniła zagadkę jego pochodzenia, nie miała już serca odmówić.

— Matka twoja zakazała mi — tłumaczyła się na swoje usprawiedliwienie — przysięgam. A no, chce pan, toć pan ma i prawo wiedzieć, niech tam już Bóg Najwyższy osądzi! Matka harda była! oj! bardzo harda, zanadto; nie wiem, jak taka mogła się dać zgubić. Bóg rozum odebrał, czy co?

I kiwała głową staruszka, wspominając dawno minioną historię, a Kilański z twarzą, na której krew wytrysnąć chciała, słuchał uwag o matce, nie mogąc i nie umiejąc jej bronić.

— Ale bo też — prawda staruszka — trzeba było znać starszego pana, kiedy to jeszcze był młody Żadna się nie ostała.

Kilański ostatnich wyrazów nie słyszał już. Wskazanie ojca w pierwszych słowach się mieściło. Już teraz pojął nareszcie. Więc ojcem jego był ojciec Czesława — „starszy pan,” jak go ludzie nazywali, wspominając dawne czasy.

Staruszka, raz pchnięta na tory wspomnień, mówiła dalej, nazywając młodzieńca po imieniu, to znów, gdy się zapomniiała, paniczem go tytułując:

— Matka twoja hardą była! Umarła dwa lata

po twojem urodzeniu. Ja jedna wiedziałam. Musiała się komuś zwierzyć, bo cóż miało począć biedactwo? Ale od pana nie przyjąć nie chciała. Jak ztąd poszła, kiedy się już ze wstydem ukryć nie mogła, tak tyleśmy o niej wiedzieli. Dopiero, gdy śmierć poczuła niechybną, to do mnie napisała, że jój chłopiec sam jeden na świecie zostanie, że dla siebie to nic nie chce od sprawcy jój nieszczęścia, ale dziecka zostawić nie może głodowi na ofiarę, więc, że list wysyła, nietylko do mnie, ale i do pana, by mu polecić małeństwo.

— Spłakałam się, bom-ci lubiła niebogą, dobre to było i śliczne, tylko takie smutne jakieś. Trochę domem zawiadywała, trochę pani towarzyszyła. Od młodości wychowaną była pod okiem państwa, a że starsza pani, Panie świeć nad jój duszą, nie łatwa kobieta, kapryśna, dumna, ot, zwykle wielka pani, więc to biedactwo niewesołe miało życie. Ani wiedziała, gdzie jej miejsce, czy w salonie, czy między służbą. Ładna była, to panicze „nadskakiwały,” ale najbardziej, gdy wyrosła, to już pan kręcił się koło niej; z oka nie spuszczał. Dobry był dla niej, to go i pokochała.

— Jak go też pokochała, a on jój spokoju nie dał, tak się i źle skończyło. Ja sobie zaraz myślałam: „będzie bieda.” A no, bieda była. A nikt nie wiedział. Pan się okrutnie bał pani; pani była zazdrośna. Kiedy już jawne było światu, że dziewczyna



wstydu się najadła, byłby rad usunąć ją z przed oczu pani.

— Mój ty, Jezu! Co ona lez wylała nieboga, to i skąpać-by się w nich można. Ale najgorzej to ją już bolało, że się pan dla niej zmienił, że jej się chce pozbyć. Aż tu w końcu pani spostrzegła, co się święci, i wypędziła sierotę. Gdyby nie ja, to biedactwo byłoby uśmierciło się nieochybnie. Poszła do spowiedzi. Stary proboszcz, co to już teraz, tak jak i ja, jedną nogą w grobie, pocieszył, o śmierci myśleć nie dał. A znowu był tu pański przyjaciel wielki, dawny rządcą, to on jej pomógł schronienie na czas choroby znaleźć i z głodu umrzeć nie dał, tylko pieniądze posyłał. Widzi mi się, że od pana zapomogę dla niej dostawać musiał, tylko ona od pana nic nie byłaby przyjęła. Aż jej się i zmarło z tej wielkiej zgryzoty. Ciebie na probostwo odwieźli jacyś dobrzy ludziska; proboszcz dał organiście do odchowawania, a dawny rządcą płacił, tylko nie on, a widzi mi się, że starszy pan. Potem niezadługo i starsza pani zmarła i coś tam koło majątku źle się działo, to i drugi rządcą poszedł, a pan wziął cię do dworu; zaopiekował się, mnie oddał. A no, całe miesiące huśtałam cię i bawiłam. Pięć lat miałeś wtedy, a złośnik byleś, strach, co ja miałam! *Taki* odebrali mi ciebie i oddali do miasta na wychowanie. Czes to już wtedy jakie szesnaście lat mieć musiał; wiedział, żeś sierota, udawał też już wtedy opiekuna.

o zuch chłopak był!

I staruszka bezżębnemi usty śmiała się do wspomnień swoich. Nie wiedziała sama: który był droższy jój sercu z pomiędzy tych dwóch synów „starszego pana?”

Kilański słuchał w milczeniu do téj chwili; teraz odezwał się przybitym głosem:

— To on nie wie, że mi jest bratem?

— A zkadżeby miał wiedzieć? Ktoby mu powiedział? Pewnikiem nie wie. Ja nie mówiłam, matka twoja zabroniła. Po cobym mówić miała? Na coby się to zdało?

Więc Kilański wiedział; ale nie czuł się zaspokojonym tą wiadomością: przeciwnie, krzywdę swoją jeszcze głębiej odczuwał. W jego przekonaniu powinien był zajmować zupełnie inne stanowisko. Ile razy nazwisko swoje wyczytał na kopercie do niego adresowanej, lub wymówione słyszał, tyle razy miał ochotę zawołać: „To fałsz! Ja się „Złoczowski” nazywam!” Ile razy pryncypał jego napominał go, lub, zbyt zajęty pracą, która mu czasu na dłuższą rozmowę nie dawała, odprowadzał bez jednego słowa, tyle razy Kilański bunt podnosił przeciwko uświęconemu zwyczajem bezprawiu, którego on padł ofiarą. Ile razy borykał się z trudnościami materyalnemi, mając gusta wyrafinowane, lubiąc otaczać się pięknem, tyle razy spoglądał na szerokie, bogate łany Złoczowskiego, mówiąc w duchu:

— Połowa moją być powinna.

Widząc się w położeniu bez wyjścia, gdy chodziło o spłacenie długów kawalerskich, naruszył kasę pryncypała, w przeświadczeniu, że ma prawo do sum znacznie większych, niż ta, którą zagarnął. Malwersacyi dokonał w sposób tak łatwy do odkrycia, że Złoczowski zdziwiony był nietylko już samym nieuczciwym faktem, ale i naiwnością administratora.

Kilański zaś, w poczuciu krzywdy, nie miał intencji kryć się zbyt mocno z czynem swoim wobec tego, który bratem być mu powinien. Przeciwnie, myślał: albo Złoczowski ksiąg przegłądać nie będzie, bo ma głowę miłością i żenieniem się zaprzątniętą, albo, jeżeli je przejrzy, to odkryje natychmiast nieakuratność. Rozmówi się ze mną, wtedy będę miał znakomitą sposobność, by mu oczy otworzyć, by mu powiedzieć... Tylko nie przypuszczał, że jakoś podług niego samego nawet, źle zrozumiana hardość usta mu zamknie w danej chwili.

Nie! Nigdy nie zdobędzie się na to, by się upomnieć o prawa swoje. Czuje, że praw tych zaprzeczyć mu mogą, a sama myśl takiego zaprzeczenia przyprawia go o bezsilną wściekłość. U kogóż praw tych poszukiwać będzie? Kto mu je przyzna? Dopóki żyła Feliksowa, miał cień nadziei, że, jak wobec niego prawda z ust jej się wyrwała, tak wobec Złoczowskiego wyznać może to, co wie, a wtedy?...

Od chwili, gdy się prawdy dowiedział, jego sto-



sunek do Złoczowskiego nie zamienił się na serdeczniejszy; przeciwnie, i Kilański zdawał sobie z tego sprawę, wiedział nawet, co było tego powodem. Czuł, że z mniejszą cierpliwością przyjmuje teraz uwagi pryncypała, że butnie i hardo stawia mu się nieraz. Ale nie umiał, a może i nie chciał, panować nad sobą pod tym względem. Szczególniej w obecności kobiet, jednej zwłaszcza kobiety, byłby chciał zaznaczyć równość towarzyską absolutną między sobą a pryncypałem swoim. Fatalizm jego mieścił się więcej w teoryjach, niż w praktyce, i nie pomagał mu do znoszenia złych przygód życia. Buntował się ciągle.

Ale na co się zda bunt jego?

Nikomui nic powiedzieć nie może, musi milczeć. Choćby powiedział, czuje, że w opinii świata nic się nie zmieni. Teraz, ze śmiercią Feliksowej, zniknęła ostatnia nadzieja. Tajemnica jego pochodzenia została z nią do grobu złożona.

Dąży za jej trumną, śmiertelnie smutny i zniechęcony. Niekontent z siebie, pogardza sobą. Nie miał dość odwagi, by pęta zależności od Złoczowskiego zerwać stanowczo. Troska o byt zwyciężyła: został w Złotopolu. Czy tylko praktyczne względy na przyszłość rodziny przykuły go do miejsca? Tak mu się zdaje, a równocześnie spojrzeniem ogarnia dążącą przed nim wysmukłą, młodą kobietę. Okryta płaszczem śniegu, przylegającego do jej cza-

peczki, do mufki i futra, sunie, jak duch, cicha i biała, nie zostawiając na puszystym, nieskalanym gruncie, stóp śladu.

Mimowolnie oczy jego ku niej się kierują: każdy ruch jej, sposób, w jaki głowę nosi, cała postać jej, uosabia dla niego dystynkcyę i wdzięk niezwykły. I nieraz zastanawia się nad jej usposobieniem; ona go zaciekawia. Pyta: co się w jej sercu dzieć może? Nie ufa jej wiecznemu spokojowi. On jeden zauważył nieraz światła, które zapalały się i gasły w jej oczach, chociaż wyraz ich nie zmieniał się napozór. Byłby chciał zbadać tajemnicę jej stosunku do męża. Czy ona go kocha? Nie miał żadnej podstawy, aby wątpić o tém; przecież głos jakiś, przecucie, dar odgadywania osoby, z którą pokrewieństwo umysłowe i sympatya go łączyły, kierował nim w sądach o Halce; powątpiewał nieraz o przywiązaniu jej do męża, choć przekonany był o wielkiej miłości Złoczowskiego dla żony.

Halka wydawała mu się zagadkową. Ta kobieta kryje w sobie niezawodnie wiele myśli i uczuć o które nikt jej nie podejrzewa. Ciekawe studyum psychologiczne możnaby na niej zrobić. Ciekawą byłaby sekcyja jej serca. Miałoby się ochotę dobrze gwałtem klucz do tej głowy i czytać, co się w niej dzieje. Może sama nie potrafiłaby zdać sprawy z uczuć swoich?

Myśl zajętą miał zbyt często młodą kobietą; ale nie trwożył się tём wcale.

— Interesuje mnie — mówił sam do siebie — ten przedmiot, jak każdy inny, niezbadany i niewytłómaczony. Gdybym miał w pobliżu mężczyznę, którego charakter wydałby mi się zagadkowym, wzbudzałby we mnie takie same zajęcia.

I wracał do pytań: Czy ta kobieta dobrą jest, czy tylko taką się wydaje? Czy przedstawia próżnię? zero? czy też chaos, który sam siebie nie pojmuje, a wszystkie pierwiastki zawiera w sobie? I mgławice na myśl mu przychodziły. Co z niej życie zrobi? Czy, jak mgławica, w gwiazdę się zamieni, czy też rozplynie się w nicość? Czy dusza jej uśpiona? Czy też na wewnątrz wre życiem?

Stanowczej odpowiedzi dać sobie nie mógł; przecież skłaniał się prędzej ku pochlebnemu sądowi, odgadując w niej wiele duchowych i umysłowych zasobów.

— Ona mnie tak zajmuje, jak książka, której tylko tytuł przeczytałem i przerzuciłem zaledwie kilka kartek. Sensu nie pochwyciłem, bo nie znam całości.

Ani przypuszał, że jako kobieta mogłaby grać rolę w jęgu uczuciach.

To nawet wydało mu się naturalném, że tak bardzo pragnął oczyścić się w jęgu oczach. Nie zdawał



sobie sprawy, że więcej chodziło mu o to ze względu na nią, niż na kogokolwiek w świecie.

W tej chwili spuszcza ją trumnę do dołu, przygotowanego kilka godzin temu. Już dół ten śniegiem na wewnątrz wysłany, więc, jak w puchowej pościeli, złożono Feliksową; przysypują ją ziemią, a śnieg bieli każdą nowo dorzuconą grudkę.

Już grób poświęcony, już wszyscy wracają z cmentarza. Złoczowski przy bramie raz jeszcze zwraca oczy w stronę, gdzie pogrzebano staruszkę, już śnieg ubielił grób nowy. Cały cmentarz w biały, nieskalany całun spowity.

Służba dworska i lud ze wsi rozeszli się, pędząc naprzód szybkim krokiem, każdy do swych zwykłych zajęć.

Państwo Złoczowscy, ksiądz i Kilańscy zatrzymali się za bramą cmentarza, by zamienić słów kilka. Potem dążyli razem, ksiądz z panią Kilańską, Złoczowski przyłączył się do nich, Halka obok Kilańskiego.

Z początku szli, milcząc. On walczył między dwoma uczuciami: jedno radziło mu wymówić się nagłym zajęciem i wyprzedzić całe kółko, śpiesznie ku folwarkowi zdążając; ale drugie, to, które go zawsze do pani Złoczowskiej pociągało, zwyciężyło tym razem, gdy ona oczy na niego podniosła i z wymówką w głosie rzekła:

— Pana teraz nigdzie już spotkać nie można.

Więc zauważyła jego nieobecność. Więc widzieć go, albo nie widzieć, nie jest dla niej równie obojętnem, jak spotkać pierwszego lepszego z urzędników dworskich.

— Hreczkosiejem jestem — odparł — najlepiej hreczki pilnować. Tak zdziçałem przy moich codziennych zajęciach, że nie śmiem się zbliżać do ludzi, których hreczka nie interesuje.

— Niech pan będzie szczerym i przyzna, że ta hreczka tylko z konieczności wzbudza w panu zajęcie.

— Przyznaję, ale skoro przysięgłem jej wierność dozgonną, więc staram się z tém oswoić. Wszelkie wyrwanie się po za obręb przeznaczenia nuży, siły wyczerpuje.

Halka spojrzala na niego uważnie: wychudł i zmizerniał bardzo od pewnego czasu.

— Nie powinienes pan sił wyczerpywać, skoro rozumiesz, że to się na nic nie zdało.

— To trudno! Ja ich nie wyczerpuję po za obrębem nałożonego na mnie zadania. Zadania bywają czasem nad siły.

— Po nocach nad miarę pracować to niezawodnie nie jest niczym obowiązkiem.

— Czy pani zawsze źle sypiasz, że wiesz, co w nocy u sąsiadów się dzieje?

— Źle; ja już przywykłam do tego.

— Tak być nie powinno. To jeszcze więcej mę-

czące ze swemi myślami zostawać, niż pracą myśł zająć.

— O! ja też o niczém nie myślę! Leżę, jak zając, z otwartemi oczyma.

— To już lepiej czytać.

— Światło Czesławowi przeszkadza: budziłabym go.

Ona z nim tak swobodnie mówiła, jak z nikim. Serdeczną jego sympatyę odczuwała; dobrze jej było w jego towarzystwie.

— Powinnaś pani radzić się doktorów; taka bezsenność z nerwów pochodzi pewnie.

— Ja mam nerwy, jak postronki: nie ich nie zużyje. Ostatnie dwie noce w części przesiedziałam sama jedna przy ciele Feliksowej; nie bałam się, wcale się nie bałam. To już pewnie dowód silnych nerwów.

— Ależ, na miłość boską, jaki to nierozsądek z pani strony! Na co? To już, doprawdy, ekscentryczność niczem nieusprawiedliwiona! I pan Złoczowski nie miał nic przeciw temu?

— On śpi znakomicie; ja zasnąć nie mogłam: więc wysunęłam się pocichu i wróciłam pocichu; nie obudził się. Niech mu pan nie mówi: gniewałby się na mnie.

— Niezawodnie gniewałby się i miałby słuszność. Niech pani przyzna, że zrobiła to pani tylko dla oryginalności.



— Dla oryginalności? Nie. Przynajmniej tak mi się nie zdaje. Dla oryginalności robią ludzie różne rzeczy, ale to w celu zwrócenia czyjejs uwagi na siebie; a ja przecież nawet starej Feliksowej uwagi zwrócić już nie mogłam, bo nie żyła. Ja sama nie wiem, jaką miałam pobudkę. Może — tu Halka zawała się chwilę, podniosła pytające oczy na Kilańskiego i dokończyła żartobliwym głosem: — Może szukałam wrażeń?

— To jest całkiem prawdopodobne — odparł, uśmiechając się — ale szukać wrażeń przykrych, to na tym świecie jest zupełnie zbyteczne; znajduje ich się aż nadto na każdym kroku.

— W tém tylko dowód, że się żyje, inaczej można by powątpiewać o tém.

Przyglądał jej się z taką ciekawością, że spostrzegła to jego zdziwienie i rzekła żartobliwie:

— Pan nie pojmujesz, jak można żyć i wątpić o tém?

— Owszem, pojmuję, ale...

Zaciął się, nie mógł przecież dokończyć.

— Na to trzeba się straszliwie nudzić, a ja nie przypuszczałem, że pani znudzona jesteś życiem do tego stopnia.

— Ale co? — pytała zaciekawiona.

— Ale nie cofam mego zdania: skoro się wrażeń szuka, to już przynajmniej miłych.

— Hm... Czy to tak łatwo je znaleźć? — rzekła Halka półgłosem, jak gdyby sama do siebie.

I nie pozwalając, by on zdanie to, rzucone wido-  
cznie nawiasowo, podniósł, mówiła dalej:

— To takie dziwne uczucie i myśli wywołuje  
czuwanie przy zmarłym! Zastanawiałam się nad  
życiem spokojném, pozbawioném silnych wstrzą-  
śnień tej staruszki, nad jej niezmaconą wesołością  
i wieczném zadowoleniem z losu. Jakie różne są  
przeznaczenia na świecie, różne natury! To zdrowo  
pomyśleć o tém wszystkiém. W takiém życiu, na-  
pozór nic nieznaczącém, naukę dla siebie znaleźć  
można.

Kilański słuchał z uwagą natężoną; z tej krótkiej  
rozmowy dowiedział się już napewne, że Halka po-  
trzebuje wrażeń, że ją monotonne życie nuży, że za-  
dowoloną nie jest, skoro znajduje, iż rezygnacya  
jest jej potrzebna. Już nie mógł wątpić o tém; było  
to potwierdzeniem domysłów jego.

Ale pragnął wiedzieć więcej jeszcze, zajrzeć  
głębiej w jej umysł — tylko w umysł, bo serce jej  
z badać wydało mu się niezwalczoną trudnością.  
O sercu jej nic jeszcze nie wiedział: czy ono jest  
głównym motorem jej czynów, czy zastygłe, czy też  
nie rozbudzone jeszcze?

— Więc — mówił dalej — to ciało bez życia,  
którego martwota tak jest niezmiernie przykra, prze-

rażająca prawie, nie odpychało pani? Nie wzbudzało w niej przestachu? Trudno temu uwierzyć.

— Jednak tak jest; wszystko zależy od przyzwyczajenia: siostry miłosierdzia się nie boją. Ja myśl tak oswoiłam ze śmiercią; nad niczem tak często się nie zastanawiałam. Tyle razy wyobraźnią widziałam umarłych na katafalku, w grobie. Tak często staram się samej sobie nieżyjącą przedstawić. Żaden doktor nie może być lepiej ze śmiercią oswojony. Zupełnie pojmuję jedną z tych wielkich pań francuzkich z XVIII-go stulecia, która, nawet wybierając się w drogę, brała z sobą część ciała do studyowania. Zupełnie pojmuję kobiety-filozofki, które tak dalece oswoiły myśl ze śmiercią, że umierały bez najmniejszego strachu. Ja się boję dużo więcej życia, niż śmierci. Przykrości codziennych boję się bardzo; znużenia się boję, niepokoju się boję, hałasu, nieporozumień, uniesień! Ja w życiu wszystkiego się boję, ale śmierci się nie boję. Śmierć równa się Hamletowskiemu „Nie być?” a ja to sławne pytanie rozstrzygnęłabym stanowczo na „Nie być!”

— Gdyby mgławice mogły myśleć i chcieć, i wolę swoją wykonywać, i gdyby zdanie pani podzielały, nie byłoby życia, ani gwiazd, nie byłoby wszechświata. Byłaby nicość.

— Zkąd panu mgławice przyszły na myśl? — zapytała. Halka zdziwiona.

Spojrzał na nią uważnie.



— Czy pani wiesz, co to mgławica?

— Mam o tém niejasne pojęcie.

— To nie planeta, ani gwiazda stała, choć posiada własności stałej gwiazdy. Z niej i w niej gwiazda utworzyć się może, ale, zanim się utworzy, przedstawia chaos; do mgły podobna, niewyraźna, niepochwytna, zimna, świeci słabém światłem, ale ogrzewa. Nikt jej nie rozumie. Przypuszczać można, że zawiera w swej mglistej formie wszelkie pierwiastki; ale co z siebie pierwiastki te wydadzą i czy co wydadzą?

— Więc cóż ztąd za wniosek? — pyta Halka, coraz bardziej zdziwiona.

— Czy pani siebie rozumiesz?

— Nie, siebie najmniej.

— Czy sobie zdajesz sprawę z uczuć swoich?

— Takie dziwne stawiasz pan pytanie — odparła Halka wymijająco, nie pojmując, do czego zmierza.

— Ale pani się na mnie nie gniewa? Bo jeżeli mam zasłużyć na gniew, to cofnę czempredzej słowa moje.

— Czy może ja mam być podobną do mgławicy?

— Tylko proszę, bardzo proszę nie gniewać się — błagająco, patrząc na Halkę, mówił Kilański. — Przecież z mgławic gwiazdy powstają. Nie wiele natur ludzkich na gwiazdę zamienić się jest zdolnych, niewiele ludzi dochodzi do tego na tym

świecie, by opromieniać, ogrzewać, żyć własnem życiem. Gdy nikła materya mgławicy skupi się w sobie, gdy się ześrodkuje, gdy wytworzy w sobie punkt wyraźny, trwały, gdy wkoło tego punktu resztą swęj nieujętej jeszcze formy krążyć pocznie, wtedy żyć zaczyna wyraźnem życiem, wtedy na gwiazdę się zamienia. I cóż, gniewa się pani? Cóż ja temu winien, że gdy o pani myślę, mgławica mi się przypomina i *vice versa*.

Halka, wsłuchana w słowa jego, zadumana, idzie naprzód.

Na powtórne zapytanie odpowiada teraz:

— Nie! Czegóż miałabym się gniewać? Może spostrzeżenia pana bardzo słuszne? Tylko z ostatnich słów wnoszę, że pan wierzysz w konieczność przemiany mgławicy na gwiazdę. A jeżeli o mnie chodzi, to ja nie wierzę.

— Gdy pani zmienisz zdanie swoje, gdy zamiast negatywnego: „Nie być” przyjmiesz za zasadę afirmatywne: „Być”, wtedy mgławica zmieni się na gwiazdę.

— Do tego nigdy nie przyjdzie.

— Przyjść musi: za młoda pani jesteś, by mogło być inaczej. W młodości żyć trzeba, a pani nie żyjesz.

Kilańskiemu, nie rozum, lecz nerwy dyktowały słowa te. Sam nie wiedział, w jaki sposób spełni się przeobrażenie tej kobiety, ale wierzył w nie. Może

jaka niewyraźna myśl kielkowała w nim, że sam w tém przeobrażeniu rolę grać będzie.

Mówił z nią otwarcie, tak, jak ona z nim. Nie potrafili inaczej, rozumieli się.

Łączyła ich niczem nieprzeparta „*Wahlverwandschaft*”.

Dla egzaltowanej wyobraźni Halki, słowa Kilańskiego miały głębokie znaczenie. Zastanawiała się nad niemi, słusność im przyznawała.

Być mgławicą—to jeszcze należeć do wyższego gatunku ludzi, do wyższych sfer duchowo-sercowych, choćby w nich niejasne i niewyraźne jeszcze zajmować stanowisko. Ona miała więcej ambicyi, aniżeli próżności. Ambicyą jej było: odgraniczyć się zupełnie od ludzi płytkiego umysłu, nie mieć z nimi nic wspólnego. Wtedy nawet, kiedy bywała jako panna na balach i rautach, liczne zgromadzenia nudziły ją i nużyły. Wśród tłumów gadatliwych, jak wróble, czuła się obcą. Pragnęła bogactwa, ale nie jako celu do olśniewania ludzi i zdobywania hołdu gogów, tylko jako sposobu wydobycia się z nędzy.

Dziś jednak, gdy się zastanawia nad tém wszystkim, serce jej odczuwa coś nakształt wdzięczności dla Tego, który rządzi jej losami. Poczyna wierzyć w Opatrzność. Czuje, że mogła marnie zginąć w tej próżni, która ją zewsząd otoczyła, gdyby nie ten, który jej w życiu towarzyszy. Mogła trafić na czło-



wieka bez wartości, bez wyższości żadnej, a wtedy byłaby zginęła. Czuje, że mąż jest dla niej oparciem, jest przystanią bezpieczną; przywiązanie do niego poczyna się w niej budzić.

Jest to uczucie słabe jeszcze, niewystarczające jej romantycznym pojęciom. Nie kocha go całą siłą duszy, ale żyćie się z nim, pojęcie się z nim, pojęcie jego wyższości, ocenienie jego zalet, wdzięczność za jego wielkie dla niej przywiązanie: to wszystko sprawia, że dba o niego więcej, niż sobie sama sprawę z tego zdaje.

Tylko przeszłość stoi i stać będzie między nimi. Zaufania zupełnego dać mu nie może. Nieraz czuje jeszcze pustkę wielką, nieraz tęskni do innego życia, pełniejszego wrażeń, uczuć. Serce jej, o ile oddane samo sobie, bez obcych zgubnych wpływów, budzi się z letargu, pożąda uczucia, chce przyłgnąć do kogoś na świecie, rwie się do miłości, ale samo nie wie: kogo ma pokochać?

— Gdybym ja tak swobodną być z nim mogła, jak z tym obcym człowiekiem — mówi sobie, wracając myślą do rozmowy z Kilańskim. — Gdybym ja miała dość odwagi, by mu wszystko powiedzieć!

Wszystko? Nie! Na samą myśl tę, dreszcz trwożgi ją przejmuje. Wszystko — bo tylko spowiedź zupełna, bo tylko wyznanie wszystkich szczegółów

mogłyby ją obmyć we własnym sumieniu. A cóżby on powiedział na te szczegóły?

I widzi Halka siebie młodziutką dziewczyną, ma rok ósmnasty. Zdaje jej się, że kocha kogoś, egzaltuje się w tym uczuciu dobrowolnie, by się wyrwać z codziennego, pełnego udręczeń trybu życia.

Halka sama sobie oddana. Brat jej we Lwowie w banku pracuje, kuzynka Wilunia z nauczycielką uczy się, albo swoim dworem oddaje się rozrywkom, stosownym do jej dwunastu lat. Tylko młody sąsiad, Kazio Sadecki, codziennym jest gościem; wakacyjne uniwersytetu długo trwają. Kazio Sadecki, o melancholijnym tęsknem wejrzeniu, czasem wesoły i puśty, jak dziecko, czasem smutny, jakby przecuciem już był poznał wszystkie życia bóle.

Że Halka długo z nim rozmawia, to nie dziwi nikogo: przyzwyczaili się wszyscy widzieć ją w jego towarzystwie, gdy małym dzieckiem była jeszcze. Ich rozmowy nikogo nie zajmują: on jej daje książki, przy których obie panie Drohińskie zasnęłyby natychmiast, nie zdążywszy przeczytać kilku kartek, książki nie koniecznie potrzebne dla wrażliwego a niewyrobionego umysłu.

W tych kartach, w których Sadecki czerpie entuzjazm dla nauki, dla wiedzy ludzkiej, Halka czerpie sceptycyzm serca; tylko umysł jej się rozwidnia ale serce kobiece zacieśnia się. Rozprawiają szeroko o tym, co przeczytali oboje; nikt im nie przeszkadza,

bo kogóż to zajmować może? Ale gdy słowicze hejnały pod niebo płyną, gdy odurzający zapach czeremchy zmysły podrażni, wtedy filozoficzne teorie tracą na swej wartości.

Wtedy nie umysł górę bierze.

Na skraju parku kilka brzoź płaczących i jedna wielka czeremcha gałęzie ku ziemi zwieszają. Tam młoda para całe godziny spędza, na trawie siedzą oboje, on w pewnym oddaleniu, ona o pień czeremchy wsparta. Chcą rozmawiać, ale słowa zamierają na ich ustach. Więc po żywej wymianie słów cisza następuje, cisza majowa, rozśpiewana tysiącami głosów.

Ptaki już zasnęły, tylko słowik, wsłuchany w harmonię swej namiętnej pieśni, w dal posyła kaskadę kryształowych tonów. Czasem kukulka, ze snu zbudzona, rzuca w przestrzeń dźwięczne „kuku!” i cichnie. Chór żab, jak monotonne wtórowanie basetli w wiejskiej kapeli, przygrywa, a czeremcha swoim zdradliwym, ciężkim zapachem upaja młodych coraz silniej.

Już ręce ich złączone. On się broni pokusie. Gdybyż się wydostać na szerszą przestrzeń, gdyby pełniejszą piersią odetchnąć, ocknąłby się, oprzytomniał! Ale siła nieprzeparta trzyma go na miejscu.

Gdybyż Halka ztąd poszła! Ona jest tym magnesem, który go przykuwa i wolną wolę mu odbiera.



Gdyby wstała i poszła sobie... Ale ona ani myśli o tём. Jej tu dobrze. Jej tak rzadko dobrze: dla czegoż miałaby przerywać tę chwilę zachwytu? Niebezpieczeństwa nie czuje.

On sam jest przy niej i wspiera głowę o ten sam pień czeremchy.

Słowik śpiewa; on rozumie słowa pieśni jego. Wyznanie: kocham! kocham! kocham! rzuca w przestrzeń całą siłą drobnej piersi swojej.

— Kocham! kocham! — szepce młody chłopak w ucho ukochanej.

Ptaka rzuca wyznanie swej miłości głośno, jak fanfarę: człowiek zwierza się z niej nieśmiało, bojąc się dźwięku głosu swego. Halka milczy; z jej serca nieprzeparta siła nie wydobywa wyznania tego, choć i jej się zdaje, że kocha. Suggestywnie odczuwa miłość. Jest nią ogrzana, jak gorącym promieniem słońca.

Słowik ucichł na chwilę. Czeremcha gałęzie nieruchomo zwiesiła ku ziemi, cała w bieli stoi zadumana, jak panna młoda. Halka czuje na ustach swoich namiętny pocałunek, pierwszy pocałunek. Nie broni się. Żadna myśl w niej się nie budzi, któraby choć cicho szeptała: „Nie wolno! Tak być nie powinno! Nie pozwól!” Ten pierwszy pocałunek odurza ją, on ją trzyma w ramionach swoich i nic już nie zdoła oderwać go od ust dziewczyny.

— Halko, Halko! — woła głos znany.

To Wilunia poszukuje młodej pary, i ona rości pretensye do towarzystwa Kazia Sadeckiego.

Zrywają się oboje, jak złoczyńcy, złapani na gorącym uczynku. Halka ucieka w stronę przeciwną tej, z której głos Wiluni się zbliża. Kazimierz idzie naprzeciw niebezpieczeństwa, pijany, z mgłą na oczach, bez myśli w głowie.

Od tej chwili Halka nie zliczyłaby, ile zamieniła pocałunków z tym, który o nią marzył, jako o przyszłej żonie swojej. Od tej chwili on już żyć bez niej nie mógł, i gdy z poczucia winy nie śmiał codzień bywać w domu Drohińskich, to widywał się z ukochaną potajemnie, dopóki nie został zmuszony opuścić stron tych dla dalszych studyów. One mu przyszłość zapewnić miały, i poślubienie tej, którą już dziś „żoną swoją” w duchu nazywał. Nie przypuszczał, że dwa lata wystarczą, by w młodej dziewczynie „rozsądek” wyrobić do tego stopnia, iż myśl o związaniu życia z człowiekiem bez majątku przerażać ją będzie.

Ta sama czeremcha, która, okryta kwieciem, była świadkiem pierwszego pocałunku Halki, ta sama, ogołocona z liści, patrzyła na śmierć młodego człowieka, na wązki pasek krwi, sączący się po nieskalanym śnieżnym całunie ze skroni Sadeckiego.

Tego wszystkiego Halka zapomnieć nie mogła. To wszystko stanęło zaporą między nią a mężem. Dlatego z Kilańskim swobodniejszą się czuła. Wobec

niego nie grała komedyi serca. Jemu lepiej dała się poznać.

„Mgławicą” ją nazwał.

Sumienie, przywołując jej tak często, tak często, dawne obrazy na pamięć, potępia ją. Sąd Kilańskiego jeszcze zanadto pochlebny jej się wydaje.

Dawnych obrazów nie wywołuje już, nie stara się żyć niemi; przeciwnie, chciałaby je zatrzeć w pamięci. Ale one powstają z martwych, na jej udręczenie, spokoju jej nie dają, i żyje tak między obawą utraty przywiązania męża, między wspomnieniami, które ją dręczą, a pragnieniem szczęścia, pragnieniem żywych uczuć, pragnieniem otrząśnienia się z przeszłości, udoskonalenia.

---



## II.

W małym wiejskim kościółku msza się odbywa. Kilka wieśniaczek klęczy w pobliżu ołtarza, wszystkie z ciałem naprzód podanem, uosabiają gniotący je ciężar życia. Ksiądz staruszek mszę odprawia; ręce jego drżą ze starości, ale duch unosi się w górę, młody, niespożyty, nieśmiertelny. W kolatorskiej ławce klęczy Halka, z głową ukrytą w dłoniach; zagrożona jest w modlitwie. Modlitwa serdeczna, dziękczynna płynie z jej duszy ku niebu. Nadeszła chwila upragniona: młoda kobieta ma wkrótce matką zostać. Korzy się przed Bogiem, pyta ze skrucą najgłębszą: zkąd jej to szczęście przychodzi? Czuje, że nie zasłużyła na nie.

Teraz dopiero bielmo z jej oczu spada; teraz dopiero to wszystko, co najpierw wydało jej się naturalnem i słusznem, co później wzbudzało w niej jakiś głuchy, niezwyčajny niepokój; teraz dopiero to samo, nietylko złem, ale zbrodniczem, jej się wydaje.

Chciałaby czuć się godną wielkiej misji macierzyństwa, która ją czeka. Chciałaby czuć się doskonałą, czystą, wyższą, by wskazywać drogę temu dziecku, które jej pieczy oddanem będzie.

Daremną rzecz! Przeszłość złych czynów należy do wieczności, nie do niej, nie do niej! Poznaje teraz, że każda chwila upojenia zmysłów nosi w zarodku cierpienie. Słusznem jest, że cierpieć musi. Rada przyjmuje krzyż na swoje barki, jakkolwiek w egzaltowanem uniesieniu woła:

— Panie, tu mnie siecz, tu mnie karz, byłeś dziecka za winy nie dotykał sprawiedliwą ręką twoją.

Byłaby chciała obmyć się z win swoich. Przy konfesyjonałach, przed ślubem wyznawała je, ale bez skruchy, bo nie umiała się zdobyć na prawdziwy żal za grzechy. Kilku pacierzami, daniami jako pokuta, czuje, że nie uczyniła zadość sprawiedliwości Bożej. Mąż jej o nich nie wie; czei ją, uwielbia, kocha z dniem każdym goręcej. Ona niegodna tej miłości. Każde jej spojrzenie, w którym odzwierciedla się głębia jego uczuć, przejmuje ją teraz bólem głębokim. Komedją zdobyła to szlachetne serce.

Zadosyć uczynić, obmyć się z win swoich, oczyścić się we własnej opinii, odpokutować! Na to jest jeden sposób tylko: wyznać wszystko mężowi.

Strach ją ogarnia, tęp jeszcze większy, zabobonny strach, oparty na fałszywem pojęciu miłosierdzia

Boga, że jeżeli nie wychyli tego kielicha goryczy, to pomsta Boża nad jej dzieckiem zawiśnie. Więc wznieca w sobie odwagę za pomocą modlitwy; więc wmawia w siebie: on mi przebaczy, bo mnie kocha, przebaczy przez wzgląd na dziecko.

I znowu ten wyraz „dziecko” promienie nadziei wlewa w jej duszę; znowu zapomina o przeszłości; zbuntowane sumienie ucisza się, bo dusza jej pełna jest wdzięczności dla Boga. Cokolwiek zająć-by mogło, cokolwiek mogłoby ją osobiście dotknąć, szczęście będzie; dziecko, dziecko ozłoci jej życie!

Uczucie pustki minęło: ma już cel dla myśli, ma cel dla życia. Teraz radość i cierpienia splecą się w jeden łańcuch. Wszystko będzie miało swoje znaczenie, przestanie obracać się w próżni. Teraz i cierpieć będzie chętnie, teraz pojmie, że tak, jak każda radość nosi w sobie nasienie smutku, tak cierpienie każde nosi ziarno udoskonalenia się. Jeżeli, zadosyć czyniąc Bogu i mężowi, na ból się narazi, to ból ten oczyści ją, podniesie, uzacni jej macierzyństwo.

Dawniej wszystkie pojęcia płynęły na zimno z jej umysłu; teraz czuje ciepło serdeczne, z serca płyną myśli i zamiary. Z tego, napozór kamiennego, serca, płynie teraz żywe źródło miłości. Cud się stał! Przecucie macierzyństwa cudu dokazało; przecucie macierzyństwa obudziło w niej, nie tylko miłość, ale i wiarę.

O jedno tylko prosiła Boga, z całą niekonse-



kwencyą natur wrażliwych, bo wtedy nie czuła jeszcze potrzeby modlitwy, nie miała pojęć religijnych zakorzenionych—prosiła jednak o łaskę macierzyństwa, gorąco, całą siłą pragnienia. Teraz, gdy modlitwa jej wysłuchaną została, wierzy i myśli do Boga posyła co chwila, zawsze na intencję dziecka.

Czasem dreszcz trwogi ją przejmuje: a jeżeli Bóg mnie ukarać zechce tem właśnie, co ja za największe szczęście poczytuję?

Z przerażeniem odpycha myśl, że dziecka może się niedoczekać, że martwe ciało na świat przyjdzie? Wszystko! wszystko prędj, ale nie to!

W tej chwili ksiądz przy ołtarzu „Ojczy nasz” odmawia. Halka z uwagą słowa modlitwy za nim powtarza.

— I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.

Pochłonięta jedną myślą, do siebie słowa te odnosi, a raczej do męża. Przebaczyć jest jego obowiązkiem, Bóg tak każe. On przecież wierzy: powinien przebaczyć! Musi przebaczyć!

Ale głos jakiś mówi w jej duszy:

— A jeżeli nie przebaczy? Jeżeli mnie odepchnie? Ja go znam; jego największa wada, to brak względnosci. Nieubłagany bywa.

Więc odkłada na później ofiarę, którą Bogu chce uczynić ze względu na dziecko.

Uspokojona tém postanowieniem, wychodzi z ko-

ściola. Wita księdza, maleńkiego starca, o przygasyłych oczach i zapadłych policzkach.

— Jaka to dobra wróżba dla mnie — mówi — że mszę, zakupioną przez nas, ksiądz proboszcz mógł odprawić. Widać zdrowie wzmacnia się z dniem każdym?

— Zdrowie, moja dobrodziejko, tak trochę, ale nie siły! Już sił mało bardzo. Dzięki Bogu i za to; przedłużył życie, dłużej tu pokutować, krócej tam. Czysty zysk — mówił, śmiejąc się.

W tej chwili turkot breku dał się słyszeć; to Złoczowski przyjechał po żonę. Zostawił ją w kościele, śpiesząc do zbankrutowanego sąsiada na licytację; chciał go ratować, dając dobrą cenę za bydło i konie. Śpieszył się bardzo, miał tylko czas powiedzieć, by dla niego zachowano ruchomy dobytek, którym nowo założony folwark chciał zapewnić, i wracał szybkim klusem po żonę.

Teraz każdą myśl miał nią zajęta; byłby rad na krok jej nie odstępować. Gdy konieczne zatrudnienia zmuszały go do wyjazdu, niespokojną myślą ścigał ukochaną kobietę, która szczęście jego zupełnym uczynić miała. On sam był jej woźnicą; nikomu nie byłby powierzył swego skarbu, gdy przejechać się albo Mszy wysłuchać chciała.

Teraz zeskakuje z breku, lejce oddaje w ręce, stojącego opodal stajennego z probostwa.

— Ksiądz proboszcz! — woła z radością. — Co

za niespodzianka! Kwietniowe słońce najlepszy doktor.

— Chciałem się pomodlić za czwarte pokolenie Drohińskich — odparł ksiądz. — Dziadowi ślub dawałem, ojca chrzcilem, i ciebie i teraz już pewnie nie doczekam nowego chrztu: to się zawczasu modłę, by wszystko na pociechę się obróciło.

— Doczeka ksiądz proboszcz niezawodnie: od czego słońce, wiosna? To życie wlewa! — mówił Czesław.

— I stary węgryz ze Złotopola — mówił ksiądz. — Cóż to za wino! mój dobrodzieju: nektar! Aż się grzechu boję, takie smaczne! Drożyzna to być musi. Złe psuć starego; na co mnie to?

Myśl posyłania księdzu wina, bulionu, kurcząt etc. od Halki pochodziła. Serce dyktowało jej teraz to, co dawniej machinalnie spełniała, jako wolę męża.

Czesław nie potrzebował już troszczyć się o biednych, wiedział, że mają opiekunkę w żonie jego.

Chwilę zabawili oboje na probostwie, poczem do Złotopola wracali zwolna, konie szły stępa.

Jeszcze ziemia ogołocona była z zieloności, tylko wierzby nad rowem pokryły się puszystymi baškami. Wody, szeroko na łąkach rozlane, odbijały promienie słońca. W niedojrzanych wysokościach dzwonił głos skowronków; budziły naturę do pracy, rolników wywołując: wiosna! wiosna! Kryształowy głos płynął z obłoków na promieniach słońca ku ziemi.



— Wiosna! — wtórowało serce Halki i jej męża — Wiosna, zwiastunka dobrej nowiny; dla nich, nowiny szczęścia.

— Wszystko mi dałeś, o Panie! — śpiewa dusza Czesława. — I czem-że splcę długi moje?

Dwa miesiące później w sypialnym pokoju państwa Złoczowskich zmrok panuje, trudno rozróżnić cokolwiek.

Powoli jednak, gdy się oko z ciemnością oswoi, spostrzega białe lakierowane wielkie łóżko, na niem młodą kobietę, której głowa spoczywa na poduszce, zdobnej koronkami. Otulona jest bielą ze wszystkich stron; miękka biała kołdra pokrywa ją i łóżko całe; ona sama bladą jest, białość jej jest jednym tonem więcej wśród tych ram białych.

Pochylony nad nią, siedzi mężczyzna, trzymając w jednem ręku szklanę z wodą, drugą wsuwa delikatnie pod głowę kobiety i, unosząc ją zlekka, mówi:

— Już czas na chinę, kochanie, trzeba zażyć.

Halka zmęczone oczy otwiera. Posłuszna woli męża, połyka podane sobie lekarstwo i znowu w sen spokojny zapada.

Cisza zupełna panuje. Drzwi otwarte naosćcież do sąsiedniego pokoju; ztamtąd dochodzi szelest poruszających się osób. Tam stoi kołyska; w niej syn państwa Złoczowskich spoczywa, otoczony nietylko najętymi opiekunkami. Nadzór nad dzieckiem wzięła pani Kilańska w swoje ręce, córeczki oddała

matce swej pod opiekę, a w chwili niebezpieczeństwa, zapominając wszelkich uraz, oddaje się cała Halce na usługi. Przedewszystkiē dzieckiem się zajmuje, bo Halka tak jest troskliwie przez męża pielęgnowana, że nikomu przy chorej nie do zrobienia nie pozostaje.

Złoczowski, wpatrzony w bladą jej twarzyczkę, zamysła się głęboko. Myślą przebiega ostatnich dni kilka, przerażenie i ból, niedające się niczēm wysłowić, gdy patzał na cierpienie ukochanej kobiety, niepokój każdej chwili, długie bezsenne noce,—wszystko to, co przeżył w jednym tygodniu, wstrząsnęło silnie nerwami jego, głębokie wrażenie wywarło na nim. Tydzień ten, dopóki niebezpieczeństwo grożące Halce nie minęło, wydał mu się wiekiem. Każda minuta wlokła się żółtym krokiem; dręczony niepokojem, jedną miał myśl tylko: żonę śmierci wyrwać.

Dwóch doktorów nie opuszczało jej przez kilka dni. Mimo to Czesław z oka jej nie spuszczał; snu, ani posiłku nie potrzebował. Siły jego zdawały się wzrastać w miarę nadużywania ich. Gdy życie w Halce zamierało, on mękę konania razem z nią przechodził; gdy cierpienie twarz jej wykrzywiało, każdy nerw jego drżał z bólu. Nie przypuszczał, ile to niewypowiedzianego udręczenia kosztuje przyście na świat jednej więcej istoty.

Teraz zdaje sobie z tego sprawę. Już spokój i zwykłą równowagę odzyskał, fizycznie tylko zła-

many, odczuwa pewien rodzaj ukojenia moralnego, oddycha całą piersią.

Płacz dziecka budzi Halkę.

— Każ mi go przynieść — mówi do męża.

Zdrowego, dużego chłopaka, otulonego w poduszce składają na łożu jej: w nim nagroda za wszystkie trudy, wszystkie cierpienia. Rodzice uśmiechają się do niego; maleństwo oczkami nieprzytomnymi jeszcze spogląda, nic nie widząc, ale Halka temu nie wierzy; cichym, zmęczonym głosem mówi do męża:

— Jak on ciekawie patrzy na ciebie!

Czesław uśmiecha się z zadowoleniem, gotów uwierzyć. Pani Kilańska w sąsiednim pokoju przygotowuje powijaki, pieluszki; bardzo zajęta, radaby życie całe w ten sposób się zajmować. Chora przywołuje ją.

— Proszę się schylić — mówi, gdy młoda kobieta wyprostowana nad jej łóżkiem stoi.

Zdziwiona, spełnia jej wolę. Halka obie ręce na szyję jej zarzuca i całuje twarz jej gorąco, aż Czesław, wspólnie z panią Kilańską, wołać muszą:

— Nie wolno! Trzeba leżeć cicho, cichutko!

Wszyscy łyzy w oczach mają: Złoczowscy łyzy szczęścia, Kilańska łyzy rozczulenia. Tylko małe zaminiątko na łóżku nie wie, o co chodzi, i, zamiast uśmiechu zadowolenia z tej sceny, krzywić się po-



czyną i rączki w kulek ściśnięte gwałtem do buzi pakuje z niecierpliwością wielką.

W kilka dni później Halce rozmawiać już wolno; oparta o poduszki, siedzi na łóżku i patrzy uważnie na Czesława. On jej powiada, przez jakie śmiertelne trwogi przeszedł z jej powodu, całuje ją po rękach, cześć oddając jej bohaterskiej cierpliwości, korzy się przed nią, jak przed kobietą-aniołem, której ani on, ani żaden śmiertelnik godnym nie jest.

— Nie mów tak, Czesiu — broni się Halka — ty nie wiesz, Boże mój, Boże! — zawołała nagle, oczy rękoma przysłaniając. — Gdybym była umarła, straszna pokuta spotkałaby mnie na tamtym świecie.

Mąż jej, zdziwiony, patrzy na nią.

— Uspokój się — prosił — zdenerwowaną jesteś. Już dosyć rozmowy. na dzisiaj; to cię męczy widocznie.

— Lepiej tu odpokutować... Co, Czesiu? — pytała, spoglądając na niego niespokojnie.

— Za co, kochanko? Tyś już w tej jednej chorobie odpokutowała wiele i zaciężko za winy swoje, stosunkowo do ich wielkości.

— Ja muszę wiedzieć. Powiedz mi, powiedz, Czesiu, wszakże lepiej to odpokutować?

— Zkądże ja mogę wiedzieć? Nie jestem teologiem. Tak mi się zdaje. Ale o co tobie chodzi droga moja? — pytał z trwogą o jej zdrowie.

Jej niepokój dręczył go. Czyżby gorączka wracała?

Ale nie. Rekonwalescencya postępowała szybkim krokiem. W kilka tygodni później Halka, cała zajęta dzieckiem, oddawała mu wszystkie chwile.

Twarz jej nabrała innego wyrazu, ruchy żywszemi się stały, w ogóle nowém życiem zdawała się być natchnioną. Oczy jej promieniały szczęściem, tylko, gdy dziecko zakaszłało lub noc całą płakało, nie mogąc się utulić,—truchlała.

Przytomność umysłu wtedy traciła. Rzuciła się na kolana w obliczu Boga i wymawiała od czasu do czasu wyrazy dla nikogo niezrozumiałe:

— Powiem, powiem! Już wszystko powiem!

Była, jak dziecko, karane ręką ojca, gdy obiecuje przyznać się do winy.

Ale mały Staś zdrów był, i gdyby nie zabobonne obawy matki, nikt nie byłby wpadł na myśl, że życiu jego niebezpieczeństwo zagraża.

Gdy ze szczęściem swoim jeszcze oswoić się nie mogła, przychodziły na nią chwile straszne. W nocy zrywała się przerażona; zdawało jej się, że nad kołyską dziecka stoi widmo, które dawniej przywoływała, żyjąc tylko wspomnieniami. Zdawało jej się, że widmo to chce syna jej zabrać, jako własność swoją. Nie krzyknęła jednak: zdawna nauczyła się panować nad sobą; ale błada, z sercem zamarłym

z przerażenia, biegła do kołyski i zimne ręce wsuwała pod ogrzaną ciepłem dziecka kołderkę jego.

Żyje! Zmora pierzchła, a matka nie śmiała zasypiać więcej; godziny spędzała przy kołysce.

— Nie może być, abyś bezkarnie szczęścia zażywała — mówiło jej zbuntowane sumienie.

Nerwy miała stargane wskutek ciężkiej choroby. Nigdy wewnętrzną równowagą się nie odznaczała; teraz mniej, niż kiedykolwiek. Cierpiała nad sobą, pojmowała, że wszystko odpokutować trzeba, tylko kielich goryczy, który Bogu obiecała spełnić dobrowolnie, odsuwała od siebie. Chwilę ekspiacy była by chciała odłożyć do nieskończoności. Ile razy obawy o dziecko mijały, tyle razy powtarzała:

— Później, później!

Nie śmiała wmawiać w siebie, że męża szczęście zwichnięte być może jej wyznaniem. Zdawało jej się, że to tchórzliwe podszepty złego ducha.

Obiecała Bogu to zadośćuczynienie, obiecała na intencję dziecka. Gdyby nie spełniła obietnicy, na dziecku jej winy karane będą. Tego przecież nie dopuści, nie może, nie chce dopuścić. Ale później, później! Jeszcze nie teraz.

Mijały miesiące. W miarę jak mały Staś sił nabierał, Halka oswajała się codzień więcej z płaczem jego, pozbywała się nerwowej trwogi; śmierć nie wychylała już do niej swego groźnego oblicza z po za kołyski syna.



Codzień więcej szczęściu się oddawała, zagłuszając myśl o spowiedzi, codzień żywszą promieniała radością. Dobrą była, słodką i litościwą. Na każdym kroku starała się płacić daninę wszystkim cierpiącym, za szczęście, którego nie czuła się godną.

Z panią Kilańską widywała się często, a, co za tym idzie, z jej mężem. Krótkie tylko chwile spędzały młode kobiety jedna u drugiej; każda, zajęta dziećmi, śpieszyła do obowiązków swoich; ale teraz łącznik był między nimi: matkami były obie. Miały sobie tyle do powiedzenia!

Odwiedziny krewnych Czesława i Halki nie wpływały bynajmniej na jej stosunek do dworku. Pani Kilańska witana była w każdej chwili jako równa, jako wypróbowana przyjaciółka. Ona jednak nie nadużywała towarzystwa Halki; zanadto miała zajęcia w domu, aby szukać rozrywki po za jego obrębem.

Kilański poczynał się godzić z nieubłaganymi warunkami życia. Nie miał już żadnej nadziei, by się cokolwiek zmienić mogło.

Rozmowy z Halką były dla niego nagrodą za wiele trudów. Rzadko jednak mieli sposobność prowadzić długie dysputy, mówić o rzeczach, które umysł obojga żywo zajmowały. Halka nie oddalała się od dziecka, gdy tylko mogła tego uniknąć; zdala od niego odczuwała zawsze wielki niepokój. Dawало się to uczuwać w jej rozmowie: wyobrażnia jej nie błą-

działa już tak swobodnie po oderwanych krainach hipotez, metafizycznych zagadek. Zwracała się teraz, ustawicznie nawoływana głosem serca, do jedynego przedmiotu: dziecko myśl jej, uwagę jej, życie jej całe zaprzętało. Zamknęła się w miłości macierzyńskiej, jak w bezpiecznej fortecy. Tam szczęśliwą się czuła, tam spokój znajdowała, albo trwożę, od której serce zamierało—ale trwożę coraz rzadziej.

Kiedys Kilański przypomniał jej dawno wygłoszone zdanie: *Ce que je fais, je ne puis l'aimer, ce que j'aime, je ne puis le faire.*

On zdaniu temu duchem całym wtórował. Ale ona teraz zmieniła pogląd swój.

— To, co mnie zajmuje, kocham całym sercem— odparła mu — i tém, co kocham, zająć się mogę.

— Więc pani teraz szczęśliwa?

— Bardzo.

— Zupełnie?

Halka zawahała się chwilę.

— Zupełnie? — rzekła, nie zdając sobie jasno sprawy, coby jej mogło jeszcze do szczęścia brakować. — Czy zupełnie? — kończyła — tego nie wiem, doprawdy. W każdym razie zupełniej, niż to daném jest w ogóle odczuwać na ziemi.

Później dopiero, gdy się zastanowiła: z kąd to wahanie, zanim odpowiedziała Kilańskiemu?— znowu

odczuła żywo zaporę, dzielącą ją od męża. To było szkopułem do zupełnego szczęścia.

Prawie w dwa lata później Halka stoi za krzesłem męża, pochylona nad nim; rękoma wsparta o ramiona jego, czyta razem z nim. Złoczowski trzyma papier żółty, najlichszego gatunku, pokryty pismem dużem, wyraźnem, choć drżącą ręką skreślonym.

Oboje czytają pocichu.

Halka jeszcze oczyma spoczywa na papierze, gdy Czesław pyta:

— Skończyłaś?

Wtedy ręce swe z ramion jego zdejmując, a stojąc za nim wyprostowana:

— Skończyłam — mówi.

On papier składa na biurku przed sobą, głęboka bruzda przerywa mu czoło. Usta bolesnego wyrazu nabierają, oczy błyszczą ciemnym ogniem, niesmak i ból rysują się na jego twarzy.

Długa chwila milczenia zapanowała.

Wreszcie Halka odezwała się pierwsza:

— Znalazłeś to między papierami?

— Powiedział mi, że znajdę. Kiedy przyjechałem, już prawie głosu wydobyć nie mógł. Konał. Poznał mnie jednak i wskazał na szufladę w stole, obok łóżka.

— Tam znajdziesz list, przeczytaj, pamiętaj, daruj. Nie rozumiałem znaczenia tych słów, myślałem, że biedny ksiądz majaczy. Zaraz potem umarł.



Godzinę temu wrócił Czesław od łoża zmarłego. Halki w domu nie zastał.

Gdy odprawił kilku interesantów, czekających na niego, zabrał się do odpieczętowania listu, który wedle wskazówek zmarłego księdza, znalazł w szufladzie. Jeszcze oswoić się nie mógł z tem, co przeczytał, gdy weszła Halka. Złękła się, patrząc na twarz męża, stanęła za nim w chwili, gdy on po raz drugi rozwijał papier, chcąc sobie dobrze zdać sprawę z treści listu.

Na jej pytanie: Czy mogę przeczytać? — odparł krótko: — Możesz.

Teraz i ona wie, dlaczego ból rysuje się na jego twarzy. Nie śmie potrącić o treść listu; treść ta nie potrzebuje komentarzy, jest aż zanadto jasna; brzmi jak następuje:

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!”

Zmarły starzec inaczej listów nie rozpoczynał.

„Kochany Czesławie, chciałem ci powiedzieć, ale stchórzyłem. To przykrość dla ciebie, bo to o ojca chodzi. Ale ty nie potępiaj, tylko wybac. Ułomność ludzka jest wielka. Konstanty Kilański to syn twego ojca. Ojciec twój kochał go, byłby rad za swego uznał, ale nie miał odwagi. Ja namawiałem, bo tak mi się słuszném wydało. Ale nie chcę potępiać. Bóg Sędzią. Ułomność ludzka wielka. Nie chciałem umierać z tym kamieniem na sercu. Ojciec twój miał w testamencie zapisać 20,000 zlr. Kon-

stantemu. Ociągał się. Umarł bez testamentu. Medytowałem: co robić? Ale widzi mi się, że to jednak obowiązek oświecić cię. Ty zrób, jak uważasz najlepiej. Sumienie i serce ci podyktują. Ojca nie potępiaj, przebach. Natura ludzka słaba. Mogłem dawno powiedzieć. Nie wiedziałem, co lepiej. Jeszcze nie wiem. Śmierć bliska, to się dowiem. Bóg osądzi. Błogosławię ciebie i żonę twoją, i twojego brata Konstantego. Bóg z wami."

Tak, słowa te jasne były, nie potrzebowały komentarza.

Czesław w tej chwili, wsparty na łokciach i z głową w dłoniach ukrytą, stara się myśli do ładu doprowadzić, ale nie ma sił. Żal do ojca serce mu rozsądza.

Niesmak, obrzydzenie uczuwa na myśl o wszystkich przewrotnościach, których się ludzie dopuszczają.

Przebaczyć! Łatwo powiedzieć, ale wyraz ten odczuć, ale pozbyć się goryczy, którą dusza wezbrana: to czasem nad siły ludzkie.

„Jego” ojciec!

Czuje, że mu potępiac nie wolno, ale wstręt, obrzydzenie do złego, do tego wszystkiego, co „nieprawem, nieuczciwem” być mieni, podnosi jego serce, oburzeniem go napełnia. Daremnie przychodzi mu na myśl słowa księdza: „Ułomność ludzka jest wielka”; „Natura ludzka słaba”. Przecież i on

jest człowiekiem, podług siebie, a wie, że, pomimo przyrodzonej ułomności, nie dopuściłby się czynu nieuczciwego; wie, że prawym i uczciwym zostać można, pomimo słabości natury ludzkiej. Jeżeli wie o tem z doświadczenia, dlaczegoż od innych nie miałby żądać tej siły, na jaką sam się zdobywa? Od ojca przedewszystkiem? Im bliżej obchodzi go ten, którego uczynki ściągają na siebie potępienie, tem głębszy żal czuje, tem trudniej mu się zdobyć na darowanie winy.

Złe jest złem i zasługuje na potępienie—to jego zasada; tą zasadą kieruje się w życiu dla siebie i dla innych. On może prowadzić życie bez zarzutu, więc i inni mogą. Jeżeli nie mogą, to dlatego, że nie chcą. „Powinni” móz. A ten, kto nie robi tego, co powinien i tak, jak powinien, zasługuje na potępienie.

Czesław przypomina sobie cały szereg niedokładności i lekkomyślności ojca w pełnieniu obowiązków: zaciąganie długów na wysokie procenta, by dogodzić fantazyi, próżności, by budować pałacyk na jednym z folwarków kosztem tego folwarku, by się otaczać licznym zastępem służby leniwej i nieużytecznej, by skupować rasowe konie, urządzać kosztowne polowania, prowadzić dom wystawny, nie porównywając nigdy dochodów z rozchodami. Starzał się nie myśleć o winach ojca, za które pokutował, ciężko pracując przez piętnaście lat życia, by



oszczędnością i rzadnością doprowadzić do ładu napół zrujnowany majątek, by wycofać dzierżawy z rąk żydowskich. Starał się nie rozgoryczać przeciw niemu. To było jego obowiązkiem. Teraz jednak, kiedy do tylu dawniejszych nieprawidłowości przyszło dodać jeszcze to, co mu się najgorszym, bo nieuczciwem, wydało, teraz, cały szereg pozornie tylko zapomnianych uraz odnowił mu się w pamięci.

Cierpiał głęboko, potępił ojca własnego, a choć wmawiał w siebie, że to tylko żal mimowolny, przecież nie było to niczem innym, jeno nieodwołalnym potępieniem.

Myśl jego naturalnym porządkiem skierowała się ku Kilańskiemu. To brat jego? Na takie pojęcie rzeczy buntuje się w pierwszej chwili. Brat jego? Ha, ha, ha! A to dzika pretensya! Gdyby w ten sposób zapatrywać się przyszło na podobne sprawy, to wielu byłoby takich, którzy w niezwykłych sferach musieliby rodzeństwa swego szukać.

To śmieszne! Któż na świecie rządzi się taką donkiszoteryą?

Pieniądze, owe 20,000 zlr., odda mu. Taki był zamiar ojca, taki legat wolno mu było zrobić nawet na korzyść zupełnie obcego człowieka. Ale uznać go za brata? To byłoby śmiesznością.

Ale dziwna rzecz: równocześnie budzi się w nim uczucie jakichś bliższych węzłów. Po pierwszej

chwili buntu, w której nie mógł jeszcze zdobyć się na sąd zimny i sprawiedliwy, teraz przyszło zastanowienie. A zastanowienie wystarczyło, by znaleźć tę samą miarę dla siebie, co dla innych.

— To nie donkiszoterya, to tylko prosta uczciwość. Gdyby ludzie byli uczciwymi, nie miałbym brata, albo ten byłby moim bratem. Skoro żyje, skoro istnieje, a życie jego na innych zasadach i warunkach oparte, niż moje, to wadliwość urzędzeń społecznych, z którymi człowiek oswoił się tak, jak się oswaja z urzędowem bezprawiem. Ale to jest bezprawiem, to jest nieuczciwością. Gdyby ludzie byli uczciwi, to on byłby bratem moim.

Tak ostatecznie rozstrzyga tę sprawę. Ale zatrzymując się przy tym wyniku — dziwna rzecz! — jest rozżalony na ojca i o tym bracie z goryczą w sercu myśleć zaczyna. Obcemu starał się darować winy, nigdy nie zdobył się, co prawda, na darowanie zupełne, bez zastrzeżeń, ale nie myślał już o tém, co się stało, zdawało mu się, że zapomniał. Teraz, to co innego. To jego brat.

Jego brat był zdolnym dopuścić się takiej nikiemości, jak okradzenie kassy pryncypała.

Dawne oburzenie odezwało się w nim znowu. Straszny! straszny niesmak dla ludzkości całej odczuł w tej chwili.

Fala goryczy zalała serce jego.

Halka, ochłonawszy z pierwszego zdziwienia,

siedziała teraz cicho obok męża, nie narzucając mu zdania swego, nie przerywając jego zadumy. Widzi tylko, że on cierpi; przypuszcza, że stacza walkę z sobą. Wie z góry, że z walki tej wyjdzie zwycięsko, ale przez myśl jej nie przechodzi, jaki jest prawdziwy powód cierpień jego. Odgaduje w nim tylko zranioną miłość własną. Z pewnym poczuciem wyższości spogląda na niego. Jak bardzo ludzie ograniczeni są w przesądach swoich — myśli. On miał się za ulepionego z innej gliny, niż Kilański, i nie może pogodzić się z tem, że glina ta sama. Nie posądza go o żal za pieniędzmi, które przyjdzie oddać „pokrzywdzonemu.” Wie z góry, że on to uzna za rzecz sprawiedliwą i słuszną. Ale ciekawa rzecz: jak postąpi w tej sprawie? Czy wyciągnie rękę do „pokrzywdzonego” i powie mu: „Daruj, nie wiedziałem.” — Czy też rzuci mu pieniądze pod jakim błahym pozorem? Czy w takim razie Kilański pieniądze te przyjmie?

Ona nie waha się w zdaniu swoim. Po ochłonięciu z pierwszego wrażenia odrazu bierze stronę „pokrzywdzonego.” Ma dla niego współczucie, lituje się nad nim. Niemal szczęśliwą się czuje z tego odkrycia. Czują w nim „równego.” Teraz zagadka rozwiązana.

Długi czas trwało milczenie, niczem nie przerywane. Złoczowski przechodził jedną z tych chwil zniechęcenia, odrazy do ludzi, nieufności do świata,



pogardy prawie dla bliźnich. Ciężka była to chwila. Ale był to człowiek czynu; nigdy długo się nie wahał.

Był także człowiekiem wiary; twierdził lub przeczył, a wyroki jego były bez apellacyi. I teraz, pomimo serca wezbranego goryczą, nie wahał się w postanowieniu swoim. U niego, nie rozum, nie serce, ale sumienie przedewszystkiem decydowało, że tak a nie inaczej postąpić należy. Dosyć żalu! Trzeba go opanować.

Odwraca głowę w stronę żony, spogląda na nią, gdy ona, profilem do niego zwrócona, w dal patrzy.

Serce jego natychmiastowej doznaje pociechy. Jakże mógł poddać się, choćby chwilowemu zniechęceniu? Jak mógł wątpić o dodatnich stronach ludzkości? Czy ta jego pani, czysta, wyższa, prawa, pełna rozumu, serca i szlachetności, czy ona nie wystarczy, by go ze światem pogodzić? Serce i umysł jego odpoczywają przy niej. Radę i pociechę w niej znajduje.

Od pewnego czasu zdobył ją sobie zupełnie. Coraz więcej przywiązania mu okazuje. Marzył o kobiecie, której serce trudno byłoby pozyskać, a które, raz zdobyte, stałoby się dla męża źródłem spoczynku i nagrodą trudów wszelkich.

W tej chwili bierze jej rękę w swe ręce i pyta, patrząc w jej oczy:

— Co ty myślisz o tém wszystkiem? To strasznie przykre dla ciebie być musi?

— Nie mam najmniejszego żalu do twego ojca—  
odpowiedziała. — Książd miał słusność: nie do nas  
sąd należy.

Złoczowski wdzięczny jej jest za te słowa: ulgę  
mu przynoszą.

— Tobie tak łatwo przychodzi przebaczyć; ty  
jesteś stanowczo doskonalszą istotą, Halko. Ja nie  
umiem się zdobyć na pobłażliwość.

Utkwiła oczy w ziemię, usta jej zadrgały nerwo-  
wo. Uchyliła je, jakby coś jeszcze powiedzieć chciała.  
Silny rumieniec na twarz jej wystąpił, ręce zacisnęła  
kurczowym ruchem.

Mąż jej nie spostrzegł tego. Pochłonięty ważną  
sprawą, zastanawiał się: co mu uczynić wypada,  
czego żąda od niego uczciwość najsumienniejsza?

Po chwilowém milczeniu odezwał się:

— Trzeba mu powiedzieć.

— Kilańskiemu? — pyta Halka, starając się  
gwałtem nadać inny kierunek dręczącej ją myśli.

— Tak mi się zdaje.

— I ja tak myślę. Ma prawo wiedzieć. Co to za  
udręczenie być musi taka nieświadomość; on pewnie  
bardzo nad tém cierpi.

— Niezawodnie. Takie niejasne położenie musi  
być okropnem. Swoją drogą, cóż to pomoże? Ja mu  
praw żadnych nadać nie mogę. Choć bym chciał, nie  
mogę. Co mnie najbardziej boli, to krzywda moral-  
na, która temu człowiekowi wyrządzoną została.

Trzeba było wychować go inaczej. Dać mu inne stanowisko na świecie. W innej sferze, z innymi pojęciami, mniej cierpiałby nad tém. Albo, albo. Gdy się ma sumienie wziąć na siebie straszną odpowiedzialność za życie ludzkie, gdy dogadzając chwilowej fantazyi, daje się życie, to przynajmniej należałoby się zastanowić, co może złagodzić cierpienie takie. Uznać za swego — prosta uczciwość tak-by powinna nakazywać. A jeżeli nie ma się dość poczucia prawości, by się zdobyć na takie, podług mnie, niezbędne zadosyćczynienie, to przynajmniej trzeba brnąć konsekwentnie w złém i nie wyrządzać gorszej krzywdy skazanemu na życie wyrzulkowi społeczeństwa, dając mu wyższe wykształcenie i tym sposobem jasne pojęcie o krzyżującej niesprawiedliwości świata, o... nieuczciwości tych, którzy mu życie dali. Widzisz, Halko, to musi być okropne, wstydzić się za rodziców swoich i nie śmieć imienia ich wymówić.

Złoczowski w uniesieniu przechadzał się tam i napowrót, mierząc pokój szybkimi krokami. Wzburzony był bardzo.

— I jakże — mówił dalej — nagrodzę krzywdę temu człowiekowi? Przedewszystkiem to nie do mnie należy, nie ja zawińłem. Ale to inna rzecz. Naturalnie, czuję się obowiązany płacić za winy ojca. Ale nie zdołam już zmazać ich. Nazwiska przywrócić mu nie mogę, prawnego, jasnego stanowiska w społeczeństwie — także nie. Mogę tylko prawdę mu powie-



dzieć. Nie wiem, czy to cierpienie jego złagodzi, ale powiem: on ma prawo wiedzieć. Mogę także wypłacić mu legat, przez ojca zrobiony; ale pieniędzmi nie zmaże się plamy, na jego pochodzeniu ciężającej.

Halka słuchała, nie przerywając słów męża.

— Sprawiedliwe są jego sądy—myślała—sprawiedliwe, ale i surowe. Własnego ojca potępia bezwzględnie.

Złoczowskiego teorye zawsze były w zgodzie z praktyką. I teraz nie odkładał spełnienia obowiązku.

O ile w zwykłych warunkach ludzie okazują wyrachowanie, egoizm i wiele niskich instynktów, o tyle pod wpływem niezwykłych okoliczności uczucia dodatnie u tych, którzy nie są ich całkiem pozbawieni, biorą górę i przybierają rozmiary pełne szlachetności.

O ile Kilański buntował się na losy, na ludzi, na Złoczowskiego w szczególności, gdy myślał o krzywdzie swojej—o tyle zdumienie jego nie miało granic, gdy Złoczowski niespodziewanie powołał go do siebie i z prostotą, bez wybiegów, bez zasłaniania się prawem, przez ludzi uznanem, wyjawiał mu prawdę.

Kilański cofał się od przyjęcia „odszkodowania.”

— Moralnie nikt na świecie szkody powetować mi nie potrafi; to są rzeczy, które niewinny dźwigać musi na sobie do końca życia, cierpiąc za winy cudze. Temu ani pan, ani nikt w ogóle nie zdoła już zapobiedz, dopóki świat będzie tęp, czem jest.

Zaś materyalnie nie mam prawa do niczego. Pan wiesz o tém. Mnie się jeden szeląg z dóbr pana prawem nie należy. Zresztą, przepraszam, że wspomnę o rzeczy, która dla pana przykrą będzie, ale, przecież chodzi tak samo o mojego ojca... więc... Cóżbyś począł, gdyby na tej samej zasadzie zgłosiło się do ciebie o pomoc kilka osób jeszcze? Czy mógłbyś pan uznać pretensye ich za słuszne?

— Gdyby dowieść mogły. Ale dowiedzenie po śmierci ojca jest nieprawdopodobne, niemożliwe. Tymczasem ciebie ojciec do pewnego stopnia uznał, o twém wychowaniu myślał; to samo wychowanie sprawia, że wrażliwszym jesteś i głębiej czujesz krzywdę tobie wyrządzoną. W tej, sprawie, która takie czy inne wydaje rezultaty, ale zawsze przewrotne, ty zajmujesz wyjątkowe stanowisko, jako człowiek, któremu równie zależy na położeniu jasnym i prawem wobec świata, jak na życiu. Znadto jesteś oświecony, byś nad tém cierpieć nie miał. Ja cierpiałbym strasznie. Dlatego tobie przedewszystkiem zadośćuczynienie się należy. Niestety! i ja przyznaję, że moralnie krzywdy nie wynagrodzę ci nigdy. Mogę cię tylko za blizkiego sobie węzłami krwi uznać, i to między nami. Imię ojca nie powinno po jego śmierci skandalów i komentarzy wywoływać.

— Pan nie zawiniłeś, pan nie masz żadnych obowiązków względem mnie — mówił Kilański z głębokim przekonaniem, zapominając zupełnie w tej

chwili o pretensjach, które żywił do swego pryncypała.

— Prawnie nie, ale moralnie tak; na to nie mogę zapatrywać się w inny sposób. To jest jasne. O to tylko chodzi, by ludzi nie zaprzętać naszymi osobistymi sprawami. Co do materialnej kwestyi, w tej chwili gotów jestem oddać ci 20,000 złr. To legat, który ci się należy. Ale zwracam twoją uwagę, że trochę lekkomyślnym jesteś: pieniądze rozejdą się prędko. Czy nie lepiejby było złożyć je w banku i gospodarować dalej? W Rudce dzierżawa za pół roku się kończy; ty wiesz, że to korzystny interes. Możesz wziąć Rudkę. Jesteś gospodarzem; zostań nim, kapitałik zostaw dla dzieci. To moja rada. Ty, naturalnie, decyduj, jak ci się lepiej wydaje. Dopóki dzierżawca z Rudki nie ustąpi, może zechcesz przedłużyć pobyt swój u mnie. To woli twojej zostawiam.

Kilański poczytywał za swój obowiązek do rady Złoczowskiego się zastosować. Odtąd Czesław inaczej traktował oficjalistę swego.

Choć wszystko zrobił, co mu sumienie dyktowało, przecież, ile razy patrzył na młodego człowieka, zajmującego niejasne stanowisko w społeczeństwie, z plamą na imieniu matki, bez nazwiska; ile razy pomyślał, że to z winy ojca jego—tyle razy doznawał dziwnego uczucia, jak gdyby on sam był winien, jak gdyby on był dłużnikiem Kilańskiego, on, który śle-



pym trafem korzystał ze wszystkich przywilejów, tamtemu, równie, jak jemu, przynależnych.

Kilański był teraz panem położenia, mógł z tego korzystać. Tylko nominalne obowiązki ciążyły na nim, bo Złoczowski nic od niego nie żądał. Ale ztąd wywiązał się rodzaj „walki szlachetnych.” Im mniej wymagano od niego, tém więcej Kilański, jako administrator, starał się spełnić zadanie swe dokładnie i sumiennie.

Pierzchła przed nim ciężka troska o chleb powszedni. Widmo przyszłości nie prześladowało go więcej. Gorycz do świata przez czyn Złoczowskiego, świadczący o szlachetności, zamieniła się w ufność. Wróciła mu wrodzona żywość i swobodu umysłu, którą po ojcu odziedziczył. Odziedziczył po nim i słabość charakteru; pracy nauczyły go tylko okoliczności: inaczej, w warunkach bardziej sprzyjających, byłby i pracę po dyletancku traktował.

Dla pani Kilańskiej horyzont rozjaśnił się teraz; mąż jej poczuwał się do obowiązku wtajemniczenia jej w tak ważne sprawy, które życiu ich inny kierunek nadać miały. Szcześliwą była, widząc go swobodniejszym, rozmawiał, po dawnemu z dziećmi się bawił, śmiał się tak, jak niegdyś.

Lepiej mu było na świecie. Próżnym był, więc uczucie równości, uznanej przez pryncypała, było dla niego ciąglem zadowoleniem miłości własnej. Potém summa, którą niespodziewanie odziedziczył, wydała

mu się dość znaczną, by dogodzić niejednej fantazyi. Myśl niezależności na własnym gospodarstwie cieszyła go. Mniej goryczy odczuwał teraz, gdy się zastanawiał nad położeniem swoim w świecie. Do pewnego stopnia uczyniono mu zadość; pojmował, że do niczego nie miał prawa: więc to, cò dla niego zrobił Złoczowski, wydało mu się, nietylko dostatecznym, ale świadczącym o szlachetności pryncypała.

Od pewnego czasu jest prawie codziennym gościem we dworze, najczęściej bez żony, bo pani Kilańska, cała dzieciom oddana, wymawiała się od wizyt. Ciepłe, letnie wieczory spędzają państwo Złoczowscy na werandzie. Halka prowadzi długie rozmowy z Kilańskim; stanowi to dla niej wielką rozrywkę.

Dziecko jej śpi, więc ma umysł spokojny, coraz spokojniejszy, z wyjątkiem krótkich, okropnych wstrząśnień. Chce użyć szczęścia. Nie, nie! Tak długo pragnęła tej rozkosznej atmosfery, jaką teraz jest otoczona. Nie! Musi przecież zakosztować szczęścia czas jakiś.

Jeszcze nie powie. Czy doprawdy koniecznie powiedzieć musi? Czy księża ze ślubów rozwiązać mogą? Nie śmie zastanawiać się nad tem.

Czasem myśli.

— Bóg nie może żądać odemnie tej ofiary!

Ale pewną tego nie jest. Pewną jest tylko, że winy, tak jak długi, spłacać trzeba, że dzieci nieraz cierpią za rodziców, że pokutują za tych, którzy im

życie dali. Najlepszy dowód to Kilański. Gdy czoło jego zachmurzy się, gdy oczy jego smutek wyrażają, Halce przychodzi na myśl jego niejasne położenie; lituje się nad nim głęboko i o dziecku swoim myśli.

W ten, czy ów sposób odpokutować trzeba: to się stało pierwszym artykułem jej wiary. Więc nie śmie ślubów zrywać, obietnicę Bogu uczynioną spełni, ale chce wprzód zakosztować szczęścia.

Teraz dopiero oddycha pełną piersią, teraz, gdy uroczę dziecko, jej chłopczyzna o wielkich ciemnych oczach, do jej oczu podobnych, o ciemnych włosach i ustach karminowych, życie jej ozłaca. Zdaje się jej, że męża kocha dużo goręcej, odkąd dziecko ich łączy. Gdyby on mi przebaczył — myśli — bylibyśmy zupełnie szczęśliwi!

Teraz szuka tylko spokojności, by wszystkich cierpiących dołączyć znośniejszą uczynić. Słodką jest, wyrozumiała, litościwa; radaby zaparciem siebie płacić Bogu dług wdzięczności. Przywiązanie i szacunek wzbudza do koła.

— Doskonała jest — myśli mąż jej.

— Wyższa, anielska istota — myśli Kilański.

---



### III.

Złoczowskiego sprawy sejmowe do Lwowa powołały. Halka wymówiła się od towarzyszenia mu; nie lubiła miasta, nie lubi Lwowa przedewszystkiem. Smutne wspomnienia zabrała ztamtąd.

Matkę rzadko widuje; nie tęskni za nią. Przeciwnie, z przykrością przyznaje w obec samej siebie, że każda bytność jej w Złotopolu złączona jest z nieprzyjemnościami. Wymówki, że córka się zamyka, że nie umie wyzyskać położenia, końca nie mają.

Halki nic do Lwowa nie ciągnie. Rada korzystać z wymówki, że miejskie powietrze szkodzi małemu Stasiowi, by zostać w domu. Pustki już nie odczuwają. Dni całe schodzą szybko, pełne miłości. Mglawica znalazła punkt oparcia; przy rozbudzonem jej sercu, nietylko dziecko teraz, ale i wszyscy cierpiący ogrzać by się mogli.

Kilański, któremu pryncypał, wyjeżdżając, oddał w opiekę żonę i dom cały, jest codziennym gościem

we dworze. Żona jego coś nakształt zazdrości odczuwać poczyna, gdy, zamiast jej wolne chwile poświęcać, szuka rozrywki gdzieindziej. Ale on nie zastanawia się nad tém. Dla niego codzienne widywanie pani Złoczowskiej stawało się nieodzowną potrzebą. Zamieniało się to w nałóg.

Nawet, gdy począł zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa, zagłuszał sumienie, wmawiając w siebie:

— I cóż to komu szkodzi? Kto o tém wiedzieć będzie? Kto się tego domyśli, że ta kobieta jest mi do życia potrzebną? Przecież patrzeć na nią i rozmawiać wolno każdemu. U świętych nawet wolno szukać tej pociechy.

A chociaż czasem wśród dnia przysięgał się, że wieczorem do dworu nie pójdzie, to gdy nadchodziła pora herbaty, zamiast z żoną do stołu zasiąść, chwycił za kapelusz.

— Muszę się dowiedzieć, co się we dworze dzieje — mówił i uciekał, biegnąc prawie w stronę, gdzie go nieprzeparty magnes ciągnął.

Nie chciał tracić minuty jednej z tych cichych posiedzeń przy kominku, w czasie, gdy wiatr październikowy szumiał i wył na świecie.

Halkę zastawał zwykle z dzieckiem na kolanach. Pieszczoty końca nie miały. Staś zarzucał ręce na szyję matki i wynajdywał tysiąc przeszkód, aby opóźnić chwilę spania.

— Jeszcze w oczka nie pocałowałem.

— Jeszcze w uszko!

— Jeszcze włoski! I ten, i ten, i ten!

A gdy powyciągał wszystkie szpilki z włosów matki, i grubym jasnym warkoczem bladą twarz jej otoczył, śmiał się na całe gardło, ciesząc się z nieporządku, z własnej swawoli. Trudno było kres położyć tej zabawie. Wreszcie i na pacierz kolej przysła. Przekręcając słowa, chłopczyna modlił się za matkę, za ojca, a nie omieszkał nigdy dodać i „za starą oślicę,” wielką jego faworytkę, pasącą się w parku na łaskawym chlebie, i za „Werbla.”

Tych ostatnich słów Halka zawsze ze strachem czekała, a nie mogła przekonać syna, że za „zwierzątka” modlić się nie potrzeba.

— Czy Bozia zwierzątek nie kocha?— pytał.

Matka w kłopotcie była, jak mu wyjaśnić różnicę miłości Stwórcy dla stworzeń swoich. Sama tego nie rozumiała. A syn jej znowu zrozumieć nie mógł: dlaczego nie mógłby się modlić za oślicę i za Werbla?

Kilański przysłuchiwał się rozmowom matki z dzieckiem i rozkoszował się obrazem harmonijnym, który te dwie istoty wytwarzały.

Salonik dywanami był wyłożony, ściany całe pokryte wzorzystymi kilimkami, również i meble. Pełen był kwiatów i ciepła ożywczego, oświetlony więcej blaskami ognia, płonącego na kominku, aniżeli



lampą niską, wielkim abażurem pokrytą. Salonik ten uosabiał dla niego miękką rozkosz życia. Póki dziecko pozostawało na kolanach matki, póty milczał, starając się autosuggestyą wywołać w sobie wszystkie wrażenia, które odczuwałby, gdyby ten cichy estetyczny zakątek był jego mieszkaniem, gdyby to ognisko było jego domowem ogniskiem, gdyby ta kobieta była jego żoną, a dziecko to — jego dzieckiem.

Chwile upływały, do cudnego snu podobne. Serce i umysł Kilańskiego utonęły we wrażeniach rozkoszy, tak upajającej, że i rzeczywistości nie pragnął wtedy, bo siła autosuggestyi złudzenie w rzeczywistość zamieniała.

Halka przywykła była do milczenia młodego człowieka, gdy dziecko było pomiędzy nimi. Może i nie bardzo zwracała na to uwagę, cała zajęta szczerbiotaniem i pieścizotami z synem. Czuła sympatyę najwyższą w niemym świadku tych scen rodzinnych i na chwilę nie była skrępowana jego wzrokiem. Nie zastanawiała się nawet: czy Kilańskiego zajmują słowa jej i rozmowy z synem. Gdy chwilami zwróciła na niego uwagę, przychodziło jej na myśl, że, zmęczony całodzienną pracą, odpoczywa.

Dobrze jej było w tej atmosferze miłości 'macierzyńskiej i przyjaźni, opartej na pokrewieństwie duchowem.

Czasem tylko, od wyjazdu męża, zdarzyło się to

może dwa albo trzy razy, gdy posiedzenie przy kominku zbyt długo się przeciągnęło, gdy dwunasta biła, a Kilański niechętnie i leniwie zabierał się do odejścia, gdy w rozmowie kilkogodzinnej potrącone były przedmioty najróżnorodniejsze, drażniące umysł, a niepokojące serce, Halka wracała do swego sypialnego pokoju z rodzajem niewysłowionego niezadowolenia w duchu.

Jakiś niesmak odczuwała, jakaś drażniąca nuta odzywała się w niej. Ale nie chciała, nie, nie chciała badać powodu tych ujemnych wrażeń.

— Na każdego człowieka przychodzą chwile rozdrażnienia. Lepiej nie podsycać niepokojów analizą. Zatrulałabym sobie chwile szczęścia, może bardzo krótkie chwile. Trzeba je wyzyskać.

W gruncie ducha składa ten wewnętrzny niepokój na wiszący nad nią wyrok, na który sama siebie skazała.

— Sumienie mnie dręczy, że ślubu nie spełniłam.

Nie chciała dopuścić myśli, że sumienie dręczy ją z innego powodu. To były zresztą krótkie chwile tylko. Sen nadchodził; nie ten do zmory podobny, w którym pustkę czuła. Teraz sypiała snem zdrowym i pokrzepiającym. Ostatnie jej spojrzenie było dla dziecka, także i sen dziecka ją do snu kołysał.

Zrana szczebiot syna ją budził, do pełni życia ją powoływał, cel każdej chwili nadawał.

Więc wszelkie niepokoje usuwane były siłą

woli, w najskrytsze głębinę ducha, trzymane w oddali, by „nie zakłócać chwil szczęścia.” Spowiedź, którą sobie jako zadusyęczynienie za przeszłość wyznaczyła, tamowała całkiem zwrócenie uwagi na niebezpieczeństwo nieokreślone.

Bo dlaczegóż upatrywać miała złe jakie w rozmowach, trzymających się zawsze kwestyi oderwanych, pojęć ogólnych, dysput metafizycznych?

Staś ostatni raz zarzucił ręce na szyję matki, ostatnie pocałunki złożył na jej twarzy, i stara, zaufana bona zabrała go z sobą, by go do snu ułożyć.

Kilański czuje, że czas się odezwać, że minęła chwila złudzeń; ale rzeczywistość, do której wraca, prawie tyle jest warta, co złudzenia.

Ona w tej chwili jeszcze za synem myślą wybiega, a twarz jej rozjaśnia się uśmiechem serdecznym, pełnym macierzyńskiej dumy.

— Co tu począć z tym chłopcem? — mówi trochę zakłopotana. — Codzień ta sama historia; po matce i ojcu, w pacierzach, kolej przychodzi na oślicę i Werbla. I cóż ja mu odpowiem na taki mądry argument, że Bóg i zwierzęta kocha?

— Zostawić mu jego religijne przekonania — odpowiada Kilański. — Ostatecznie ani pani, ani ja, ani żaden filozof na świecie wiedzieć nie może, czy Staś nie ma słuszności. Jeśli Stwórca jest, jeżeli jest istotą indywidualną, jeżeli wszystko, co istnieje



we wszechświecie, jest jego dziełem, to zkądże my możemy wiedzieć: czy robi różnicę w miłości dla dzieł swoich? Prędzej przypuścić można, że wszystko otacza jedną wielką, niepodzielną miłością.

— Dlaczego pan dodajesz to wieczne „jeżeli.”? To takie męczące dla umysłu: nigdy na czém inném, jak na „jeżeli,” się nie opierać.

— Odkądże pani sprzeciwia się temu systematowi rozumowania? To wszystko, co oparte na absolutnem twierdzeniu, może nas w błąd wprowadzić. Ten jeden systemat, chociaż nie dochodzi do żadnego stanowczego „tak,” przecież zaślepić nas nie może. Pani dawniej nienawidziłaś stanowczych „tak” i „nie.” Wszystko kończyło się na wielkiem „Być może; nie nie twierdzą, bo nic nie wiem.”

— I do jakiego rezultatu doprowadziło mnie to niezgłębione „*Que sais-je?*” Czy wszyscy trzymający się tej teorii nie są poprostu mgławicami?

— Może to i prawda. Ale z drugiej strony, gdyby nie było ludzi, którzy całe życie borykają się z olbrzymim znakiem zapytania, byłibyśmy pogrążeni w większych jeszcze ciemnościach. Tylko ci, co nic nie wiedzą, a wszystko pragnęliby wiedzieć, tylko ci posunęli świat na jaśniejsze tory.

— Tak, a na tych pseudo-jaśniejszych torach ciągle idą nowe generacje naprzód i tak, jak dawne, narzekają, że nic nie widzą, że ciemno do koła; czy

nie lepiej, choćby się ludzi, że coś wiemy, byle nam złudzenie to za kotwicę służyło?

— To zależy. Dla tych, którzy kotwicy potrzebują, myślę, że lepiej. Wszystko względne jest na tym świecie. Więc i takie pojęcie rzeczy ma swoje dobre i złe strony.

— Widzi pan „dobre” i „złe.” Te określenia same przez się są już twierdzeniem. Jest dobre i jest złe. Na to się pan zgadzasz i tu nie powiesz „jeżeli” jest dobre i złe.

— Na wszelkie pojęcia zgadzam się względnie. Otóż względnie do świata, na którym żyjemy, dobre i złe istnieje.

— Bezwzględnie nie?—pytała Halka z podwójną ciekawością w głosie i jakby z pewną obawą.

— On spojrział na nią uważnie. Po chwilowym namyśle odparł słowami Montaigne’a, dawniej przez Halkę cytowanemi:

— *Que sais-je?*

— Więc przypuścimy, że daję uroczystą obietnicę, że się wiąże słowem: czy wolno mi obietnicy nie dotrzymać, słowo złamać? Nie będzie to ani dobrem, ani złem? W niespełnieniu ślubów nie złego nie ma?

Kilański zelektryzowany był tem pytaniem. Czy rozmowa z ogólnych kwestyi na osobisty przedmiot schodziła? czy też Halka wybrała ten przykład złego i dobrego wypadkiem tylko, nie przywiązując do

tego żadnej wagi. Czyżby myślała o węzłach małżeńskich, gdy rzuciła mu to pytanie? Ale nie, to być nie może. Nie byłaby go tak jasno postawiła.

— Pan znowu powie: „nie wiem” — kończyła Halka — a to przecież jest błędne koło takie waha-  
jące się: „nie wiem!”

— Tu się pani myli — odparł po chwilowym namyśle — ja tylko w teorii uprawiam moje „nie wiem.” Do życia stosować mi go nie wolno.

— Więc jest „wolno” i „niewolno?” — pytała Halka uparcie.

— Zawsze względnie; stosunkowo do tego świata. „Nie wolno” krępuje nas o tyle, o ile do społeczeństwa należymy. Nasz świat jest światem ograniczoności. Dlatego ograniczone określenia „tak” i „nie” tutaj zostały stworzone, bo tutaj muszą być zastosowywane. Są one koniecznym następstwem naszego bytu tutaj. Tak, jak zmysł samozachowawczy, są niezbędne. Ten sam zmysł samozachowawczy dał początek określeniu „tak” i „nie.” Gdyby nie było tych ograniczonych formuł, całkiem stosownych do naszego ograniczonego „ja,” ludzie byłiby dosłownie „jeden drugiemu wilkiem.” Pograżeni byłibyśmy w dzikości. „Tak” i „nie,” „wolno” i „nie wolno” — zakreślają granice dzikim instynktom i są nam tutaj tak potrzebne, jak chleb i woda do życia. Następstwem tego jest, że uroczyście dana obietnica spełnioną być powinna. Gdyby się z pod tej reguły usuwać, kłam-



stwo i zdrada groziłyby na każdym kroku. Ktoś na nas liczy: to wystarcza, byśmy się starali nie zawieść zaufania. Kłamstwo jest rzeczą złą, bo szkodzi bliżniemu. Wszystko, co szkodzi bliżniemu, jest rzeczą złą; tak ludzie z biegiem czasu uznać musieli; taką zrobili sobie fortecę, aby jeden drugiego nie pożerał; mianowicie, aby się nie obawiał jeden drugiego. Obawa dyktowała nasze ciasne formułki. „Obiecuję ci, że cię nie zadławię, byłem był spokojny, że ty mnie dasz pokój.” To cała synteza ludzkich obstrzeżeń, sądów i wyroków. Z pod niej chcieć się usunąć jest to samo, co zostać wyrzuconym ze społeczeństwa. „Nie wolno” istnieje jako ubezpieczenie od złego, które nam bliźni może lub mógłby wyrządzić.

— Ale tam, gdzieś, nad nami, więc pan myśli, że tam nie ma bezwzględnego sądu; że gdy Bogu się coś obiecuje, gdy mu się ślubuje ofiarę jakąś, to, nie spełniając jej, nic nie popełniamy złego?

— To zależy od rodzaju ślubu. Jeżeli bliźni na niespełnieniu obietnicy ma uciepić, wtedy, zważywszy na konwencye ludzkie..

— Ależ bez konwencji ludzkich! — zawołała Halka z pewną niecierpliwością — tylko jedynie odnośnie do Boga.

— To rzecz sumienia. Czy ja wiem? Nie gniewaj się pani, ale doprawdy, któż z nas wyrokować o tém może? Jakże ja mam twierdzić, że Bóg „gniewać” się będzie?

Halka wrażliwym umysłem chwytiała wyraz każdy. Ach! gdyby pewną być mogła, że Bóg sądzić jej nie będzie za czyny jej, że nie zażąda od niej spełnienia ofiary, że dziecka jej karać nie będzie za złamanie ślubów!

Dysputuje z Kilańskim i rada-by zostać przekonaną.

— Pan dowodzisz, że ludzie wątpiący popchnęli świat naprzód: ja, przeciwnie, myślę, że tylko wierzący gotowi są działać.

— I oboje mamy słuszość. Tylko wątpiący, to jest pytający, zgłębiający tajniki, czy to natury, czy duszy ludzkiej, ciekawi rozwiązania zagadki własnym rozumem, niezadowoleni z ograniczenia wiedzy ludzkiej, tylko ci w dziedzinie nauk zasługi położyli. Powiesz mi pani, że Kopernik, Galileusz i tylu innych wierzyli; a ja zapytam: z kąd tego pewni być możemy? Kto czytał w ich duszy? A zresztą, ci pseudo-wierzący wyjątkami byli tylko; wszyscy wielcy filozofowie, wielcy uczeni zaczęli od tego, że nic nie wiedzą; opierali się na hipotezach tylko. Ludzie czynu zaś są po większej części ludźmi dogmatu, ale równocześnie są to ci, którzy z cudzej myśli, z cudzego odkrycia korzystają i teorią wprowadzają w praktykę. Pytający rzucają ziarno myśli swej; twierdzący podnoszą ziarno to i w ruch puszczają. Świat jednych i drugich potrzebuje.

— Do jakiegoż gatunku pan siebie zaliczasz? Nie wierzysz, wątpisz, a jesteś człowiekiem czynu.

— O ile instynkt samozachowawczy popycha mnie do tego. Nałóg, rutyna, przyzwyczajenie, potrzeba—gdyby nie to wszystko, nie byłbym się zdobył na doniosłą pracę niezawodnie.

Przyglądała mu się uważnie. Nagle oczy spuściła i rumieniec wybił się na twarz jej; gdy tego słucha, tamten przychodzi jej na myśl.

Tylko przy mężu o „tamtych” zapomina, a Kilański wiąże się dla niej z przeszłością mimowolnie. On pochwycił wzrok jej i ten rumieniec. O mężu jej myślał, mówiąc o ludziach czynu, ludziach dogmatu. Zdawało mu się, że i ona jego na myśli mieć musiała.

Odurzony był; sumienie miał zahipnotyzowane jej wzrokiem, ciepłem tego pokoju, czarem jej głosu, płomieniem ognia kominkowego, odbijającym się na jej twarzy. Chciał wyzyskać chwilę. Przyczajony niższy instynkt duszy dyktował mu słowa, które miały w jego mniemaniu szkodzić Złoczowskiemu w opinii żony.

Więc kładzie teraz nacisk na zdanie dopieroco wygłoszone.

— Tak—powtarza zwolna—ludzie gruntownych zasad, ludzie dogmatyczni, są zwykle ludźmi ograniczonego umysłu.

Halka zrozumiała alluzję, ale zamiast zadowolenia, coś nakształt żalu do Kilańskiego odczuła. Była-



by chciała stanąć w obronie ludzi, o których on tak lekceważąco się wyraził, ale skończyło się na dobrych chęciach tylko. Umysłem, imaginacją zawsze Kilańskiemu słuszność przyznawała. Słowa Kilańskiego porywały ją i rządziły pojęciami jej. Czyny męża pociągały ją i przykład jego oddziaływał na nią dodatnio.

Gdyby nie owa pokuta, którą sama na siebie nałożyła, a która zaciemniała jej przyszłość, to mąż byłby niepostrzeżenie zamienił się dla niej w bezpieczną przystań. Czowała w nim siłę, oparcie dla siebie.

Mąż był dla niej oparciem, tak w siebie wmałwiała, czuła w nim serce i siłę. Ale Kilański był dla niej dopełnieniem szczęścia. Mąż ją kochał, a i to drugie serce...

Nie! nigdy dotychczas nie powiedziała sobie wyraźnie, że i to drugie do niej należy, ale czuła to instynktownie. Teraz, gdy Kilański wymierzył pocisk przeciwko mężowi jej, w pierwszej chwili bronić go zamierzała, ale zastanowiła się.

— Nie, to być nie może — pomyślała w końcu — on ma zanadto wysokie pojęcie o Czesławie, zawiele mu winien: dlaczegóżby o nim właśnie sąd swój wygłaszał?

Godzina jedenasta wybiła. Rozmowa dnia tego rwała się trochę. Pierwszy raz Kilańskiego myśli nie były zdolne swobodnie bujać z przedmiotu na

przedmiot. Jakiś zamęt w głowie jego powstawał, niepokój go ogarniał. Swoboda znikła; byłby wolał milczeć i patrzeć tylko na nią, a czuł, że to nawet, gdy są sami, wzbronione mu jest.

Żyć, milczeć i patrzeć—to już zanadto. Więc nagle, bez żadnego przygotowania, chwycił za kapelusz i pożegnał Halkę.

Zdziwiona, patrzyła na niego. Czy go dotknęła jakimś słowem? Czy mu przykrość jaką wyrządziła?

Nie, nic sobie nie miała do wyrzucenia. Na jej zapytanie wytłómaczył się, że ma jeszcze dużo korespondencyj do załatwienia—i wyszedł.

Noc chłodna, wiatr ostry, świszczący, smagając go po twarzy, krew w nim ostudził. Przytomność wracała mu powoli; ochłonął.

— Więc raz na zawsze, wszyscy bez wyjątku, jesteśmy niewolnikami tego samego prawa? — pytał sam siebie z budzącym się buntem w duszy. — Więc doprawdy część upragnionego dobra, jego najlepsza, jego duchowa strona, nie ma nam wystarczyć? nigdy? Więc nie, nie, nie czysto umysłowego, duchowego człowiekowi sytości dać nie może? Więc to będzie wiecznym złudzeniem, że w miłości na duchu się ograniczamy? Wiecznie w tę samą łapkę wpadać będziemy, jak marne myszy, gdy zaufamy czystości naszych intencyj, sile i wyższości ducha naszego!

I oburzony był na siebie, na niedoskonałość na-

tury ludzkiej. Miał przecież czyste intencje. Nigdy nie zaświtała mu myśl rozerwania tych dwojga ludzi, zabrania żony Złoczowskiemu. Kochał ją: tak, teraz wie już o tém; ale zdaje sobie i z tego sprawę, że kocha ją już od lat całych, a przecież nigdy nie powstało mu w głowie, że inaczej, niż myślą tylko, należeć może do niego. Nawet co do jej ducha nie rościł sobie pretensyi, nie przypuszczał, że myśli jej nim się zajmują.

Do tej chwili zadawał się tą drobną częścią, którą mu ona z życia swego, z czasu swego wydzielała. Zdawało mu się, że to wystarczy na zawsze.

Dlaczego nagle?...

I znowu bunt przeciwko ludzkiej naturze podnosi.

— Dlatego, tylko dlatego, że z nią sam na sam kilka wieczorów spędziłem? Więc to, co powinno było starczyć za więcej, niż marzenia moje, to samo sprawia, że chcę jeszcze więcej, że widzę niemoc duchowej strony uczuć ludzkich?

Rwanie się rozmowy dzisiaj, zakłopotanie i chaos w myślach: to wszystko wskazówką było dla niego.

Koniec więc; ostatnia chwila wybiła dla tych umysłowych, czystych rozkoszy...

Koniec. To przecież jasne, to nie pozostawia wątpliwości żadnych. Nie, on nie uznaje bezwzględnego „wolno” i „nie wolno”, ale przecież stosuje do-



słownie w życiu swoim pojęcia, przez świat jako drogoskazy przyjęte.

Jemu nie wolno patrzeć na tę kobietę inaczej, jak na żonę cudzą, żonę dobroczyńcy swego. Nie wolno mu dotknąć ręki jej z inném, jak z przyjacielskiem, uczuciem. Nie wolno mu gonić za nią myślą inaczej, jak za duchem, za oderwaném marzeniem, bez ciała, bez zmysłów.

— Nie pójdę tam więcej — rzekł stanowczo — nie wolno mi: to cudze dobro. Dość już nisko upadłem raz w życiu. Nie pójdę. Za dwa miesiące opuszczam Złotopole, i wszystko się skończy: i sen mój złoty, i chwile rozkoszy. Rzeczywistość tylko zostanie. I to dobre, co wyzyskałem w życiu. Nie każdemu dane są chwile chociażby tylko takiego szczęścia.

Nazajutrz Halka siedzi na swém zwykłym miejscu w pobliżu kominka. Staś na kolanach jej ma rozłożoną książkę z obrazkami; udaje, że czyta, recytując na pamięć historię o kotku, który był chory i leżał w łóżeczku; Halka kilka razy już przerwać chciała ten literacki zapal, by przypomnieć pacierz, ale dziecko wyprasza się.

— Mamusiu, jeszcze nie, jeszcze pan Tot nie przyszedł, jeszcze troszeczkę.

Pan Tot, to jest pan Konstanty, wejściem swoim dawał zwykle sygnał do ostatnich popisów. Przychodził o ósmęj: to pora na „dobranoc” dla Stasia. Wtedy chłopczyną na zapas matkę całował

i śmiał się, zagadkowemi słowami koncepta prawil, potém pacierz następował i chwilowe rozstanie z matką. Ale dziś Staś już i poziewa nad owym chorym kotkiem, a „pana Tota” nie widać.

Halka, zdziwiona, spogląda na zegarek: już wpół do dziewiętej.

— Stasiu, zmów paciorek, już bardzo późno.

— A pan Tot?

— Dziś już nie przyjdzie.

— Miał przynieść laskę z piesem! — woła z rozczarowaniem chłopczyną, z oczyma łez pełnemi.

— Przyniesie jutro.

— Mamusia sama zostanie?

— Sama.

Dziecko ze strachem dokoła spogląda; salonik tak dużym mu się wydaje, tyle w nim ciemnych ką-tów, tyle cieni poruszanych po meblach ogniem kominika. Jemu zwykle dobrze bardzo w tym saloniku; między matką i ojcem czuje się bezpiecznym, albo między matką a panem „Totem”. Ale samemu tam zostać—brrr!... za nic w świecie, więc i mamy nie godzi się narazić na takie niebezpieczeństwo.

Woła teraz błagalnym głosem:

— Mamusiu, nie sama, nie sama! chodź ze mną! chodź spać!

Matka stosuje się do prośby dziecka, układa go do snu, tuli, całuje; tymczasem oczy Stasia zamykają się, rączkami rękę matki do serduszka tuli. Zasnął.

Halka zwolna wysuwa rękę z uścisku dziecka, jeszcze raz w czoło je całuje i wychodzi pocichu z sypialnego pokoju, dążąc na swe ulubione miejsce przy kominku.

Czemu staje zdziwiona i zatrzymuje się chwilkę? Oczy jej szukają kogoś widocznie. Czy to być może? Więc ona doprawdy wieczór ten sama jedna ma spędzić? Doznaje wyraźnego rozczarowania. Tak bardzo liczyła na codziennego towarzysza, tak przywykła widzieć go obok siebie od pewnego czasu.

Od pewnego? Od tygodnia tylko, i już przywykła.

Dlaczego nie przyszedł? Musi być niezwykle zajęty, ale to tłumaczenie nie wystarcza jej. Rozczarowanie odczuwa w dalszym ciągu. Zajęty! Więc są sprawy, które mogą go oderwać od rozmowy z nią? Więc te wieczorne godziny nie są dla niego ważniejszymi od wszystkiego na świecie?

Ktoby temi słowami określił głośno wobec Halki uczucie zawodu, jakiego doznała, byłaby oburzyła się na podobne przypuszczenie. To, co się w niej działo w tej chwili, było wrażeniem przykrém, ale najzupełniej machinalném. Nie miała pojęcia, o co jej chodzi, czemu doznaje przykrości.

Szukała powodów usprawiedliwiających jej żal.

— Takie samotne życie pędzę! Towarzystwo czyjekolwiek, byle odpowiednie moim wymaganiom, jest dla mnie rozrywką.

Uspokojona tą myślą, pozostała czas jakiś na



miejscu, nieruchoma, wpatrzona w ogień kominka. Ani przypuszczała, że ucho jej pozostawało w naprężeniu, oczekując zbliżających się kroków; zdawało się jej, że nie myśli o niczem, w każdym razie pewną była, że nie myśli o Kilańskim, a jednak czekała jeszcze, w nadziei, że choć późno, ale nadejdzie.

— Nie; dziesiąta wybiła. Stanowczo dzisiaj już się z nim nie zobaczy.

Wstaje z miejsca, zbliża się do biurka i zabiera się do listu. Codziennie do męża pisuje; prosił o to: jak zwykle, stosuje się do woli jego.

Pióro w rękę trzyma; ale niezupełnie wie, od czego zacząć. Myśl jej wybiega naprzód. Widzi męża swego między posłami. Słyszy, jak, wstając, głos zabiera. Wszystkie oczy na niego zwrócone. Wyniosła postać, o bystrém intelligentném spojrzeniu, o szlachetnym myślącym wyrazie twarzy, odróżnia się od tylu fizyognomij, nie nie znaczących, napiętnowanych bezdusnością.

Halka słyszy dźwięczny, donośny głos jego. Czesław mówi wolno, dobitnie; jednego frazesu nie słyhać, żadne zdanie nie jest obrachowane na efekt.

Halka widzi to i słyszy to wszystko; była obecna przy publiczném wystąpieniu męża, przypomina sobie, że gdy mówić przestał, oczy jego podniosły się w górę ku łóżom. Oczy te jej szukały, a gdy na niej spoczęły, uśmiech serdeczny rozjaśnił poważną

twarz Czesława, w spojrzeniu przesłał jej myśl swoją, przesłał jej kilka gorących uderzeń serca.

Halka ani wątpi, że tęskni do niego. Gdyby on tu był w tej chwili, gdyby oprzeć się o ramię jego i słuchać jego głosu, to i serce zaraz się ucisza, i krew spokojniejszą falą płynie. On nią kieruje, w słowach jego tylko prawda i prawość się mieszczą. Jeszcze cały miesiąc! Cały miesiąc w samotności!

Myśli jej, pchnięte na inny tor, zwróciły się do właściwego źródła; teraz pisze spokojna.

„Taki długi, długi wieczór bez ciebie (w tej chwili przysięgłaby, że nie kogo innego, lecz tylko męża brak jej, że gdyby on był, nie tęskniłaby do nikogo), chwila każda zdaje się nieruchomić, i ciężka, ołowiana, leży mi na sercu.”

Wiernie określa uczucia swoje. Myśli jej i zamiary czyste są jeszcze; to coś, co ją gnieść zaczyna i dręczyć skrycie, bierze za tęsknotę do męża.

„Staś śpi. I on już rozumie ciężar osamotnienia, bo nie chciał się zgodzić na zostawienie mnie samej jednej. Nasz jedynak codzienn więcej rozumu nabiera; dzisiaj pytałam go: „Gdzie ojciec?” „Na sądzie”. Sejm sądem nazywa. „A co tam robią na sądzie?” „Kłóć się.” „Ojciec także się kłóci?”

„Widocznie pytanie moje bardzo go zakłopotало; nie mógł sobie wyobrazić, byś ty był zdolny do czegoś, co na naganę zasługuje.”

„Po dłuższem zastanowieniu odparł: „Nie, tamci

się kłóca, a ojciec godzi<sup>4</sup>. Pojmiesz, jakim to zabawnym językiem było powiedziane; mam tę jedną wyższość nad tobą, że rozumiem język syna naszego. Po za t<sup>em</sup>, od ciebie wszystkiego uczyć się powinnam. Ty znowu weźmiesz słowa moje za frazes bez znaczenia. Gdybyś ty mnie nie przeceniał! Gdybyś ty chciał uwierzyć, że ja ciebie godną nie jestem! Ty myślisz, że to wyegzaltowana skromność z mojej strony; a czemu nie chcesz pojąć, że to nie egzaltacya, ale prawda? goła, smutna, najrzetelniejsza prawda?

Halka chciałaby męża przygotować, chciałaby, żeby się domyślił, iż w życiu jej zaszło coś, co ukrywała mu dotąd, by przyszedł do niej. Boże mój! Gdyby przyszedł, a objął ją ramieniem, do serca przycisnął!

Halka zamyka śpiesznie tekę z listem do męża. Dzwoni, każe gasić lampy, ogień kominkowy, przywołać pannę służącą, i udaje się do sypialnego pokoju. Tam widok uśmiechnionej we śnie twarzyczki syna chwilowo rozpędza wszelkie chmury. Byle jeszcze mieć spokój, jeszcze kilka miesięcy, ach! gdyby lat kilka!

Nazajutrz inny prąd myśli, cały skierowany w stronę dziecka, zaprzątnął Halkę zupełnie. Złożoną teraz była z dwóch osób całkiem różnych; dwie dusze odmienne zdawały się przebywać w jednem ciele. Jedna, spokojna, uśmiechniona, spełniająca



z rozkoszą codzienne obowiązki matki, żony i kobiety obdarzonej gorącym sercem; druga—mglista jeszcze, chaotyczna, pełna obaw, gotowa w każdej chwili dać się porwać zgubnym wpływom, bez oparcia religijnego, bez zasad, szukająca wrażeń, nie zdająca sobie z nich sprawy, przesiąknięta egoizmem, szukająca osobistego zadowolenia, osobistych korzyści. Ta druga, po urodzeniu dziecka, na dłuższy czas usunęła się, czy zamarła. Ale to było tylko chwilowe.

Teraz gotowa jest zaćmić tę jasną duszę macierzyńską. Halka nie wie o tem. Zagłusza w sobie złe porywy. Zamyka oczy na niebezpieczeństwo.

Nadchodzi drugi wieczór. Dziś z pewną obawą Halka na drzwi spogląda. Czy znowu sama ma zostać, czy znowu widmo wspomnień prześladować ją będzie? Słyszy kroki zdaleka: to Kilański, niezawodnie.

Ale nie; służący wnosi gazety i listy na tacy. Halka przerzuca papiery, nie spostrzega, że tuż za służącym Werbel, nieproszony, zmokły, zziębły wsunął się nieśmiało, skralając się pocichu, tuż pod ścianami. Byłby uszedł niebezpieczeństwa, gdyby nie okrzyk najwyższej radości, wydany przez chłopczyka o jasnych długich lokach i ustach okraszonych ciągłym uśmiechem; choć oczy tęskne miał, jakby wieczną lżą przyćmione.

Halka obejrzała się. Twarz jej wyrażała niezadowolnienie, ale to pierzeło natychmiast, gdy oczy

jej na synu spoczęły. Werbel tymczasem obrał stanowisko pod ścianą, przysiadł na tylnych łapach i złowrogo spoglądał na służącego, który ręce włożył za jego obrożę, chcąc go wyprowadzić niegrzecznie, skoro przeciwko słowom perswazyi pies wyraźnie protestował. Oczy jego mówiły: Choćbyś się na głowie postawił, mój przyjacielu, ja się ztąd nie ruszę. Dobrze mi tu i ciepło, więc się nie trudź daremnie, bo mi nie dasz rady.

Halka walce tej przyglądała się chwilę niezdecydowana. Te same rozumne oczy Werbla, choć wyzywały do walki Jacentego, kierowały się błagalnie w stronę pani; widocznie Werbel chciał sobie wyprosić pozwolenie ogrzania się przy kominku, a wiedział, że tylko pani jego ma prawo jedném skinieniem ręki za drzwi go wysłać.

Nie wiadomo, czy niema prośba psa byłaby osiągnęła pożądany skutek, ale wyciągnięte w obronie jego rączki Stasia i niepokojem technąca cała fizyognomia dziecka, ale wołanie na ratunek: — Mamo, mamó! on Werbla zadusi! — przebłagały Halkę i zmokłe, zabłocone psisko zostało na miejscu.

Pies i dziecko zwyciężyły.

Teraz zaczęły się popisy. Werbel doskonale rozumiał, komu jest winien ulaskawienie; chciał się wywdzięczyć, więc dał się ciągnąć za ogon, za uszy, wił się razem ze Stasiem po dywanie, łapał dziecko za rączki, za nóżki, ale tak delikatnie, że zamiast

strachu, wywoływał tylko kaskady śmiechu srebrnego.

Biała sukienka chłopczyzny zamieniła się na jakiś nieokreślony kolor, twarzyczkę miał błotem zawalona, rączki zabrudzone; ale taka rozkosz malowała się w oczach i w uśmiechu jego, że matka zapomniiała chwilowo, iż kogoś oczekuje, a wzrokiem biegła tylko za swoim jedynakiem, rozkoszując się harmonią ruchów jego, słodyczą jego spojrzenia.

Posiedzenie wieczorne znowu niezwykle długo trwało. Nareszcie Staś zmówił pacierz, przytrzymując obiema rączkami głowę doga, potem parlamentował długo z matką, proponując Werblowi gościnność w swoim łóżeczku.

— Zaciasne! Nie zmieści się!

— To w nóżkach u mamy!

— Brudny jest: patrz, jak wygląda; do czego ty już jesteś podobny? — tłumaczyła bona.

Staś poważnym wzrokiem ogarnął bosc nóżki swoje, zgniecioną i zabłoconą suknię i brudne rączki, mocno skonfundowany, stał chwilę, poczuwając się do winy. Ale przecież to nie dowód. Werbel dlatego miałby spać gdzieś w ciemnej sieni, na zimnej podłodze?

Ostatecznie wytargował dla faworyta gościnne łóżko, tak przynajmniej bona obiecała, aby dziecko skłonić do opuszczenia saloniku. Chłopczyzna palu-



szek do noska przyłożył, a patrząc zblizka w oczy Werbla, mówił mu:

— Umyj się grzecznie, zmów paciorek i idź spać.

Werbel wysłuchał rozkazu w postawie pełnej uszanowania. Po zniknięciu Stasia zwrócił oczy na panią, czując, że pewnie i dla niego wybiła godzina pożegnania. Ale Halka nie zwracała na niego uwagi, odczytywała z widocznym niepokojem list jakiś, a troska przebijała w jej oczach.

To list d Wacka, brata jej. Ruina mугrozi. On ją sprowadził, więc słusznie, że pokutować będzie. Ale troje dzieci? ale żona młoda, przywykła do zbytków? A w takiej tajemnicy trzymał Drohiński niepowodzenia materyalne, tak się umiał zasłonić przed wszystkimi, gdy chodziło o olśnienie, o błyszczenie bądź co bądź, że teraz zapóźno już. O ratunku niema mowy.

Ze śmiercią matki Luny, mąż jej cały majątek zabrał w swe ręce; spekulował—o tém wszyscy wiedzieli. Śmierć pani Wasiliczowej sprawiła, że ziemia, którą Drohiński chciał sprzedać, wywołując taki energiczny opór żony, została ocaloną, a kapitały otrzymane w spadku, pozwoliły Wackowi spekulować bez narażenia się na sceny z żoną i jej rodziną.

Dlatego Złoczowski, choć niezadowolony z trybu życia, jaki Dhobińscy wiedli, do tej chwili nie miał

żadnej wyraźnej podstawy, by się trwożyć. Wacław bardzo rzadko spotykał, a gdy odwiedzał Lunę, widział ją pochłoniętą dziećmi, samą dziecinnie wesołą, odczuwającą tylko wrażenia bieżącej chwili. Ale Halka z listu brata wnosić mogła, że źle bardzo się dzieje, zaniepokojony był, a to wystarczyło, by ją trwogą napęlić.

Byłaby się chciała opędzić od tych obaw, wywołujących wyrzuty sumienia; poczuwała się niemal do współnictwa w spowodzeniu katastrofy, grożącej bratowej i jej dzieciom.

Dreźczyła się i denerwowała, a w miarę tego coraz goręcej pragnęła towarzystwa, by się otrząsnąć z niepokoju.

Samej zostać, w tej chwili, po odczytaniu tego listu? Samej zostać z wiązaniami się w jeden łańcuch wspomnieniami! z sumieniem, które, znowu zaalarmowane, grozi burzą, taką męczącą burzą!

Po dawnemu boi się. Boi się wewnętrznych zadrążeń, boi się tchórzliwie bólu wszelkiego.

Ta druga część jej moralnej istoty jest tak małoduszna!

Czy jemu doprawdy na myśl nie przyjdzie: jak bardzo smutno być jej musi?

Doznaje zawodu, nerwy ma niezwykle naprężone, i nie sercem, ale nerwami i wiecznie ruchliwą imaginacją oczekuje, choć wmawia w siebie, że jej na tém tak dalece nie zależy, że, co najwyżej, uczuwa

trochę żalu do człowieka, który jej tyle przyjaźni okazywał, a teraz zaniedbuje ją w samotności.

Drobny deszczyk jesienny uderza monotennie o szyby okien; od czasu do czasu wicher zajęczy żałośnie lub zaświszczy złowrogo i znowu nic nie słychać, tylko wieczne „tik tak, tik tak” starego zegara.

Halka, z książką w rękę, siedzi nieruchoma, Werbel u nóg jej. Jest to jeden z tych wieczorów, w których trudno jej zapanować nad sobą; słuch w naprężeniu zdaje się nabierać osobistej woli, zdwojonej siły. Każdy szelest wywołuje w niej niespokojne drgnienie, każdy cień światłem poruszony zdaje się ukrywać życie w sobie i szeleścić, czołgając się z miejsca na miejsce, jakby miał zamiar nastraszyć ją, nerwy jej podrażnić.

Halka znajduje się w tym stanie podniecenia, że nie śmie się obejrzeć, nie śmie prawie poruszyć się. Wstydzi się swej niepojętej trwożliwości. Mogłaby wstać, schronić się do swego sypialnego pokoju, ukołysać zabobonne obawy słodkim, rytmicznym oddechem śpiącego dziecka; ale nie chce poddać się trwodze, która jej się dziecinną wydaje, postanawia zwyciężyć ją. Nie rozumie tego, co czyta; stara się jednak opanować niepokój.

— Czegóż ja się boję? — pyta sama siebie. — Przecie nie śmierci? Nigdy, ani jej, ani tego, co się z nią wiąże, nie lękałam się. Przecież siedziałam nie-



raz przy konających, czuwałam przy zmarłym ciele Feliksowej.

To wspomnienie, zamiast jej równowagę przywrócić, dreszczem ją przejmuje. Zakrywa oczy, by nie widzieć martwej staruszki w trumnie spożywającej.

W ślad za tym wspomnieniem idzie drugie. Teraz widzi czeremchę okrytą kwieciami i słyszy głos słowika; ale nie, ten, na którego wzrok jej pada, to nie postać pełna życia: to martwe ciało.

Krajobraz się zmienia. Zwłoki młodego człowieka leżą zeszywniałe na śniegu, oczy jego, otwarte szeroko, patrzą na nią; ręka kurczowo zaciśnięta.

— Czy wolno?

Halka drżała jeszcze, patrząc na niego nieprzytomnymi oczyma. Ten głos tak ją przerażał! Wie nareszcie, wie już, dlaczego Kilański przypominał jej zmarłego. To ten sam dźwięk głosu metaliczny, o niskim brzmieniu.

Po raz wtóry słyszy:

— Czy wolno wejść? — zanim się zdobywa na odpowiedź:

— Proszę, bardzo proszę!

— Przestraszyłem panią. Bo też doprawdy masz pani prawo złać mnie porządnie; zjawiam się o niemożliwej porze. Już po dziesiątej być musi. Ale trzeba mi darować — mówił dalej, ociągając się ze słowami.

Nie myślała mu przerywać. Powoli przychodziła do siebie; miała wrażenie, jakby, unikając groźnego niebezpieczeństwa, ocaloną została nagle, a w sposób przynoszący niewysłowioną ulgę.

— Trzeba mi darować — mówił dalej — nie miałem zamiaru przeszkadzać pani, ale byłem tak zajęty przez te dwa dni, że nie znalazłem nawet czasu, by się dowiedzieć, co się we dworze dzieje. Dopiero teraz wyrwałem się na chwilę i chciałem tylko Jacentego zapytać o zdrowie państwa; myślałem, że pani śpi może. Jacenty powiedział mi, że pani jeszcze w salonie, przy kominku, więc... no, trudno! Trzeba mi darować. Tak zimno, dżdżysto na dworze, przyszedłem ogrzać się trochę.

— Dobrze pan zrobiliś — odparła Halka, oddychając głęboko, jakby jakiś wielki ciężar z serca jej się usunął.

— Ale nie dobrze, że panią przestraszyłem; czy pani kroków moich nie słyszała?

— Po dywanie nigdy nie słychać. Tylko, byłam dziś tak nieznośnie nastrojona. Bałam się, Bóg wie czego! Aż wstyd się przyznać.

— Pani się bałaś? — pytał Kilański ze zdziwieniem, zabierając miejsce na niskim, szerokim fotelu, tuż obok niej—ja myślałem, że pani nie wiesz, co to strach; tak mi dawniej mówiłaś.

— Tak, dawniej, wtedy nie bałam się śmierci, nie byłam zabobonna. Teraz, i to dziś dopiero, spostrze-

gam, że boję się duchów gorzej od Stasia. On, zostawiony sam jeden tutaj, pewnie nie byłby przeszedł przez takie trwogi.

Milczeli chwilę oboje; on byłby chciał znaleźć słowa na uspokojenie jej, byłby chciał okazać jej żal swój — żal?

Nie zastanawiał się w tej chwili, dlaczego jej żaluje i że ostatecznie nie ma żadnego powodu do współczucia. Dość mu było widocznego jej wzruszenia. Odezwało się w nim nanowo gorące pragnienie, by ręce jej, choćby ręce tylko, pochwycić i do ust przycisnąć, i, nie mówiąc nic, wyznać jej, że to nie było obojętnością z jego strony, ale bohaterstwem, iż odmawiał sobie jej widoku przez tych dni kilka. A teraz żaluje tego, co za bohaterstwo poczytywał. Tę wątłą, drżącą, drżącą, samotną istotę zostawić na pastwę długich godzin jesiennych...

— Gdybym był wiedział, że się pani boisz, to...

— To nie byłbyś pan tak niepocziwie zapomniiał o nas. Staś żywi wielką urazę do „pana Tota.” Laski obiecaniej nie mógł się doczekać. Myślałam, żeś pan doprawdy wyrzekł się nas nadobre.

— A ja tymczasem... No, co to o tém mówić? Wcale nie ciekawe rzeczy.

— Czy jakie wyjątkowo ważne interesa?

— Ha, ha, ha! — roześmiał się Kilański trochę ironicznie. — Ważne interesa! Gdybyś mnie pani знаła choć trochę, to wiedziałabyś, że dla mnie wa-



żnych interesów nie ma. Życie, które wiodę, wychodzi po za obręb mojego osobistego życia. Może dlatego, że się nigdy nie potrafię zapalić do tych spraw hreczkosiejских, że je z taką zimną krwią traktuję, może dlatego daję sobie radę z łatwością. Dla mnie nawał interesów nie istnieje, nigdy im się do tego stopnia opanować nie dam; w każdej chwili, niestety, potrafię zdać sobie sprawę z mojego „ja”, które jest po za granicami rzeczywistości. Nie żyję w tém wszystkim. Pani wiesz, że nie jestem agronomem amatorem.

— Więc ostatecznie, dlaczego pan nie znalazł chwili dla biednych samotników? — pytała Halka z uśmiechem.

— Dlaczego, dlaczego? — mówił machinalnie, w dal patrząc.

Teraz, zamiast odpowiedzi, sam zapytał:

— Czy wolno palić?

— Naturalnie: pan bez papierosa, to nie pan; kilka kólek mglistych tak dalece należą do całości, gdy o pana chodzi, że inaczej nie umiałabym go sobie wyobrazić.

Kilański wstał, zbliżył się do lampy, by zapalić papierosa, potem już nie usiadł na dawnym miejscu. Nerwowy był, ruchu potrzebował.

W rogu salonu stał fortepian; przy nim się zatrzymał, podniósł wieko, wziął kilka cichych akordów jedną ręką.

— Może Stasia obudzę? — pytał.

— Orkiestra mogłaby marsza grać nad łóżeczkiem, a onby się nie obudził. Po ojcu sen odziedziczył. Może pan grać noc całą!

Kilański usiadł przy fortepianie i zabrzmiało ciche, pełne znaczenia, pełne głębokiego żalu pytanie.

— Dlaczego?

Dlaczego serce ludzkie rwie się ku szczęściu, o którym myśleć mu nie wolno? Dlaczego nie wolno? Dlaczego ból jest towarzyszem człowieka? Dlaczego sercu nie można milczenia nakazać? Dlaczego krwawą ofiarą jedynie okupić sobie można chwilę, nie upojeń, nie szczęścia, lecz tylko zgody z... czém? Bo czemuż poświęca się najdroższe sny swoje? Na jakim ołtarzu składa się ofiarę z własnych pragnień, rojeń i marzeń?

Dlaczego? dlaczego? dlaczego?

Te wszystkie pytania rzucił Kilański w odpowiedzi Halce na jej:

— Dlaczego nie znalazłeś pan chwili dla mnie?

Tę swoją dręczącą *idée fixe* zamknął w nieśmiertelnej pieśni Schumana, w której mistrz rzucił wyzywające pytanie wszystkim zagadkom dręczącym umysł ludzki, a każdy słuchający pieśni tej o co innego pyta.

Skończył.

Znowu milczenie zapanowało, tylko ostatnie tony „Warum?” zawisły w powietrzu i drgały jęcząc zcicha.

— Teraz pani wiesz: „dlaczego?”

Harmonia boskiego „Warum?” otaczała ich jeszcze,

płynąc nad nimi falą melodyi, więcej niepokojącej i narkotycznej, niż kiedy silnie i wyraźnie z pod palców wirtuoza się unosiła.

— Nie, nie wiem — odparła Halka machinalnie; nie miała intencji wymówić słów tych. To zawsze tylko pytanie; odpowiedzi pan mi nie dałeś.

Teraz zabrzmiała nuta „Ave” Schumana. Tylko dwa zdania: pierwsze, choć krótkie, zawarło w sobie wszystko, co serce wezbrane beznadziejnym uczuciem wyrazić może żalu, tęsknoty i skargi namiętnej; w drugim westchnienie po westchnieniu, jęk po jęku następuje. Znowu pierwsze, żalodne i ciche, wraca, i tak naprzemiany. Te dwa krótkie a treściwe zdania możnaby do nieskończoności powtarzać, zawsze to samo, to samo.

Kilański wstał od fortepianu i, nic nie mówiąc, począł przechadzać się w zamyśleniu tam i napowrót.

Wyznał wszystko, a teraz bał się, czy Halka nie zrozumiała; bał się tego i pragnął równocześnie. Ale ona zrozumieć nie chciała. Coś niezwykłego w niej się działo. Opanowana była czarem, płynącym z tych wieczornych godzin, pełnych słów niedomówionych i uczuć wzbronionych. Nie pozwoliła jednak odezwać się rozsądkowi, przemocą zagłuszyła sumienie.

— To tylko urok muzyki mnie rozmarzył — wmawiała w siebie. — Tylko uczucie sympatyj dla bratniej, pokrewnej duszy ogrzewa mnie.



Milczeli oboje. Ona pierwsza lękała się odezwać; jeszcze więcej lękała się, by jej nie zapytał:

— Czy teraz pani rozumie?

To wszystko jednak było wrażeniem niejasnym; nie czytała w sobie, bo czytać nie chciała.

On w tej chwili pracował nad tēm, by opanować siebie, by móżdżek odezwać się spokojnie i rozsądnie. Chciał znaleźć coś obojętnego do powiedzenia i szukał daremnie

Nareszcie Werbel wybawił go z kłopotu; podnosząc się, potracił o maleńki lekki stolik, na którym stało pudełko z fotografiami. Męcząca chwila ciszy minęła. Kilański, zbierając fotografie, pytał:

— Zkądże raptem Werbel do łask wrócony został? Miałem trochę żalu do pani z jego powodu.

— Z jego powodu?

— Naturalnie. Dlaczego psułaś go pani? Kiedy się jakiegokolwiek żywe, czujące stworzenie przyzwyczai do wielu rozkoszy, to nie trzeba zmieniać postępowania, bo się mieć może na sumieniu wielkie cierpienie. Ja myślę, że nie tak nie boli, jak -doznany zawód.

— Już to taki los wszystkich faworytów — usprawiedliwiała się Halka. — Psy, koty, kanarki, wszystko ustępuje, gdy dziecko się zjawi. To wina Stasia.

— Jest to tylko dowód bezwzględnego okrucieństwa człowieka.

— Taki straszny zarzut, dla takiego błahego powodu!

— To nie błahy powód. Tylko egoizm ludzki nie w tém złego nie widzi.

— Pan mnie masz za egoistkę?

— Panią? Ja dałbym wiele, żeby w pani mózgu co złego odkryć.

— Oryginalne pragnienie! — zawołała Halka, śmiejąc się. — Przedewszystkiem nie miałam pana za ślepego. To żart być musi. Przecież pan wiesz, że jestem pełna ułomności.

— Niestety, powtarzam, że nie widzę — odpar żartobliwym tonem Kilański.

— Jeżeli to prawda, to dla mnie prawdziwa przykreść; to dla mnie zawód nawet.

Teraz Kilański zdziwiony patrzył na nią.

— Doprawdy nie rozumiem — mówił.

— Przecież to bardzo zrozumiałe. Mnie musi upokarzać to wysokie pojęcie, jakie panowie o mnie macie.

Wiedział, że mówiąc „panowie”, myśli ona także i o mężu swoim.

Halka widocznie głębsze znaczenie przywiązywała do słów tych. Mówiła dalej, ożywiając się coraz więcej:

— To dla mnie nieznośne uczucie, gdy się widzę przecenianą. Jam temu nie winna, bo nie chciałabym grać komedyi, przynajmniej... oddawna brzydzę się

komedią. Więc jam temu nie winna, że mnie przece-  
niacie, a mam to wrażenie, jak gdybym bliźnich  
oszukiwała, jak gdybym była hypokrytką. Niech mi  
pan wierzy, że prawdę mówię, że ani mi pochlebia,  
ani mnie rozczula takie wysokie o mnie pojęcie. Prze-  
ciwnie, boli mnie. Wie pan, jaka myśl mnie prześla-  
duje? Gdyby ludzie znali mnie taką, jaką jestem, to nie  
mieliby dla mnie ani sympaty, ani żadnego doda-  
tniego uczucia; ta, którą, czy to kochają, czy lubią,  
czy szanują, to nie ja: to istota stworzona przez ich  
wyobraźnię.

Kilański czuł, że to nie frazesy, że głębokie prze-  
konanie dyktuje jej te słowa.

Ona kończyła:

— Proszę mi wierzyć, że to dla mnie wielka  
przykreść, gdy wmawiają we mnie jakie wyższe za-  
lety. Jestem może znacznie gorszą kobietą od wielu  
innych. Chciałabym mieć czyste sumienie pod tym  
względem i powiedzieć sobie śmiało, że zdobywam  
czyjeś serce nie na podstawie złudzeń; że mimo  
moich wad, mimo wielkich nawet przewinień, potra-  
fię wzbudzić sympatyę, czy życzliwość, czy przyjaźn.

— Dlaczego pani miałabyś pozbywać się tej wiary?  
Przypuszczam, że lepszym jesteś sędzią własnego  
serca odemnie; przypuszczam, że są tacy, których  
zaślepiea może zanadto żywa sympatya, to czyż w tém  
powód, że nie zdobywałabyś tak samo serc, choćbyś  
była mniej doskonałą?



— Łudziłam się dotychczas tą nadzieją. Myślałam, na przykład, że pan mnie znasz doskonale, że wiesz, ile złego mieści się we mnie, że jestem jednem z najnie doskonalszych stworzeń, jakie można spotkać na ziemi i że, pomimo to, darzysz mnie przyjaźnią.

— Choćby nawet, zamiast wręcz przeciwnego mniemania, miał to, o jakie pani zdaje się chodzić, to przecież moje... moje...

Nie; nie mógł dokończyć. „Uczucie” nie śmiał powiedzieć, a „sympatya” lub „przyjaźń” o wiele zasłabym wyrazem mu się zdawały.

— Widzi pan — przerwała Halka — nie jesteś pewnym siebie. Nie śmiałybyś twierdzić stanowczo, jak dalece zmieniony sąd o mnie wpłynąłby na przyjaźń.

— Niech będzie „przyjaźń” — zawołał Kilański z pewnem zniecierpliwieniem. Otóż mylisz się pani: nie dlatego się wahałem; tak jestem pewny, że nie na świecie nie potrafiłoby zmienić moich uczuć przyjaznych, jak tego, że w tej prawdzie mieści się dla mnie głębokie źródło...

I znowu urwał, nie dopowiadając ostatniego wyrazu: „cierpienia.”

Siedział zagłębiony w fotelu. Gdy nie mógł wyrazić jasno myśli swojej, gdy ów cichy głos „nie wolno” silniejszy był do tej pory od napływu innych uczuć, zerwał się z miejsca i zawołał zniecierpliwiony:

— Nie! doprawdy, to idyotyzm! Cóż? czy ja nie

potrafię już jednego zdania wygłosić bez jąkania się, bez...

— Rzeczywiście, jesteś pan zagadkowy dzisiaj; nie możemy się porozumieć.

— To całe szczęście!—mruknął między zębami. Ale ona nie słyszała słów tych.

— Ostatecznie o co pani chodzi?—pytał rozdrażniony.—Nie chcę, byś pani miała fałszywe pojęcie o mojem zapatrywaniu się na rzeczy. Otóż teraz z całą jasnością wyznaję, że gdybyś pani była nawskróś najgorszą z kobiet, gdybym się nagle przekonał, że wszystkie zalety twoje są hyp<sup>o</sup>kryzją... gdybym się zawiódł na tobie, gdybym... To wszystko w niczem nie wpłynęłoby na... nie zmieniłoby tego, co jest. Czy o to pani chodzi?

— Czego się pan gniewasz? Przecież nie złęgo nie powiedziałam?

— Bo nie mogę znieść, abyś sobie pani inne pojęcia o tém wytwarzała.

Halka pomyślała teraz:

— Może to i prawda; ale gdybym była żoną jego, myślałabym inaczej.

Postanowiła dalej badać.

— Żona pana jest idealnie dobrą kobietą; a gdyby pan dowiedział się nagle, bez przygotowania, że, dajmy na to, kogoś zdradziła.. albo zabiła, albo, że pana nie kochała, wychodząc za niego, że gdy go zapewniła o swojej miłości, kłamała?...

— Co za oryginalne przypuszczenie! Doprawdy, pani imaginacja wkracza w dziedzinę fantazyi!

— To nie odpowiedź. Gdybyś się przekonał o tém wszystkiém, to...

— O mojej żonie nie było mowy; była mowa o pani.

— A! kiedy mnie pan zbywasz wymijającemi odpowiedziami. Ja chcę wiedzieć, czy przebaczenie win rośnie w miarę uczucia, czy przeciwnie. Komu się łatwiej wybacza: temu, kogo się kocha, czy obojętnemu?

— To zależy od rodzaju przewinienia. Najtrudniej pewnie przebaczyć ukochanej osobie brak wzajemnych uczuć; po za tą jedną winą wszystkie inne, wedle mego przekonania, nic nie ważą, gdy się kocha.

Halka odetchnęła głęboko. Nie przeszło jej przez myśl, że Kilański, a mąż jej, to dwa bieguny; to tylko uderzyło ją, że jest nadzieja wybaczenia dla niej, jeżeli powie mężowi, że, choć dawniej nie kochała, to teraz...

— Śmiejesz się pan z moich dziwacznych pomysłów — mówi po chwili milczenia. — Widzi pan, mnie się zdaje, że tylko wtedy można być pewną serca cudzego, gdy się wie, że nawet zbrodnia, popełniona przez nas, serca tego nie odmieniłaby. Zła kobieta, kochana mimo wszystkich złości swoich, jest dopiero prawdziwie kochaną.

— No, tak, ale ostatecznie to jest dość dziwna



pretensya. Nie każdy człowiek ma „zaszczyt” w ten sposób serce umieścić; czy dlatego dobre kobiety nie mają być pewne miłości?

— Nie próbowały jej, nie doświadczyły. Mniejsza o to. Doświadczenia wszelkie są rzeczą ryzykowną. Lepiej wierzyć na ślepo. Cóż u państwa słyhać? Proszę żonie powiedzieć, że zacznę liczyć się z wizytami. Zapomina o mnie.

— Zajęta bardzo — odparł krótko Kilański.

Imię żony było fałszywą nutą w rozmowie z Halką; a i ona zadała sobie gwałt, by wspomnieć o pani Kilańskiej. Na chwilę ocucona, wymówiła te słowa, które obco brzmiały między nimi. Kilański czuł, że czas już pożegnać Halkę. Wiedział, że go czeka udręczenie wewnętrzne, niedające niczem się wysławić, gdy tylko őrzi jej zamkną się za nim. Ale trudno! Rozmawiać spokojnie nie jest zdolnym.

Nagle, bez przygotowania, rzekł:

— Dobranoc pani! Przepraszam raz jeszcze za spóźnioną wizytę.

— Jeszcze więcej powinieneś pan przeprosić za sprzeniewierzenie się Stasiowi i za zaniedbywanie samotnych sąsiadów.

— A jednak nie śmiem poprawy obiecać.

— To nie dam rozgrzeszenia. Gdy tylko pan nie pozwolisz sobie wypocząć na chwilę i cały utoniesz w pracy, to stajesz się drażliwym, denerwujesz się. Już i rozmowa nie idzie; miałbyś ochotę łajać.

— Więc tu mam przyjść wypoczywać?

— Prosta korzyść dla mnie. Egoistyczna rada: inaczej zapomniałabym mówić, byłabym tylko dla Stasia odpowiednią kompanią. Zdziecinniałabym zupełnie.

— Tak, to bardzo egoistyczna rada — odparł Kilański, całując rękę Halki na pożegnanie.

Gdy wyszedł, Halka natychmiast na spoczynek się udała. Tak ostatnie słowa jego, jak wiele innych, były dla niej niejasnemi, zagadkowemi. Przy odrobinie dobrej woli byłaby mogła zagadkę rozwiązać, ale tej dobrej woli nie miała. Przeciwnie: to, co mogło być jasnym, starała się dobrowolnie zaciemniać.

— Zirytowany jest, duch niespokojny, dający się zawsze unosić nerwom. Nie trzeba do słów jego wagi przywiązywać. To chwilowe podrażnienie, niepociągające żadnych następstw za sobą.

Gdyby nie taka konkluzya, którą się zadawała, byłaby musiała chwycić się innej: a wtedy byłoby trzeba pożegnać się z myślą długich rozmów, przyprawiających ją o żywsze bicie serca, wywołujących silne wrażenie, działających, jak narkotyki, na wszelkie strachy i niepokoje. Do narkotyku zaczęła przywykać, i dlatego wmawiała w siebie, że niema niebezpieczeństwa żadnego.

Tymczasem Kilański wracał do domu zupełnie odurzony. W tej chwili nie był zdolnym zastana-

wiać się nad następstwami tych nocnych posiedzeń. Przeciwnie, pewnej ulgi doznawał; niewyraźnie, ale przecież dość jasno, wyznał Halce, co się w nim dzieje. Może narazie niezupełnie pojmowała znaczenie słów jego i tej muzyki, w którą cały ogrom cierpienia, pragnień i miłości swojej starał się zamknąć.

— Gdy się zastanowi, zrozumie! — pomyślał. I ta pewność zabiła w nim chwilowo wszystkie drażliwości; głos, wołający „nie wolno” zamilkł.

Nazajutrz nie próbował nawet oprzeć się pokusie. Musiał ją zobaczyć; przypuszczał, że po wczorajszym wieczorze oczy jej się otworzyły, więc chciał wiedzieć, jaką będzie dzisiaj, i ztąd wyciągnąć wnioski co do jej uczuć.

Jeszcze nie marzył, aby mogła do niego należeć, by bądź co bądź, kosztem własnego sumienia, zdobyć ją sobie na własność; ale wznosił się po karkołomnej drabinie uczuć zakazanych, szczebel po szczeblu przebywał, zapominając, że dojdzie do punktu, z którego już wyżej pójść nie można.

O tём nie myślał w tej chwili. Tak, jak wszystkim wspinającym się na niedozwolone wyżyny, tak i jemu się zdawało, że pragnie wzbąć się tylko o jeden stopień jeszcze, a tam zatrzyma się już nieodwołalnie. Dalej nie pójdzie.

Minął tydzień cały; każda godzina, spędzona w towarzystwie młodego człowieka, powinna była



oświecić Halkę; ale dla tego, kto pragnie być ślepym, żadne światło nie wystarczy.

Dzień cały spędzała przy dziecku; mimo ciągłej z niem zabawy lub rozmów dzieciennych, głos jakiś coraz silniej, coraz wyraźniej wołał:

— Jeszcze jedno serce chcesz mieć na sumieniu, jeszcze nie dosyć złego?...

Ale udawała, że nie słyszy. Dla tego, kto pragnie być głuchym, żaden zgłębek wewnętrzny nie wystarczy.

Gdy wieczór nadszedł, narkotyk lekarstwem był na wszystkie te ostrzegające, a tak bardzo niepokojące, głosy.

Już doszli do tego porozumienia serc i zmysłów, że milczenie nie ciążyło im. Długie chwile mijaly bez zamienienia słów kilku, i wtedy było im najlepiej. Nie tęsknili do rozmowy. A do tej chwili wmawiali w siebie, każde z osobna, że nie mają sobie do zarzucenia.

Rzeczywiście, dla obojętnego widza zachowanie się tych dwojga nie zasługiwało na najłżejszą naganę.

Myśleli coraz częściej o tém, że zbliża się chwila, mająca rozłączyć ich na zawsze. Wkrótce Złoczowski powróci, a potém?... W tydzień później Kilańscy opuszczą Złotopole.

W nim serce zamiera na myśl tę, a Halka nie śmie zastanawiać się nad tém; stara się żyć chwilą

obecną, z dnia na dzień. Pora rozstania nadejść musi; o t $\acute{e}$ m wiedz $\acute{a}$  oboje. Radziby wyzyskać chwilę ka $\acute{z}$ d $\acute{a}$ . Teraz nie dosyć im ju $\acute{z}$  wieczor $\acute{o}$ w. On szuka sposobności, by j $\acute{a}$  i wśr $\acute{o}$ d dnia jak najczęściej widzieć.

— Niezdrowo jest zamykać się całymi dniami; za mało pani powietrza używa. Jutro moglibyśmy się wybrać do Wańkowiec. Widziałem tam prześliczne stare kilimki; bardzo oryginalny deseń. Może pani nabędzie kilka wzor $\acute{o}$ w, będzie można w Złotopolu naśladować.

Trafił w słabą stronę: Halka zapalała się do tych tkanin wzorzystych, miała we dworze rękodzielnię, gdzie dziewczyny dworskie same farbowały wełnę domową i na krosnach wyrabiały całe sztuki kilimk $\acute{o}$ w.

Dwór złotopolski bogaty był w najpiękniejszy dob $\acute{o}$ r tych ślicznych, miejscowych wyrob $\acute{o}$ w.

Halka, niezwykle ozywiona, wróciła z t $\acute{e}$ j pierwszej przeja $\acute{z}$ d $\acute{z}$ ki; puściła cugle fantazyi, przestała się zastanawiać i panować nad sobą. Razem z dawnymi przymiotami wróciły i dawne złe skłonności.

Prawda, że serce ocuciło się w niej, ale też na ślepo pozwoliła mu sobą powodować: niosło j $\acute{a}$ , gdzie chciało, ona ster z r $\acute{e}$ ki wypuściła. Zreszt $\acute{a}$  w całej sprawie nerwy, imaginacya, fantazyja, więcej grały roli, aniżeli serce. Stała się żywsz $\acute{a}$  i swobodniejsz $\acute{a}$ , ale przez to samo dała się porywać wra-

żliwości; był to charakter z natury pochopny do uniesień i do gwałtownych porywów. Nie zastanawiała się nawet nad tém, że dla oczu ludzkich jej ciągle przestawanie z Kilańskim może być rażącym. Nie pomyślała, co pani Kilańska cierpieć musi. Dała się unieść prądowi, własne zadowolenie wzięło górę nad wszystkiém.

Tak więc dzień za dniem schodził, a stosunki tych dwojga, dotychczas czysto platoniczne, ściśniały się z każdą chwilą.

Pierwsze dni listopadowe zupełną zimę zapowiadały. Śnieg często pruszył, aby natychmiast w brudnej kałuży rozpuścić się i zniknąć. Ostatnie pożółkłe liście tańczyły razem z deszczem i śniegiem, gnane przez wiatr jesienny.

To przecież nie przeszkodziło Halce sięść razem z Kilańskim do małego wolancika i wybrać się na daleki folwarczek, ukryty w głębi lasu; administrator miał ważny interes do leśniczego. Czy rzeczywiście interes ten był tak bardzo pilny?—trudno wiedzieć, ale Leśniczówka daleko: więc kilka godzin zapewnia sobie tym sposobem w towarzystwie Halki.

Droga niemożliwa. Bryczka tonie do osi w błocie bezdenném, to znowu podskakuje, jak piłka z korzenia na korzeń, szamoce się po groblach, zdaje się przepadać w wybojach, wydobywa się z trudnością z jam głębokich, by, gwałtownie podrzuciona wpaść na karkołomny mostek.



Kilański, cały Halką zajęty, cierpi za nią, obawia się dla niej zmęczenia, przeziębienia. Przeprasza ją, otula, ale ona cieszy się, jak dziecko, przezwycięzonymi trudnościami, ożywia się niebezpieczeństwem. Gdy bryczka chyli się w jej stronę i zdaje się utrzymywać tylko cudem równowagę, Kilański ramieniem otacza ukochaną kobietę, chroniąc ją od upadku.

Dążą teraz wazką drózką leśną; co chwilę borykają się między głębokimi jamami a sterzcącymi korzeniami.

Jakim sposobem Kilański może równocześnie końmi powodować i opiekować się Halką?—trudno pojąć. Co chwila przewrócenie bryczki zdaje się nieuniknionem; wzruszenia rosną; w miarę tego Halki oczy większego ognia nabierają—śmieje się wesoło.

A przecież zimno jest straszne, coraz zimniej. Ostry wiatr tnie po twarzach bez litości. Pomimo silnych wrażeń, od czasu do czasu Halkę dreszcz wstrząsa. Kilański radby zdjąć z siebie futerko i otulić ją; ale temu opiera się stanowczo.

— Gdyby nam herbaty dać mogli, gdy przyjdziemy! — mówi zziębła.

— O to niema obawy. Herbaty dostaniemy z pewnością. Mają tam komin wielki: każemy ogień rozpalić. Ogrzeje się pani. Doprawdy, darować sobie nie mogę, żem pani pozwolił jechać na takie zimno.

— Nic mi nie będzie. Wcale nie żałuję, że się wybrałam. Dawno nie miałam tylu wrażeń.

— Zawsze „wrażeń”, tylko „wrażeń”! Pani czego innego nie szuka?

— Wszystkie silniejsze uczucia z wrażeń się składają. Co nie wywołuje wrażenia, nie zostawia śladu żadnego w życiu.

Ale szum wiatru mówić im nie pozwolił; chmury zdawały się czołgać po wierzchołkach drzew; gwizd złowrogi słychać było między gałęziami; od czasu do czasu jęk głęboki wydobywał się z gęstwiny lasu. Las cały zdawał się cierpieć, a żywioły roz hulane znęcały się nad nim niemiłosiernie.

Teraz zawieja się zerwała, dmąc śniegiem i lodowatym deszczem wprost w oczy jadącym.

Wjechali na równiejszą drogę. Halka rękoma zdrętwiałemi uderzała jedną o drugą; skostniałe były z zimna. Kilański, nic nie mówiąc, schwycił jedną rączkę i wsunął pod swe ramię, potem drugą; Halka, przytulona do niego, nie wyjmowała rąk z ciepłego schronienia. W tej chwili o tém tylko myślała, jak się ogrzać.

Już i folwarczek widnieje zdaleka.

Czas przybrać inną pozycję. Halka wyprostowuje się, Kilański konie do biegu zagrzewa. Zatrzymują się przy białym domku ekonoma.

Baba wiejska, równocześnie kluczniczka, kucharka i gospodyni, wychodzi na ich spotkanie.

— Jest ekonom? — pyta Kilański.

— Niema, proszę pana, pojechał niedawno do Złotopola.

— Jakim sposobem? Przecież bylibyśmy się spotkali.

Tymczasem wyszedł karbowy ze stodoły i odparł:

— Pewnikiem pan ekonom musiał jechać na Starą smolarnię, bo tędy na Wilcze doły, to droga pono okrutnie zła.

— Tośmy się minęli! — zawołał Kilański. — Prawda, że droga niemożliwa, ale przyznaję szczerze, że na starą Smolarnię nie trafiłbym.

Weszli oboje do izby czystej, na biało pobielonej. Na kominie tliło jeszcze kilka główki. Prędko ogień rozniecono; poczem baba nastawiła przy ognisku wodę na herbatę i znikła, mając wiele do czynienia w swém królestwie, w kuchni.

Kilański kazał podać dery z bryczki, okrył niemi drewnianą ławę przy kominie i siedli oboje, rozkoszując się ciepłymi płomieniami.

Halka od czasu do czasu otrząsała się jeszcze; zimno przejęło ją do kości.

— Biedna pani moja! To wszystko z mojej winy! Musimy tutaj czekać na powrót ekonomy; on nas odwiezie krótszą i lepszą drogą. Panią otulę mojem futrem, ja tu sobie jaki kozuch zdobędę, i powrót będzie lepszy, niż jazda w tę stronę. Ale teraz drzeć będę, czy się pani nie zaziębiła.

— Gdzietam! Ja tak ludzi pod każdym wzglę-



dem w pole wywodzę. Wyglądam delikatnie, a zdrowie pewnie mam silniejsze od pana.

— Doprawdy? Wywodzi pani ludzi w pole?

— Mimowolnie! Ja nie mam tego zamiaru — mówiła, ręce ku płomieniom ognia zbliżając.

Twarz jej, ścięta wiatrem, pokryła się teraz silnym rumieńcem, z którym jej było prześlicznie. Niezwykle ożywienie malowało się w jej oczach.

On patrzył na nią z zachwytem; wzrok zatrzymał na jej ręku. Długie cienkie palce zdawały się być z jakiejś niepochwytniej materyi utkane, światło ognia przebijało się przez nie i delikatnie je na różowo barwiło, czyniąc obie dłonie przejrzystymi.

— Jeszcze zimne? — pytał Kilański, nie mogąc oprzeć się pokusie, by je pochwycić i do ust przycisnąć. — Ja prędkiej ogrzeję! — rzekł.

Ona nie opamiętała się jeszcze, gdy obie jej ręce pochwycił i obie tuląc do serca, kładł na nich jeden pocałunek za drugim.

Wolno, bez ukazania urazy, wydobyla obie z uścisku i usunęła się trochę.

Oboje zamilkli.

Kilański, opierając się pokusie, by ją całą do serca przygarnąć, wstał teraz i począł zajmować się przygotowaniami do herbaty.

Halka, odurzona nagłym przejściem z zimna do ciepła, siedziała, nie poruszając się; doznawała fizy-

cznej rozkoszy i całkiem jej się poddała. Myśl w odrętwieniu nie odzywała się wcale.

Kilański tymczasem rozwieszał przemokłe futerko Halki i pled, którym nogi miała otulone. Chustką ocierał krople deszczu z jej czapeczki, nareszcie rękawiczki zmokłe także przy ogniu suszył.

— Gdy wrócimy, da mi je pani w nagrodę za trudy.

Halka głową skinęła na znak zgody.

— Pani bardzo zmęczona?

— Nie.

— Czego pani smutna?

— Nie jestem smutna.

— Więc nad czém pani tak się zamyśla?

— O niczém nie myślę.

— Pani gniewa się na mnie?

Ona teraz zawisła spojrzeniem na jego twarzy.

— Czemu mnie pan budzisz? — zapytała.

On uśmiechnął się do niej.

— Pani się przyznać nie chcesz, aby mi przykrości nie robić, ale jesteś bardzo zmęczona.

— W każdym razie jest to miłe uczucie; mam wrażenie, jak gdyby wszystkie władze umysłowe były we mnie zachloroformowane. Odurzona jestem, nic nie czuję i nic nie myślę, a jednak dobrze mi jest bardzo.

On siedział teraz przy niej tak blisko, że ramieniem jej ramienia dotykał; znacznie od niej wyższy,

pochylił nieco głowę, w nią wpatrzony. Wzrok jego nie ciężył jej, przeciwnie, hypnotyzował ją zupełnie. Woli nie miała i poddała się jego woli.

On sam nie wiedział, kiedy objął ją ramieniem, kiedy głowę jej o swe ramię oparł; nawpół tylko przytomny, rękę jej do ust tulił, oczy jego mgłą zachodziły; coraz bliżej, coraz bliżej, usta jego ku jej ustom się skłaniają...

Gwałtownym ruchom Halka zrywa się z miejsca. Oczy zasłania, opiera się o ścianę i stoi tak naprzeciw niego, nie śmiąc spojrzeć dokoła. Czuje się przerażoną; serce jej bije głośno, niespokojnie, zdaje się pierś chce rozsadzić.

On ramiona do niej wyciąga, rękę jej chce pochwycić, w oczy jej spojrzeć; zaniepokojony, nie pojmuje, co się stało. Ale ona wrywa mu dłoń swoją i zasłania się przed nim; w oczach jej trwoga nieopisana się maluje.

— Nie, nie! — woła błagalnym głosem. — Niech pan sam wraca, proszę mnie tu zostawić.

Kilański stał oszołomiony. Pojął, że Halka boi go się, dla niego i dla siebie. — „Nie wolno, nie wolno!” Głos ten usłyszał w tej chwili wyraźny, nieubłagany. Odurzony tém, co było, szum czuł w głowie, patrzył nieprzytomnie na przestraszoną kobietę, nie widząc jej prawie.

Nareszcie objął całe niebezpieczeństwo. Zadrzał na myśl, że gdyby nie ona, byłby każdej chwili go-



tów zdeptać honor swój i najświętsze obowiązki. W tej chwili gwałtowny wstyd uczuł: kobieta słaba, wrażliwa, stała naprzeciw niego, a on silny, on mężczyzna, w przepaść ją chciał popchnąć. Chwycił się oburącz za głowę. Niebezpieczeństwo było groźne jeszcze. Budzące się sumienie odrywało go w stronę przeciwną, czuł, że ucieczką tylko ratować się może. Ale uczucie, gorącą falą wezbrane, pchało go ku tej kobiecie. Nie dać jej się cofnąć, wziąć ją sobie na własność, skorzystać z chwili uniesienia, z chwili jej bezsilności, przygarnąć do serca i nie puścić więcej...

Gwałtowne wahanie się dwóch przeciwnych prądów w duszy jego tchu go pozbawiło; wszystkie nerwy w nim drgały, krew wezbrana tętniła w żyłach; zdawało mu się, że głowę, że serce rozsadzi.

Halka nie zdawała sobie sprawy z doniosłości chwili; przerażona była tylko, bo czuła się w mocy tego człowieka. Wsparta o róg stołu, przysuniętego do ściany, spoglądała machinalnie na Kilańskiego, nie odgadując nawet, jaka wściekła walka o nią się toczy. Rękę jedną podniosła do czoła; na ręce tej świeciła bransoletka, wążka złota przepaska, zamknięta monogramem.

Teraz na bransoletce tej spoczęły oczy Kilańskiego. Pamięć mu wróciła. Przypomniał sobie, choć zdawało mu się, iż wieki dotąd minęły, że kiedyś

Złoczowski, jako narzeczony razem z nim będąc w Wiedniu dla interesów, wszedł do złotnika i zamówił tę bransoletkę dla narzeczonej. Litery monogramu składały imię jego. Przypomniawszy sobie, z jaką wielką uwagą Złoczowski zamówienie to robił; jak widocznie zajęty był całą myślą o kobiecie, dla której dar ten przeznaczał; jak bardzo on, Kilański, dziwił się, widząc pryncypała przywiązującego wagę do takiej drobnostki; jak dalece bransoletka owa dawała mu miarę wielkiego przywiązania Złoczowskiego do narzeczonej. Z jej to powodu o mało na pociąg się nie spóźnili.

Dlaczego raptem pamięć uprzytomniła mu te chwile? Dlaczego nigdy dawniej nie pomyślał o tém, choć Halka zawsze bransoletkę tę miała na ręku?

Wyrzuty sumienia, szalona pokusa i dawne wspomnienie, wszystko to zawrzało równocześnie w jego głowie; walka toczyła się z piorunującą siłą i szybkością. Wyraz oczu Halki miał stanowić o wygranej. Gdyby w tej chwili spojrziała na niego serdecznie, gdyby wyraz twarzy jej zaznaczał rozczulenie, albo tylko zmieszanie, to niezawodnie Kilański byłby zapomniał o wszystkim. Ale ona raz jeszcze rękę naprzód wysunęła, jak gdyby chciała się nią zasłonić, a w oczach jej malowała się zawsze ta sama trwoga.

Zwyciężony, cofnął się na drugi koniec izby.

Czuł, że to cofnięcie się jest już stanowczém. Czuł, że Halka stracona jest dla niego. Jedna minuta wystarczyła, by ze szczytu uniesienia wtrącić go na dno rozpacz. Złamany był tą krótką, ale wyczerpującą walką. Ciężar, zapierający oddech, stoczył mu się na serce.

Zdawało mu się, że padnie; nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Siadł na krześle, rękoma o stół oparty, z głową w nich ukrytą.

Halka powoli przychodziła do siebie. Trwoga mijała. Czuła, że jej nic nie grozi. Sercem cierpieć poczęła, widząc mękę tego człowieka, który w tej chwili od zmysłów prawie odchodził.

Gdy głowę podniósł, ból tak wyraźny malował się w jego oczach, że nie można było obojętnie patrzeć na niego.

Twarz pobladła, nerwy drgały na skroniach, cały wyraz fizyognomii zmęczony, złamany.

Nie! ten widok zanadto Halkę kosztował, i na nią przyszła kolej stoczenia walki.

Cała jej sympatya wrywała się ku niemu; siła, zdawałoby się, nie zwalczona, popychała ją naprzód. Pójść do niego, uciszyć bolesne drgania jego nerwów, kładąc mu ręce na skronie, słowami utulić żal jego. Głos zdradliwy szept jej: „Powiedz mu to tylko, że go żałujesz, że i ty cierpisz, że ból jego serce ci rozrywa. Przecież to nic nie szkodzi. Przecież tak



go zostawić nie możesz bez słowa otuchy. Przecież tego nikt od was nie żąda.”

Ale jakiś lepszy, silniejszy duch woła:— „Nie zbliżaj się do niego, nic nie mów: to jedyny ratunek. Inaczej zginiecie oboje.”

Została na miejscu, a Kilański coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę, że każda upływająca chwila zabiera mu ją bezpowrotnie, że żadnej nadziei nie ma, by ją kiedyś zdobył.

Nie zdołał jeszcze zebrać myśli i zastanowić się, dlaczego takie zwątpienie odczuwa. Ostatecznie Halka nie odtrąciła go nieodwołalnie; więcej żalu, niż gniewu widział w jej oczach i słyszał w jej głosie, a jednak wiedział, że wszystko pomiędzy nimi skończone.

Dusza jego, słaba wprawdzie, ale nie zepsuta i zachowująca na dnie trochę wrodzonej prawości, postawiła tak stanowcze „veto” wszelkiemu zrywaniu się nieokiełznanych nerwów, że i nerwy i serce głosu tego posłuchać musiały.

Chwila upamiętania nadeszła dla obojga. Przekonali się, że pomiędzy nimi o stosunku czysto duchowym mowy być już nie może, a na myśl o Złoczowskiu wzdrygali się przed tém, co sumienie zbrodnią nazwać musiało.

Drzwi się otworzyły i weszła ta sama kobieta, która ich przyjmowała, wnosząc szlanki, chleb

i masło. Oboje odetchnęli swobodniej, widząc kogoś trzeciego między sobą.

Stół został nakryty serwetą, herbatę zastawiono, a Kilański, by nie zwracać uwagi obcego świadka, zdobył się na kilka zdań obojętnych.

To przełamało zaporę, która wznosiła się między nimi; ocuciło ich, powróciło do rzeczywistości.

Wkrótce potem, gdy znowu sami zostali, Kilański zbliżył się do Halki, rękę jej do ust podniósł. Ona mu jej nie bronila tym razem, czuła, że niebezpieczeństwo minęło.

— Przepraszam i proszę mi darować — rzekł zdławionym głosem.

Chciał coś powiedzieć, chciał ją pożegnać, chciał się uniewinnić, by kiedyś, w przyszłości, o nikczemność pomawiać go nie mogła, ale głos odmówił mu posłuszeństwa. Oboje silili się teraz na rozmowę. Myśl jednak rwała się, nie mieli sobie nic do powiedzenia, bo każde słowo groziło nowym zerwaniem się szалу.

Czekali, jak zbawienia, powrotu ekonoma. Nareszcie turkot wózka dał znać, że ratunek blizki.

Kilka minut później byli już na drodze, wiodącej z powrotem do Złotopola, ale nie na tej, którą jechali ku Leśniczówce. Kilański, w kożuchu leśniczego na koźle, pod pozorem zbadania drogi, której nie znał, powoził pod kierunkiem ekonoma. Halka, otulona w futro, siedziała sama jedna za nimi. Oboje nie

odczuwali żadnego tryumfu z odniesionego zwycięstwa. Przeciwnie, wracali przygnębieni nad wyraz: Kilański — z jedną bezdennie smutną myślą wyrzeczenia się ukochanej istoty i obejmującym go, choć niejasnym poczuciem, że skoro nie on, ale ona cofnęła się pierwsza, to dlatego iż serca jej nie zdobył; Halka — z żalem do siebie, rozdrażniona, pojmująca teraz dopiero swoją lekkomyślność, głęboko upokorzona.

---



#### IV.

Gdy się w domu znalazła po powrocie z niebezpiecznej wycieczki, doznała takiego wrażenia, jak gdyby cały okres życia dzielił ją od chwil spędzonych na dalekim folwarku, w obcej izbie, w warunkach, które jej się teraz nieprawdopodobnymi wydały. Chciałaby wmówić w siebie, że to sen był tylko.

Dziecko wybiega naprzeciw niej, a rzucając jej się na szyję, wita ją niezrozumiałymi słowami.

— Mamusiu, Tarolinta mówi, że pan Tot, to tatko.

— Widziałeś Karolinę?

— Widziałem; była tu pani Totowa i jeździliśmy na łyżwach i Tarolinta przyniosła tota, taki śliczny, mamusiu! To synet Tarolinty, ubraliśmy go w czepeczet. I ja się przewróciłem i Tarolinta i tot miauczał...

Opowiadając te szczegóły, śmiał się do rozpuku.

— Gdzieś się przewrócił?

— W salonie jeździliśmy na łyżwach. A wilków mamusia nie widziała? Tarolinta mówi, że wilki oślicę zjedzą. Nie zjedzą, co, mamusiu? Zabierzemy ją do pokoju.

Halka nie miała czasu odpowiedzieć na te wszystkie pytania. Z opowiadania dziecka zrozumiała, że wtedy, gdy ona zapomniała o wszystkich obowiązkach swoich, pani Kilańska czuwała nad jej synem.

Zrozpaczoną się czuła, zniechęconą.

— Zła jestem; nikczemna jestem, nigdy nie potrafię wydobyć się z brudu!

Wzrokiem tymczasem dziecko śledziła, zaniepokojona niezwykle świecącymi oczami jego; Staś miał głos zmieniony, prawdopodobnie zanosilo się na katar. Halka starała się wmówić w siebie, że nic mu nie będzie, ale trwoga w duszę wstępowała.

Wieczorem zdawało jej się, że ma trochę gorączki, ale chłopczyzna nie skarżył się na ból żaden, przeciwnie, niezwykle był ożywiony.

— Mamusiu — prawil, gdy go już w łóżeczku ułożono — Werbel też był u mnie, bardzo był grzeczny, czysty, podał mi łapę i polizał mnie po twarzy. Czemu Werbel nie ma, mamusiu „tutki?” A Jacenty przyniósł mi czyżyka i puściliśmy go przez lufcik. I trzy myszy złapały się na strychu; Kasia pokazała mi, takie zabawne myszki, takie mają małe „oczka.”

— Śpij już, synku, śpij, późno bardzo. Jutro

mamie wszystko opowiesz—prosiła Halka, trzymając rękę na gorącej głowie dziecka.

— Jutro, mamusiu, pójdę na polowanie, zabiję wszystkie wilki. Pójdę z Werblem i przyniosę wilczą skórę dla mamusi pod nóżki i dla „tatki” zabiję niedźwiedzia i pojadę na kiju z piesem do pana Tota, albo na Werblu. Albo nie, lepiej pojadę na oślICY.

— OślICA stara. już jej się nie chce na polowanie chodzić. Śpij synku, już późno.

Chłopczyzna ucichł, zdawał się zasypiać; nagle otworzył oczy świecące, przestraszone:

— Mamusiu, to nie pan Tot jest „tata,” to „tatko.” Pan Tot to tata Tarolinty. Napisz mojemu ojcu, niech wróci.

— Dobrze, synku, napiszę.

— Tarolinta mówi, że pan Tot, to „tata.”

— Jej tata, kochanku, ale twój, nie; śpij spokojnie. Ojciec wróci niedługo.

Dziecko zasnęło teraz nadobrze; ale rzucało się niespokojnie w łódeczku.

Halka miała natychmiast spłacić swoje przewinienia szaloną trwogą. Gdyby mieć kogoś, ktoby z nią dzielił obawy, albo uspokoił ją teraz! Nie śmiała jednak posłać po Kilańskich; jego przywoływać nie nie mogła... jej?... Nie byłaby się odważyła spojrzeć w jej oczy.

Wezwać doktora? A może dziecku nic nie będzie? Doktor mieszka o milę fatalnej drogi. Trzeba pocze-



kać kilka godzin; jeżeli gorączka wzrośnie, to nad ranem doktora się zawezwie.

Może to tylko silny katar?

Ale wszelkie wmawiania w siebie, że niebezpieczeństwo nie grozi, na nic się nie zdały: trwoga jej wzrastała z chwilą każdą. Nie miała doświadczenia żadnego: dotychczas dziecko zdrowo się chowało; nie umiała zdać sobie sprawy z dzisiejszego stanu jego.

Kobieca służba dworu złotopolskiego zebrana była wkoło łóżeczka dziecka. Staś był ulubieńcem wszystkich, którzy go znali: więc teraz bona, niańka, panna służąca, pokojówka, wszystkie byli zaniepokojeni.

Nad ranem nie było lepiej; około południa doktor nadjechał. Skonstatował gorączkę.

— Może będzie odra, panuje w okolicy; ale wyrokować nie mogę. Od gorączki wszystkie ważniejsze choroby się zaczynają.

Tego było dosyć dla Halki. Zimną krew straciła; zupełnie nieprzytomną była z szalonej obawy.

Natychmiast telegrafowała po męża i po doktora lwowskiego. Kilańskiemu wzbronila wstępu do dworu. Nikt nie mógł pojąć, co ten kaprys znaczy, ale zanedto była podniecona, aby zwracać uwagę na komentarze ludzkie. Panią Kilańską przyjęła jednak z widoczną wdzięcznością, niemal pokornie. Spokój i pewność siebie młodej kobiety, gdy tylko chodziło

o sprawy odnoszące się do dzieci, wzbudzały zaufanie w niedoświadczonej matce. W duchu powtarzała sobie:

— Ona dobra jest i godna zbliżyć się do tego aniołka; ja mu nieszcześnie przyniosę.

Tak dalece zabobonny strach ją opanował, że nie śmiała prawie spojrzeć na dziecko swoje, nie śmiała go się dotknąć. Litość brała patrzeć na nią; nerwowe ruchy, słowa bez związku, czyny gorączkowe, świadczyły, że przytomność straciła zupełnie.

Nagle, gdy dziecko zasnęło, kazała sobie przynieść papier listowy, atrament, pióro. Starania około synka zdała na panią Kilańską.

— Nie ja go wyratuję, tylko ona— mówiła sobie.

Ale pokoju nie śmiała opuścić na chwilę. Zdało jej się, że gdyby wyszła, coś straszego zajęłoby mogło.

Cisza panowała dokoła. Tylko pani Kilańska siedziała obok łóżeczka Stasia; reszta kobiet czuwała w sąsiednim pokoju, gotowa na zawołanie.

Halka pisała gorączkowo:

„Ciężko przewiniłam, jestem nikczemna, zła, potworna. Niech mnie Bóg karze i ty, Czesiu, osądź mnie na najgorsze męki, tylko mi dziecka nie zabierajcie. Ja ciebie okłamywałam, gdyś mnie pytał wtedy, przed ślubem: czy cię Kocham, skłamałam, bo nie kochałam ciebie. Pamiętasz ten wieczór, gdy się dowiedziałam o śmierci Kazia?

„Boże mój! nie karz mnie tak strasznie. Ślubu dopełniłam, wyznam wszystko. Tylko głowę tracę; nie wiem co piszę. Ale chcę, żebyś wszystko wiedział. Biedactwo moje taki ma oddech przyśpieszony. Ty nie wiesz, Czesiu, co się we mnie dzieje. Przebacz mi, bo ja mękę konania przechodzę. Więc wtedy tyś mnie pytał: czy żadne wspomnienie nie wiąże się dla mnie z imieniem Kazia Sadeckiego? Ja się zaparłam uczuć moich, choć go kochałam. Grałam komedję. Poszłam za ciebie z wyrachowania, bo chciałam być bogatą. Sumienie kazało mi zerwać, ale posłuchałam Wacka; bałam go się i biedy się bałam. Więc tyś mnie czcił jako coś wyższego, a ja byłam komedyantką i hypokrytką. Pierwsze dwa lata tylko o tamtym myślałam i o tych chwilach, które mnie z Kaziem, jako z narzeczoną, łączyły. On z mego powodu się zabił, bo i jego zawiodłam; dałam mu słowo, i cofnęłam je, a potem, gdy został bogatym, chciałam mu je zwrócić; on pewnie dlatego się zabił. A teraz Bóg mnie karze. Boże! rób, co chcesz, znęcaj się nademną, ale mi dziecka nie odbieraj. Ja wiem przecież, co jestem warta. Ja wiem, że gorsza jestem od wielu zbrodniarek. Twoja, pogarda, Czesiu, należy mi się.

„Nie wierz mi — pisała Halka dalej — nie wierz nigdy, bo ja kłamię. Wszystko było komedją; i talent do rysunków i całe pierwsze dwa lata pożycia z tobą, bo jeżeli co dobrego zrobiłam, to nie przez



dobrze chęci, ale z wyrachowania. Zawiniłam przeciwko tobie, więc się ciebie bałam. A potem ręczyłam za Wacka, choć wiedziałam, że Lunki, wart nie jest, że jej nie kocha, że tylko majątku pragnie. Staralam się przekonać cię i pozyskać twoją aprobatę; teraz oni giną, majątek zmarnowany, a Lunka będzie całe życie nieszczęśliwa — i ja ukrywałam to przed tobą ze strachu. Nareszcie, tyś mnie zostawił samą jedną w domu. Bo czemuż ty mi ufasz? Czemu mi ufałeś, choć ci tyle razy mówiłam, że jestem małodusznym, bez żadnej wartości stworzeniem? Pewnie ja temu winna, że — ale mój Boże! Czesiu, nie myśl, że co złego zaszło. Tylko ja nieszczęście przynoszę; tamtego zabiłam, ciebie unieszczęśliwiam, a jeszcze jedno serce mam na sumieniu. Ale błagam cię, nie myśl, że jako żona sprzeniewierzyłam ci się. Przysięgam ci, że tej zbrodni, by twoje nazwisko splamić, nie popełniłabym. Cóż to pomoże, kiedy pomimo to taka zła, nikczemna jestem! Wiedz i to, że ja ciebie podziwiam, że powoli serce mi zabrałeś, że nikogo narówni z tobą nie stawiam; jesteś najlepszy, najmądrszy, najszlachetniejszy, a ja tym winniejsza jestem. Nie ma dla mnie żadnego tłumaczenia. Przecież ja ciebie dziś Kocham, ty jesteś ojcem Stasia; przedtem już kochałam cię. Ty nie pojmujesz: jakim sposobem mogłam przypuścić do głowy myśl drugiego człowieka jeszcze? Ja nie pojmuję, takie są ciemnice niezgłębione w mojej spaczonyj naturze.

„To są zagadki, które złość skomplikowana w sobie zawiera; ja tego nie rozumiem. Wiem tylko, że zła jestem. Tyś mnie już podniósł, już ulepszył. Tobie jednemu winna jestem tę trochę wyższych uczuć i lepszych czynów, na jakie się w życiu zdobyłam. Ale ty, najlepszy, jeszcze nie zmienisz tego, co złem nawskróś przesiąkło. Spowiadam ci się. Może i to egoizm, może lepiej byłoby niezatrzucać ci życia i kary swojej na tamtym świecie czekać? Nie wiem. Boję się, że myśl tę tchórzliwa natura dyktuje, bym cofnęła Bogu obietnicę moją. Ślubowałam Mu tę ofiarę na intencję dziecka naszego. Teraz Staś chory: to pewnie ostrzeżenie. Spełnieniem ofiary może go uratuję; może Bóg ulituje się i dziecko zachowa. Nie proszę cię, byś przebaczył — pokuta mi się należy, ale gdybyś słyszał, jak to biedactwo ciężko oddycha, gdybyś widział, jaki rozpalony, odgadłbyś może, że moja trwoga, to już straszliwa kara za grzechy. A tak mi ciebie żal! Gdy wrócisz, zostaniesz dziecko chore i tę spowiedź moją. Ale osądź sam, obiecałam Bogu, muszę dotrzymać. Byle dziecko uratować.”

Takie było ostatnie błagalne wołanie matki, w której egoizm macierzyński przygłuszył wszystkie inne uczucia.

Trochę spokojniejsza, z lżejszym sercem, kładzie list ten do koperty. Już się teraz nie cofnie; w tej

chwili byłaby gotową pójść na stokroć gorsze katusze, byle dziecko uratować.

I katusze znosi. Godziny płyną jedna za drugą, wolno, znęcając się sekundą każdą nad sercem matki.

Powóz wysłany został na dworzec kolei o stosownej porze.

Gorączka tymczasem nie wzrastała, ale też i nie zmniejszała się. Dziecko w pół senne leżało w łóżeczku, nie dopominając się, by wstać; zapomniało o wszystkich zabawkach; oczy otwierało zmęczone i zamglone.

Już jąda. Halka wie, że to mąż i doktor; w tej chwili nie o mężu i nie o spowiedzi myśli; wszystko marnem jej się wydaje; ona teraz wita doktora, jak zbawcę, a na męża ledwie okiem rzuca.

Już stoją nad łóżeczkiem dziecka. Chłopczyzna poznał ojca, do którego był egzaltowanie przywiązany. Uśmiechnął się do niego i rączki wyciągnął.

Złoczowski pochylił się nad synem i do serca go tulił. Dziecko nawpół przytomne, widocznie owładnięte jedną tylko myślą, powtarza teraz:

— Tarolinta mówi, że pan Tot, to „tato.”

Dla Czesława słowa te były niezrozumiałemi, ale Halki serce zamierało.

Tymczasem doktor mierzy temperaturę chłopczyzny. Wszyscy ze wstrzymanym oddechem wyroku czekają.



— Tylko 39 stopni — mówi młody eskulap, starając się wlać otuchę w rodziców. — Prawdopodobnie nic nie ma groźnego; pewnie na odrze się skończy. Plamek nie ma dotąd na ciałku, ale w kilka godzin może też choroba się zdeklaruje.

— Prawdopodobnie nie ma nic groźnego, ale też może i jest — myśli Halka, nie śmiać ludzię się nadzieją.

— Czesiu — mówi do męża, zanim zdążyła zdać mu sprawę ze szczegółów choroby, zanim zdołała zamienić z nim słów kilka — chodź, proszę do kancelaryi.

Mąż zdziwiony patrzył na nią; nigdy jej nie widział tak nienaturalnej, w widocznym naprężeniu nerwów, pozbawionej zwykłego panowania nad sobą.

— Biedactwo! — myślał — jakie okropne chwile przechodzi.

I sam niespokojny o dziecko, dążył za żoną, przekonany, że mu chce powiedzieć szczegóły i przebieg choroby.

Gdy weszli do jego kancelaryi, ona, nie spoglądając na niego, szukała gorączkowo jakiegoś papieru na biurku. Czesław rękę jej pochwycił, przeciągnął do siebie, a tuląc ją w ramionach, w czoło i w oczy całował.

— Nie trzeba się tak trwożyć — mówił — uspokój się. Nie ma do tej chwili najmniejszego niebezpieczeństwa. Jutro wszystko może być dobrze.

On dziecko kochał głębokim uczuciem, ale żonę może większym, gorętszym jeszcze. Halka zaś kochała go także, ale dziecko było pierwszą jej myślą jej namiętnością niepohamowaną.

Nie słyszała prawie, co Czesław do niej mówił, nie czuła pieczyoty jego; gorączkowo tylko chciała się chwycić jedynego lekarstwa, jakie, zdawało jej się, że syna uratować może, i wyrrywając się z ramion męża, wróciła do biurka.

— Tu położyłam — mówiła — pozwól, Czesiu, muszę znaleźć.

— Czego szukasz?

— Listu.

— Jakiego? Później mi go oddasz.

— Nie, nie! zaraz, w tej chwili. Już mam; myślałam, że go włożyłam między bibułę, a on w szufladzie leży. Zupełnie głowę tracę. Czesiu, to list do ciebie odemnie. Przeczytaj zaraz. Im prędzej, tym lepiej. Tu o dziecko chodzi. Czytaj.

I nie dając czasu na opamiętanie, wybiegła z pokoju, wracając z pośpiechem, pełnym nieuzasadnionych obaw, do łóżeczka syna.

Godzina za godziną mijała. Doktor czuwał nad dzieckiem i ku wieczorowi skonstatował odprężenie, zapewniając, że niebezpieczeństwo żadne nie grozi; postanowił, na błagalne prośby Halki, noc jeszcze spędzić w Złotopolu i rannym pociągiem do Lwowa powrócić.

Tymczasem Złoczowski, zamknięty w swoim pokoju, przez kilka godzin znaku życia nie dawał.

— Gdzie tato? gdzie tato? — pytało dziecko niespokojnie kilka razy.

Doktor, zdziwiony długą nieobecnością gospodarza domu, radził posłać po niego, by dziecka nie drażnić. Halka, zmieszana bardzo, odparła, że mąż jej ważnemi sprawami zajęty, sam przyjdzie, gdy będzie miał chwilę wolną.

Doktor spojrział na nią uważnie.

— Coś niezwykłego dzieć się tu musi — myślał, ale nie nalegał więcej.

Ku wieczorowi Jacenty, stary zaufany sługa, wszedł do pokoju dziecka, a zwracając się do Halki, rzekł:

— Jaśnie pan kazał się zapytać: jak się Staś miewa?

Na Halki bladą twarz żywe rumieńce wystąpiły.

— Niebezpieczeństwo nie grozi; powiedz, że, dziecko ma odrę.

Jacenty stał jeszcze chwilę: widocznie miał coś więcej do powiedzenia, ale się wahał.

— Możesz iść — kończyła Halka, zbyt zmieszana i strwożona, by zauważyć cokolwiek.

— Kiedy, proszę jaśnie pani, mnie się widzi, że jaśnie pan też bardzo chory być musi.

Halka zerwała się z miejsca, z zamiarem pobie-



gnięcia na ratunek męża. Ale za drzwiami na korytarzu zatrzymała się.

— Czy pan nie kazał nikogo przywołać?

— To, proszę jaśnie pani, tak było. Słyszę dzwonek: aż zajęczał, tak mocno pan szarpnął; całą noc nie spałem, bom się przestraszył; ażem skoczył. Lecę, a to, proszę jaśnie pani, patrzę, pan blady, jak ta ściana, aż usta posiniały i oczy gdzieś het zapadły. Już to okrutnie chory musi być. Ale mi to tylko powiedział: „Idź, dowiedz się, co z dzieckiem? A żeby mi tu nikt nie wchodził. Rozumiesz—powiada—nikt, dopóki nie zadzwonię.”

Halka stała chwilę nieruchoma, w ziemię patrząc. Jacenty czekał na decyzję.

— Dziecku nic nie grozi. Odra. Idź, powiedz panu, żeby był spokojny — rzekła w końcu.

— A jaśnie pan? — spytał sługa.

— Skoro zakazał wchodzić, to widać spokoju potrzebuje; nie trzeba mu przeszkadzać.

Teraz Halka zostawia przy dziecku doktora i panią Kilańską, a sama udaje się do swej sypialni, graniczącej z pokojem syna, i rzuca się na kolana przed Bogiem.

— Panie! ofiarę spełniłam, Ty mi dziecko oddajesz; dzięki Ci, dzięki!

Ale ciężar wielki tłoczy jej serce. Myśl o mężu staje się dręczącą nad wyraz. Dałaby w tej chwili wszystkie osobiste pociechy, by pójść pocieszyć go,

ukoić ból jego, a nie śmie. Na chwilę nie wątpi, że Stasia uratowała tylko jej ofiara; że gdyby nie była dopełniła ślubu, dziecko byłoby umarło. Więc nie żałuje, że osobistą boleścią okupiła życie jego, ale myśl o mężu spokoju jej nie daje. Mękę odczuwa.

— Niestety przynoszę. Wszyscy, którzy mnie kochają, cierpią z tego powodu.

Noc bezsenna minęła. Złoczowski raz tylko jeszcze przysłał służącego, dowiadując się o zdrowie dziecka, sam jednak nie pokazał się i ponowił nakaz, by się nikt nie ważył wchodzić do niego.

Doktor zapytał Halki: czy pomimo to nie byłoby bezpieczniej pójść i dowiedzieć się, co się dzieje z chorym widocznie człowiekiem?

Halki obawa o zdrowie męża wzrastała; przyjęła propozycję doktora. Gdy ten zastukał do kancelaryi Złoczowskiego, ułyszał głos bezdźwięczny, złamany:

— Kto to?

— Ja, doktor, czy nie można odwiedzić pana?

— Przepraszam bardzo. Nie w tej chwili. Nie jestem chory. Mam zmartwienie. Zmęczony jestem. Proszę mi darować.

Odpowiedź tę zaniósł doktor Halce. Uważnie przyglądał się jej fizyognomii, chcąc wyczytać tajemnicę tej widocznej tragedii domowej, ale Halka już wróciła do stanu normalnego o tyle, że panowała nad sobą i na twarzy jej tylko zmęczenie się malowało. Widocznie nie była zdziwiona niezwykłym

zachowaniem się męża. To było jasnym dla wszystkich.

Nad ranem doktor wyjechał. Gorączka spadła, ale z góry było przewidzianem, że chociaż mniej silna, potrwa jeszcze dni kilka; Staś miał cały tydzień w łóżeczku spędzić.

Pani Kilańska po dwóch bezsennych nocach wróciła do domu. Miała tam tyle, tyle zajęcia. Za tydzień nowy administrator miał nadjechać. Trzeba było część domu uprzętnąć dla niego. Za kilka tygodni cała rodzina do Rudki przeprowadzić się miała. Kilański wziął folwark ten w dzierżawę. Więc zajęcia było aż nadto! Gdy młoda kobieta znalazła się w domu, mąż jej czekał na nią z widocznym niepokojem.

— I cóż słyhać? — pytał.

— Dziecku nie nie będzie, ale coś dziwnego dzieć się tam musi. Pan Czesław chory, czy też nieszczęście jakieś go dotknęło, nawet Stasia nie odwiedzał. Zamknął się u siebie i żywej duszy widzieć nie chce. Pani Złoczowska może i wie, o co chodzi, ale jakoś dziwnie obojętnie patrzy na wszystko, co się nie odnosi do dziecka. Naprzód od zmysłów odchodziła, teraz jakaś apatyczna, czy smutna, nie wiem, ale żal mi jej, przykro na nią spojrzeć.

Kilański ciężkie również chwile miał do przebycia. Uczucie i sumienie, jak dwie wagi równie prze-



ładowane, przygniatały go, to jedno, to drugie większym ciężarem tłocząc.

Myśl o Złoczowskim nieznośną mu była; tego, który dał mu opiekę, wychowanie, utrzymanie, później dobrowolnie za brata go uznał, legat oparty na luźnym dokumencie wypłacił, tego człowieka, któremu wszystko był winien, zdradzić chciał, haniebnie skrzywdzić, honor i prawość nieskalaną życia jego, chciał okryć niesławą. Więc upokorzonym się czuje do głębi serca, nie znajdując uniewinnienia dla siebie.

A przecież, gdy o Halce pomyśli, serce wyrывa mu się do niej i nie ma siły zapanować nad uczuciem swoim. Co między nim zająć mogło? — pyta siebie, nie znajdując odpowiedzi, a nie ma odwagi pójść do dworu i zbadać przyczyny nieporozumień na miejscu.

Co zaszło, o tém nigdy nie miał się dowiedzieć. Ale że on grał rolę w nieporozumieniu pomiędzy mężem a żoną, o tém przekonał się tego samego dnia. Wieczorem otrzymał list, adresowany ręką Złoczowskiego:

„Legat ś. p. ojca mego, wynoszący 20,000 zlr., wypłaconym być może w każdej chwili. Proszę upomnieć się o te pieniądze u mego adwokata we Lwowie. Rudkę odbieram, nie zamierzam majątku tego puszczać w dzierżawę. Rozstając się z panem, o jedno tylko proszę, abym miał przyjemność nigdy

go nie spotkać na mej drodze. To jest żywe moje pragnienie

*C. Złoczowski.*"

Kilański potrzebował kilka razy list ten odczytać, zanim oswoił się z treścią jego. Wszystkie złe instynkta: namiętność pycha, miłość własna, zostały w nim dotknięte. Całe piekło odezwało się w jego duszy. Wyniosły i pogardliwy ton listu o gwałtowny bunt go przyprawiał.

— Zemścić się! A tego człowieka ja oszczędzać chciałem! Stawiałem go na piedestale. Mogłem go przygniść do ziemi; wolałem własne serce zdeptać, niż jemu krzywdę wyrządzić. A on mi jałmużnę rzuca i precz iść każe.

Wściekłość w nim wrzała.

Kilański rzucał się w swym pokoju, jak szalony, miał ochotę w uniesieniu tłuc i rozbijać ściany. Szamotał się po szalonemu.

— Jego pieniądze! Ja mu je w twarz rzucę. Cóż to? On zapomina, żeśmy równi? żeśmy bracia? Myśli jałmużną mnie się pozbyć. Nie mam mu się pokazać na oczy? Otóż pokażę się raz tylko, ale po to, by mu żonę zabrać.

Nie. Choć wmawiał w siebie, że Halka go kocha i że gotowa byłaby męża dla niego porzucić, pewności tej nie mógł nabrać. Żywo stawała mu w oczach scena, w której, gdy się chciał zbliżyć do młodej ko-

biety, ona cofnęła się przerażona. Nie miłość, ale przerażenie malowało się na jej twarzy. Więc we wspomnieniu tém nie znajdował ukojenia dla swęj miłości własnej. Przeciwnie. W tej chwili rozgoryczony, wszystko w czarnych widział kolorach. Ulgi nie doznawał żadnej.

Daremnie silił się, by sobie uprzytomnić niektóre chwile z Halką spędzane, świadczące o jej sympatyi dla niego. Nic to nie pomagało. Zimna jest. Kochać nie umie, nikogo nie kocha. Niewyraźny charakter, mgławica!

Przecież zwrócenie przeciw Halce oburzenia swego nie potrafiło odmienić jego uczuć. Wiedział, że choćby złą nawskróś była, choćby zamiast sympatyi, pogardę miała dla niego, choćby, go precz wyrzucić kazała, kochałby ją jeszcze. I to pomnażało ból jego. W tej chwili byłoby dla niego pociechą, gdyby mógł wyrwać z korzeniem miłość swą z serca dla tej kobiety. Ale czuł, że to jest niemożliwe. Byłoby ulgą dla niego, gdyby, odrzucając w równie pogardliwy sposób, w jaki mu uczyniony został, dar Złoczowskiego, mógł porzucić Złotopole, otrząsając proch z nóg swych i nie zabierając ztamtąd nic, prócz oburzenia, któreby się po czasie w obojętność zamieniło. Ale czuł, że wyniesie ztamtąd serce rozdarłe, niezdolne już nigdy zabić żywiej.

Scena, odegrana dwa dni temu we dworze, odgry-



wala się teraz we dworku. Kilański, zamknięty w swym pokoju, nikogo wpuścić nie chciał.

Żona jego przeczuwała, że coś się bardzo złego dzieje, przeczuwała, że szalone rozdrażnienie męża stoi w związku z dramatem, odgrywanym się we dworze; nie śmiała jednak szukać powodów, cofała się od podejrzeń: jej czysta dusza złego domyśleć się nie chciała. Ale czuła również, że serce jej męża już do niej nie należy; odgadywała, kto jej to serce zabrał, ale czuła się bezsilną i zrezygnowaną. W dzieciach szukała pociechy. W jej gołębiej naturze na zawziętość miejsca nie było, gotową była w każdej chwili odpuścić swoim winowajcom, do brze im czyniąc. W tej chwili jednak mocno była zaniepokojona gwałtownym podnieceniem męża. Jej pytania zbył szorstką odpowiedzią. Drzwi zatrzasnął.

— Niech mi się nikt wejść nie waży! Chcę mieć spokój.

Nakaz był wyraźny; pani Kilańska pilnowała służby i dzieci, aby został spełniony.

We dworze tymczasem wszystko pozornie wracało do zwykłego porządku. Złoczowski zdawał się być zajęтым różnemi czynnościami, przy dziecku wiele godzin spędzał. Tylko to było niepojętym dla wszystkich: co mogło tak odmienić twarz jego?

Służba szeptała między sobą, że pan śmiertelnie chory być musi, albo też, że zaszło coś strasznego, tylko

pan może przed panią tai, a może i nie? Bo przecież pani tak samo błada, smutna, nie uśmiechnie się nawet. Pan zaś—jakby wstał z grobu. Inny człowiek: stary, posiwiał, z zagasłemi oczyma, snuje się, jak cień po domu ciężkim krokiem, rzekłbyś, ciężar jakiś tłoczy go do ziemi. A w oczach smutek taki, że i przy dziecku ożywienie w nich nie zabłyśnie.

Służba robi swe spostrzeżenia. Nic jej oka nie ujdzie.

— Już to i dla pani inny teraz — mówią. — Dawniej, to mu się twarz mieniła, gdy na nią patrzył, jak na święty obraz; kochał ją. Strach! Już też na rękę byłby ją rad nosił. Dobra kobieta, to i nie dziw. Ale teraz, to jakby i na nią krzywem okiem patrzył. Ona wchodzi; on tak, jakby nie widział. Zagada, to on krótko odpowie i mileży. Ani pogadają z sobą, ani nic. Coś się złego stało. Bogu jednemu wiadomo co.

Rzeczywiście, Złoczowski innym stał się człowiekiem. Cios był zanadto niespodziany i zanadto silny. W pierwszej chwili zdawało mu się, że oszalał. Nie wierzył. Nie mógł pogodzić złudzeń swoich z rzeczywistością. Zupełnie był oszołomiony. Ale list leżał przed nim. Gdy nareszcie pojął prawdę, gdy zrozumiał, że Halka pisała, będąc przy zdrowych zmysłach, że przytomna była; gdy pojął,

że to nie jest żadna senna zmora, ale rzeczywistość, zdawało mu się, że ciosu tego nie przeżyje.

Ból, który go szarpał, był nad jego siły. W jednej chwili człowiek pełen energii i woli—złamanym został. Mózg jego wstrząśnięty był i myśli straszne w swej gmatwaninie błąkały się po głowie bez związku. Zdawało mu się, że zaszła zmiana jakaś, nie tylko w nim, ale i w świecie całym, że być nie może, aby nad tą kobietą słońce świeciło, jak nad zwykłymi ludźmi, że jakiś kataklizm ogólny nastąpił, albo musi nastąpić.

Były chwile męczarni tak wielkiej, że pragnął oszaleć. Byłe nie czuć więcej, nie myśleć więcej.

Ach! czemu ona jest matką dziecka jego? Czemu nie może jej precz wypędzić? Czemu skazany jest na życie z nią pod jednym dachem? Czemu Bóg nie zabrał jej lepiej? Czemu skazuje go na to, by musiał patrzeć na dawne bóstwo swoje, w przepaść błota zamienione?

Łańcuchem na życie związany z kobietą, której na imię fałsz, obłuda, zdrada, kłamstwo! Na całe życie!

Zdaje mu się, że nawet atom uczucia nie pozostał w sercu jego dla tej, którą tak kochał. Pogarda tylko! W bezdennym oceanie goryczy czuł się zanurzonym. Nie było nic, nic, coby osładzało kielich, z którego pić musiał.



Myśl o synu nie pocieszała go. To jej syn, może po niej wziął duszę nawskróś złem przesiąkniętą?

Jednak tak nawykł do obowiązku, że i teraz budzi się w nim myśl:

— Ja dziecko ratować muszę przed zgubnym wpływem matki jego; strzedz je będę, by mu nie zaszczerpiła trucizny w duszę.

Nie! to nie przesunęło się nawet przez głowę jego, że ów list, którym żona sama siebie oskarżała, jest dostatecznym dowodem, iż zdolna jest do lepszych uczuć; skoro żal, skrucha, pokora, mają przystęp do niej, to litość i wspaniałomyślność uratować ją mogą.

Widział w niej potworną istotę, bez sumienia, bez zasad, bez pojęcia o moralności; coś niezrozumiałego dla jego absolutnych sądów, coś przerażającego. U niego prawość była zmysłem wrodzonym; nigdy nawet walki z sobą nie toczył, bo mu sumienie zawsze kategorycznie dyktowało, jak postępować należy. Nie wahał się.

Pierwszy raz w życiu opanowała go pokusa niezwalczona: żądza śmierci. Ach! gdyby można umrzeć! Gdyby nie czuć, nie myśleć! Bo myśl uparcie do żony się zwracała. Jak wąż zjadliwy i silny, tak ból wpijał się w duszę, w serce, w umysł jego, szarpał wnętrzności, poił się krwią jego serdeczną, rozum mu odbierał, do szaleństwa go doprowadzał. Choć w miarę uciekających godzin coraz

jaśniej sprawę sobie zdawał z położenia i z tego, co czynić należy, przecież cierpienie się nie zmniejszało. Przeciwnie, ciężar, tłoczący go ku ziemi, zdawał się wzrastać. Po za oburzeniem na nieprawne postępowanie żony i zazdrość wściekła nim owładnęła—zazdrość o przeszłość. On ją tak kochał, a ona kamień zamiast serca mu dała; wtedy, gdy ją w ramiona tulił, ona o innym myślała.

A teraz? Nie! to być nie może! Zanadto okropne, zanadto nikczemne to wszystko! Przecież on tym dwojgu tylko dobro świadczył. Przecież tamtego za brata uznał i całe życie dobrym był dla niego, bo chociaż Halka nazwiska Kilańskiego nie wymieniła, on wiedział, że jego miała na myśli. Jakim sposobem marne serce ludzkie tyle bólu zmieścić może? Jakim sposobem ból go nie rozsadzi? Może sztydził z niego? Tak naiwnie, nie jak mężczyzna, ale jak małe dziecko, dał się okłamywać.

Upokorzonym się czuje, śmiesznym, ograniczonym. Wszystko w nim cierpi. Nie ma jednego uczucia nie zakrwawionego. Nie ma jednego nerwu, któryby, jak pod rozpaloném żelazem, pod wrażeniem słów listu z bólu nie syczał.

Krzyż zaciężkim mu się wydaje. Upada pod nim. Błaga Boga o litość, o siłę, ale on nie mógłby w tej chwili wymówić słowa boskiej modlitwy: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”.

Wśród zgiełku myśli rozszalałych, jedna, najgłośniejsza uderza, zda się, jak młotem, po skroniach i taki w nich ból fizyczny wywołuje; jedna najgorzej boli, najczęściej pamięć mąci i do szału doprowadza:

— Nie kocha mnie. Nigdy mnie nie kochała!

I jak na urągowisko stają mu w oczach dawne obrazy. Widzi ją całą w bieli, narzeczoną swoją, oblaną blaskami księżycą, opartą o pień drzewa w lesie pełnym woni wiosennych, rozśpiewanym i rozkołysanym. Widzi ją, gdy święta napozór, niepokalana, kłamie mu z całą zimną krwią, łaknąc bogactw. Przysłuchuje się teraz tej wrzawie nieopisaną, która mu głowę rozsadza. Może już oszalał! Może to wszystko razem zmora? czy jakieś chorobliwe?

Nie, list leży przed nim. To rzeczywistość. To prawda, okropna prawda, że żona jego ma na sumieniu życie ludzkie. To prawda, że jego ukochana siostrzenica padła jej ofiarą.

— Mnie zgubiła, zmarnowała mi życie. I nic, nic, nawet wspomnienia lat minionych nie zostały mi na pociechę, bo te lata były złudzeniem. Kochałem złe wcielone, wierząc w tę kobietę, jak w świętość.

Rozpacz go ogarnia. Nie może, nie może oswoić się z nieszczęściem. Wyjechać, nie widzieć tej kobiety!—wyjechać, choćby na czas jakiś. Ale nie! Dziecka zostawić jej nie może. Wpływ mógłby być



zgubnym. Obowiązkiem jest zostać na miejscu i czuwać nad synem.

Po wyczerpującem szamotaniu się z nieszczęściem, zdobył się wreszcie na bohaterski wysiłek:

— Już zadługo uwagę ludzi ściagałem na siebie. Świat nie będzie wiedział, jak obfite miałyby pole do miłosiernych uwag, jakie żniwo mógłby zebrać w życiu żony mojej. Nazwisko moje nosi; niechże ten grób pobielanym będzie, tak jak dotąd. Skandalu uniknąć trzeba.

Ojciec, żona, ten, którego dobrodziejstwami obyspał,—wszyscy, wszyscy bez czei są i wiary!

Drugiego dnia, gdy już doktor wyjechał, a pani Kilańska dążyła z powrotem ku dworkowi, Złoczowski dźwignął się z siedzenia, jak starzec, i poszedł na górę.

Zatrzymał się w gabinecie gotyckim, zadzwonił. Za ukazaniem się służącego, rzekł:

— Poproś panią.

W chwilę później Halka weszła do pokoju, blada, przybita, ale spokojna. Z góry na wszystko była zrezygnowana; kamień jej spadł z serca, gdy mężowi wszystko wyznała. Zdawało jej się, że dług spłaciła, że oczyściła się tym sposobem do pewnego stopnia. Nie śmiała jednak podnieść oczu na męża, stała wobec niego, jak oskarżony, poczuwający się do winy wobec sędziego.

Złoczowski krzesło dla niej wysunął, mówiąc:

-- Usiądź, proszę.

Machinalnie rozkaz spełniła.

On w tej chwili, patrząc na nią, poczuł taką nieopisaną rozpacz, że gdyby nie siła woli, wyteżona do maximum, głos jego byłby się zmienił w głośne szlochanie. Byłby ryczał z bólu.

Trudno, trudno! On miłości z serca nie wyrwie, i czuje z przerażeniem, że pomimo wszystko, kocha ją jeszcze.

Czy to być może? Pogardza nią, nienawidzi jej: a kocha ją jednak. Nie poznaje siebie. Gubi się. Jemu się zdawało, że już będzie mógł mówić, że pierwszy szal przeszedł.

A teraz, gdy na nią patrzy, odkrywa w sobie rzeczy nieznanne dotąd. Miałby ochotę ją zmiażdżyć, skruszyć, znęcać się nad nią bez miłosierdzia: a swoją drogą miałby ochotę otworzyć ramiona, pochwycić ją i do piersi namiętnie przycisnąć.

Co to jest? Co się z nim dzieje?

Więc przyjdzie jednak oszaleć.

Raz i drugi usta otworzył, by przemówić, ale głos uwiązł w gardle, nie mógł go z piersi wydobyć.

Halka, zawsze z oczyma spuszczone, milczała. Cała powierzchowność jej nacechowana była cichym majestatem, harmonią spokoju i łagodnego cierpienia. Nie! złe śladów swoich nie wyrzyło na jej gładkiem, myślącym czole, na jej poważnej twarzy.

— I pomyśleć — zastanawiał się z goryczą Złoczowski — że hypokryzya tak wygląda!

Nareszcie zapanował nad burzą, wrzącą w sercu i w umyśle; głosem zmienionym, ale tym razem posłusznym jego woli, odezwał się:

— Pojmujesz, że trzeba teraz inaczej ułożyć życie nasze.

Ona milczała. Po krótkiej pauzie, jakby zmęczony wysiłkiem, Złoczowski mówił dalej:

— Rozwód między nami jest niemożliwym; dziecko cierpiałoby na tém. Musimy mieszkać pod jednym dachem. Ale...

Odetchnął głęboko, zaczerpnął powietrza, zdawało mu się, że go ból za gardło trzyma i dławi.

— Ale — kończył po chwili — oboje starać się będziemy unikać się wzajemnie. Tylko o tyle zwykłe stosunki towarzyskie łączyć nas będą, o ile to dla oczu ludzkich, a później dla dziecka, potrzebném będzie... Szkoda — kończył po nowej pauzie — że „sumienie” nie podyktowało ci listu twego trzy lata temu.

Wyraz „sumienie” wymówił dobitnie i z ironią.

— Bylibyśmy dziś wolni oboje. Teraz zapóźno. Musimy znosić się wzajemnie.

Mówiąc to, podniósł się z miejsca:

— Nic więcej nie mamy sobie do powiedzenia. Od tej pory jesteśmy obcy dla siebie.

Miał zamiar ku drzwiom podążyć, ale musiał



przejsć mimo Halki. Ona, pchnięta uczuciem, nad którym nie mogła i nie starała się zapanować, schwyciła rękę jego i do ust podniosła. Ale zanim zdążyła dotknąć jej ustami, jego twarz zmieniła się gwałtownie, oczy wściekłym gniewem zabłysły, wyrwał dłoń z jej ręki szalonym ruchem, odpychając ją od siebie tak szorstko, że ona, nieprzygotowana na ruch ten, w tył się zatoczyła.

— Idź precz! — zawołał ochrypłym głosem i śpiesznie wybiegł z pokoju.

Halka stała chwilę oszołomiona. Nic nie słyszała, nic nie widziała, tylko szum wielki poczuła w głowie; padła na kolana, oczy rękoma zasłaniając.

Dłuższy czas pozostała w tej pozycji; nie czuła ani oburzenia, ani gniewu, nie myślała się buntować. Błada tylko była, jak gdyby krew w niej zastygła: blade usta drżały nerwowo; oczy łzami były napelnione, ale łzy nie spłynęły po twarzy, tylko na serce się stoczyły i miały tam już na zawsze palić ją i ciężyc ołowiem.

Nie była zdolną zastanawiać się ani tego dnia, ani dłuższy czas jeszcze. Tylko, gdy pomimo gwałtownego przerażenia przypomniała sobie, że czas jest podać dziecku lekarstwo, zerwała się z miejsca i pobięła spełnić swój obowiązek.

Gdy stanęła nad łóżeczkiem, gdy Staś spojrział na nią promiennymi oczyma, doznała uczucia ulgi.

— Moją ofiarą uratowałam go; to wszystko dla niego!

— Mamusiu — mówił chłopczyzna — tatko tu był, taki smutny, nie śmiał się, pocałował mnie tylko i poszedł. Czy tatkę główka boli? Czy mamusia była niegrzeczna?

— Tak, synku. Mamusia była bardzo niedobra. Mamusia teraz już tylko ciebie będzie miała do kochania. Ty będziesz mamę kochał zawsze.

Dziecko obie rączki zarzuciło matce na szyję.

— Zawsze! I mamę, i tatę. Wszystkich: i pana Tota, i Totowę, i Tarolintę, i Werbla, wszystkich będę kochał.

Dla Halki słowa dziecka mieściły głęboką ironię. Zdaje sobie sprawę w tej chwili, że miłość dziecka dla matki nigdy nie jest wyłączną, że krótko tylko matka pierwsze miejsce w sercu syna zajmuje; że już w wieku dzieciennym tysiące rzeczy odrywa jego uwagę i umysł pochłania po za obrębem matki: a później? Później przyjdzie obca kobieta, wkradnie się jedno uczucie za drugim do duszy dziecka, i matka staje się tylko dodatkową częścią życia jego. Pojmuje Halka, dlaczego miłość macierzyńska jest najwznioślejszém, najświętszém z uczuć. Nie nie żąda wzamian, daje tylko i daje bez końca skarby miłości, bezinteresownie, bez cienia egoizmu.

— Zawsze, choćby on i nie dbał o mnie, to

przywiązanie moje do niego życie mi zapelni —  
myśli z rezygnacją.

Choć zdawało jej się, że nie można zapamiętałej  
kochać dziecka swego, jak ona Stasia kochała, prze-  
cież teraz pewną jest, że kocha go jeszcze goręcej;  
okupiła życie jego wielkiem cierpieniem, więc stał  
jej się jeszcze droższym.

Wstrząśnienia, jakich doznawała w ostatnim  
czasie, wywołały w niej dziwną reakcję. Uczucia  
były w niej jak gdyby odrętwiałe, myśli pozostawały  
w zawieszeniu. Żyła machinalnie, z dnia na dzień,  
w zupełnej apatii pogrążona.

Nazajutrz Złoczowski wszedł do pokoju dziecka;  
wkrótce po jego ukazaniu się bona wyszła, został  
więc prawie sam na sam z żoną. Nagłe, nie zdając  
sobie sprawy z tego, co czyni, pod wpływem nanowo  
ogarniającego go szału, wydobył jakiś zmięty list  
z kieszeni i rzucił go Halce w pogardliwy sposób.

Więc ludził się tylko, że już się opamiętał, że po-  
godził się z myślą cierpienia. Starał się całemi siła-  
mi odzyskać równowagę; przekonany był, że zdoła  
zachować zimną krew. Czuł się upokorzonym z po-  
wodu gwałtownego czynu, gdy żonę odepchnął i prze-  
mówił do niej brutalnie.

Miał zamiar jak obcą ją traktować, ale nie wy-  
chodzić nigdy z form, które dobre wychowanie naka-  
zuje. Z tem postanowieniem szedł dziś na górę, do  
pokojów żony, ale gdy ją zobaczył, gdy obok niej



chwil kilka spędził, przestał być panem siebie i ów list rzucił jej pogardliwie, z wściekłością.

Halka drgnęła przerażona. Oczami pytała go: co to znaczy, nie pojmując.

— Czytaj! — zawołał rozkazująco.

Halka machinalnie papier rozwinęła i czytała odpowiedź Kilańskiego na list jej męża.

„Nie masz pan prawa w ten sposób do mnie przemawiać. Jestem ci równym pod każdym względem i obelg nie znoszę. Pieniądze, rzucone mi, jak jałmużnę, odrzucam. Nie uznaję, bym miał prawo do nich; nie są prawnie zapisane, a panu nic zawdzięczać nie chcę. Wyjeżdżam dzisiaj; żona moja z dziećmi za kilka dni wyruszy. Co do interesów, zdałem panu sprawę przed wyjazdem jego do Lwowa. Pilnowałem więcej, niż własnego dobra. Jeżeli drobniejsze sprawy wymagać będą wyjaśnienia, listownie załatwić to możemy. Tymczasem pan nie możesz więcej odemnie pragnąć, tylko tego byśmy się spotykać nie potrzebowali.

*Konstanty.*”

List ten pisany był w najwyższem rozdrażnieniu. Kilański nie zastanowił się, że bądź co bądź nie ma prawa odzywać się w ten sposób do swego pryncypała. Zadraśnięty w miłości własnej, nie znał opamiętania. A potem, pisał do męża Halki. To jedno tylko wiedział, że porzucić ją trzeba, wyrzec się jej

na zawsze. Odgadywał, że on grał rolę w tém, co zaszło we dworze. Prawdopodobnie o uszy Złoczowskiego plotki obić się musiały. Dowiedział się pewnie, że w jego nieobecności Halka długie wieczory spędzała sam na sam z administratorem, że wśród dnia widywano ich tak często razem.

— Na tej podstawie opiera pewnie prawo swoje, bymnie, jak psa, z domu wyszczuć.

Nie zastanowił się, że Złoczowski należy do rzędu ludzi, którzy plotek z pogardą i niedowierzaniem słuchają; że nie było tego, któryby śmiał na żonę cień podejrzenia rzucić wobec wzorowego męża. O tém wszystkiem Kilański nie pomyślał; tylko przekonany, że o Halkę chodziło, tém więcej się buntował.

Mógł zapomnieć o obowiązkach, pokusa przechodziła zwykle siły ludzkie, tak mu się zdawało: a sam, dobrowolnie usuwał się i wyrzekł najwyższego szczęścia.

— I za to, jak psem, mną poniewiera — myślał z oburzeniem, w czasie, gdy, wedle zdania Złoczowskiego, sama pokusa do złego w tych warunkach wystarczała, by Kilańskiego odsądzić od czci wiary i z błotem zmieszać.

Kilański zaś w głębi duszy nosił głębokie rozczarowanie; jednak miał żal do niej. Zdawało mu się, że jego miłość własna została listem Złoczowskiego zadraśnięta, a tymczasem czuł się upokorzonym

i w inny, jeszcze dotkliwszy, sposób. Nie był pewnym, czy tylko od niego zależało Halkę zdobyć. A wątpliwości pod tym względem dręczyły go strasznie.

— Gdyby choć tę jedną pewność zabrać z sobą w życie na pociechę, że ona mnie kochała, że nie brak serca, ale tylko poczucie uczciwości wyrwało ją z pod mej władzy!

Teraz, gdy czuł się tak głęboko dotkniętym tonem listu Złoczowskiego, miał jeszcze szaloną pokusę napisać do Halki, bądź co bądź zwyciężyć, zemścić się na tym, który, wedle jego mniemania, poniewierał nim. Ale czy to odwagi mu zabrakło, bo nie był pewien, jaki będzie rezultat kroku tego, czy bał się jeszcze gorszego doznać rozczarowania, dość, że wyjechał, nie żegnając jej.

Nie! stanowczo, nie był jej pewien. Jadąc w świat na niepewne losy, szukać chleba, tylko nią myśl miał zajęta; ale gorycz odczuwał, a starając się zamknąć na zawsze ten rozdział życia swego, mówił:

— Jej sympatya dla mnie była sympatyą umysłu, a nie serca; jej chwile uniesienia były uniesieniem nerwów, a nie uczucia. Czy ona ma serce? Czy zdolną jest czuć w ogóle? Nie wiem. Gdyby mnie kochała, czy byłby mógł kochać ją lata całe i nie śmiał ust otworzyć? Może przez wzgląd na tego tyra-  
na, od którego zależeliśmy oboje; ale przecież... Nie! kto ją kocha, na nieszczęście jest skazany, bo



ona serca nie ma. Wszystko w niej niejasne, niezdecydowane, chaotyczne! Mgławica!

Halka odczytała list, niezupełnie rozumiejąc treść jego.

Wiadomość o wyjeździe Kilańskiego nie wywołała w niej głębokiego wrażenia; przeszła prawie niepostrzeżenie. Ona w tej chwili tylko przerażoną była; szorstkie zachowanie się męża krew w niej ścinało. Doznawała niemal fizycznego strachu. Nie rozumiała prawie treści listu, czuła spojrzenie męża na siebie zwrócone i oczu na niego podnieść nie śmiała.

— Skończyłaś? — zapytał ostro.

— Skończyłam — odparła, truchlejąc.

— Czy rada jesteś z dzieła swego? Ci ludzie do nędzy zostaną doprowadzeni, tak jak Luna i jej dzieci. Jego mi nie żal, to nikczemnik. Ale co tobie ta biedna kobieta zawiniła?

I zerwał się, czując, że nie pohamuje gniewu swego, i wybiegł z pokoju.

Staś przerażonemi oczyma patrzył na rodziców, nie śmiąc się odezwać. Nigdy ojca takim nie widział, bał się także.

Po jego wyjściu łzy strumieniem puściły się po twarzyczce dziecka.

— Mamo, mamo! czemu się tatko gniewa? Czy ty, mamusiu, znowu byłaś niedobra?

— Znowu, synku — odparła Halka pokornie,

dziecko do serca tuląc. — Ojciec ma słuszość się gniewać: mama na to zasłużyła.

— Czy ty co zepsułaś, mamusiu? — pytał.

— Zepsułam wiele rzeczy, kochanku,

— Może stłukłaś szybę? — pytał głosem wystraszonego, ale pełnym współczucia.

— Gorzej jeszcze — odparła matka ze smutnym uśmiechem.

— To pewnie rozlałaś czerwone wino na obrus?

— Jeszcze gorzej!

— Spaliłaś sukienkę przy ogniu? — pytał z coraz większym zaciekawieniem, teraz tryumfującym głosem przekonany, że odgadł: bo te trzy straszne przestępstwa miał na sumieniu i każdą burę, jaką otrzymał, miał jeszcze w pamięci.

— I to nie — odparła. — Ty nie zrozumiałbyś tego, ale mama bardzo jest smutna.

— To przepróż, mamusiu, tatkę.

Halce łyzy w oczach się zakręciły. Ufność dziecka w serce ludzkie była nieograniczoną. Ileż rozczarowań go czekało! Nie wyobrażała sobie, że do tego stopnia życie jej się odmieni. Nie wiedziała, że cierpieć będzie tak dotkliwie, że, jak zbrodniarz pod pręgierzem, tak ona drżeć będzie pod spojrzeniem męża.

Wszystko to zniesie jednak, gotowa jest na ból wszelki osobiście; ale czemu ten człowiek tak cierpi? Nie buntuje się na niego; ile razy spojrzy na jego czoło głębokimi bruzdami pokryte, ile razy jego

włosy posiwiałe srebrem zabłysną, tyle razy serce jej ścisła się bólem wielkim: zamiera z żalu, upokorzenia i skruchy.

— Gdyby mnie bił, gdyby mnie katował, gdyby mnie z domu wypędził, miałby prawo. Życie mu zламаłam.

On tymczasem o dziecku myśli. Dotychczas nie ma siły przebywać przy niem dłużej, bo widok Halki podnosi w nim burzę, szalenie trudną do pokonania. A przecież poczuwa się do obowiązku uchronić syna przed zgubnym wpływem matki: więc postanawia znowu panować nad sobą, chociażby przez wzgląd na syna.

— Matką jego jest, o niczem wiedzieć nie powinien; szanować ją musi. Odemnie przykład mu się należy.

I układa życie swoje inaczej na przyszłość. Wszystko na korzyść dziecka ma być obrócone; na pozór zresztą nic się zmienić nie ma. Obowiązek swoją drogą, a cierpienie swoją. Jedno drugiemu przeszkadzać nie powinno.

---



## V.

Staś, z błyszczącymi od gniewu oczyma, stoi w obecności ojca. Wiosna, lato, jesień, zima, już trzy razy z rzędu swoim porządkiem złościły słońcem lub śniegiem przypruszały Złotopole.

Teraz maj się zaczyna. Wszystko, co żyje, jest nawpół upojone; oczy inaczej patrzą, serca biją goręcej. W naturze prastare drzewa młodość udają; wszystko rwie się do życia: kwiat każdy, liść każdy pieśń radosną śpiewa.

Ale Staś, chociaż radby używać wiosny razem z całą naturą, w tej chwili zapomina o kucu, o fujarce, którą mu pastuszek przyniósł w ofierze; stoi naprzeciw ojca i słucha surowych napomnień jego:

— Darowałbym ci prędeż każde inne przewinienie, ale nie kłamstwo. Kłamstwo jest podłością, zostawia plamę na człowieku; gdybyś nie miał sobie za pierwszy obowiązek prawdy mówić, wyrzekłbym się ciebie.

— Kiedy ja nie kłamałem, ojcze. Fuzyi nie ruszyłem. Jacenty chciał mnie uczyć strzelać, ale powiedziałem mu, że zakazałeś.

Ojciec patrzył na dziecko z niaufnością; chłopiec zarumieniał się i powtórzył:

— Nie ruszyłem.

— Chcę ci wierzyć, ale jeden z was kłamie, albo ty, albo Ludwiś.

— Ja nie — odparł Staś lakonicznie.

Nie pierwszy raz posądzany jest o kłamstwo; rzeczywiście i matka i ojciec wpoili w niego tak głębokie przekonanie, że kłamstwo jest jakąś straszną zbrodnią, iż chłopiec wolałby dać się zabić, niż skłamać, ale tembardziej czuje się upokorzonym, gdy kto powątpiewa o prawdzie słów jego.

Od pewnego czasu w wielkim jest kłopotcie. Ciotka jego, pani Luna Drohińska, bawi w Złotopolu z trojgiem dzieci. Najstarszy syn jej, Ludwiś, nie trzyma się honorowych zasad sześćcioletniego Stasia; przeciwnie, bardzo ma luźne pojęcia o różnicy między prawdą a kłamstwem, i z tego powodu stawia swego kuzyna w najfałszywszém położeniu. Staś jest między młotem a kowadłem. Kłamać nie wolno; oskarżać i obwiniać innych także nie wolno. Nie może w tej chwili powiedzieć ojcu, że fuzyi nie on, ale Ludwiś, próbował, a z drugiej strony przeczuwa, że w czasie indagacyi Ludwiś nie robiłby sobie skrupułów, by winę na niego złożyć.

Chłopczyk rozwinięty jest nad wiek. Widocznie starsi pracują nad nim i ciągle się nim zajmują. Brak mu może wesołości dziecinnej. Smutek zdaje się ciążyć nad nim. Nie ma tej zwykłej dziecinnej swobody. W obecności matki ożywia się, serdecznym się staje, tuli się do niej i pieści ją, ale w przytomności obojga rodziców milczy najczęściej. Nie zupełnie pojmuje: dlaczego lepiej nie odzywać się, gdy równocześnie ojca i matki oczy na niego są zwrócone; czuje tylko instynktem kochającego dziecka, że bezpieczniej jest milczeć, bo matka zwykle pokutuje za każde jego nieopatrzone słowo.

Złoczowski śledził niespokojnie rozwój umysłowy syna swego; to, co było objawem żywości i nieopatrności dziecinnej, on brał za niebezpieczne instynkta. W serdeczności jego fałsz upatrywał, w dobrych nawet popędach hypokryzję.

Nie przypuszczała Halka, że w ten sposób spłacać będzie winy swoje. Więc dziecko za nią i z nią razem pokutowało! Mogła znosić cierpliwie pogardę męża; w dziwnej gmatwaninie swęj natury, gdy tylko wobec samej siebie uznała winy swoje, byłaby miała za rzecz słuszną, gdyby świat cały deptał po niej. Nigdy nie buntowała się na męża, nigdy żalu do niego nie miała.

— Zasłużyłam—powtarzała sobie z najgłębszym przekonaniem i pokornie znosiła krzyż, włożony na jej barki.



Ale gdy o dziecko chodziło, cierpiała więcej, aniżeli sobie wyobrażała, że cierpieć można.

Przedewszystkiem czuła, że chłopczyna zraża się do ojca; bolało ją to, byłaby chciała zapobiedz temu. Spozrzęła przytem, że mąż obwinia ją o brak przywiązania dziecka dla niego. Gdy raz nieufność jego obudzoną została, już spokoju nie miał zaznać. Posądzał żonę ustawicznie o złe zamiary, o zdradliwe chęci.

Ale i ta niesprawiedliwość nie wywołała w niej oburzenia.

— To całkiem naturalne, że mnie ma za kobietę zdolną do wszystkiego złego. Słusznie mi się to należy.

Jednak cierpiała głęboko, bezustannie, bo czuła, że dziecko zraża się do ojca i że pozory są przeciw niej, bo ku niej zwraca wszystkie swoje uczucia.

Potem czuje, że chłopca oburza niesprawiedliwość, że niezwykle prawy charakter jego, jeszcze wychowaniem do zenitu honorowości dziecinnej doprowadzony, buntuje się, gdy nie wierzą zapewnieńom jego.

— Pokutuje za moje winy — powtarza sobie Halka i jedną tylko myśl znajduje na pocieszenie. — Hartuje się zawczasu, a cokolwiek grozić-by mu mogło, to fałsz, wyrachowanie, obłuda, będą dla niego występkami, których nie dopuści się z pewnością.

Tak się wszystko na tym niedoskonałym świecie

składa, tak złe z dobrem, nietylko w kierunku materialnym, ale i w moralnym, wiąże się razem! Krzywda, jaką ojciec dziecku wyrządza, źle działa na przywiązanie jego do ojca; ale wstręt do nieprawości, który w niego wpajają, musi wydać dobre owoce.

Chłopczyk, wychowany sam jeden, poważny był i myślący; teraz dopiero, gdy od miesiąca pani Wacławowa Drohińska osiadła z dziećmi w Złotopolu, mały Staś do dziecinniej wesołości powraca, ale to pociąga za sobą częste i przykre komplikacje.

Chłopcy grają w piłkę; czteroletnia Zosia, najmłodsza córeczka pani Drohińskiej, chłopcom się przygląda.

Nagle Ludwiś uderza ją w oko twardą piłką, dziewczątka łzami się zalewa. Przybiega matka, wygląda jak starsza siostra dzieci swoich; zawsze ta sama dziecinnie twarzyczka; ostatnie lata, pełne rozczarowań i zgryzot, śladu na niej nie pozostawiły.

W tej chwili łaje Ludwisia:

— Ty zawsze jesteś nieposłuszny, niegrzeczny, roztrzepany; czy ci nie wstyd siostrzyczkę tak oszpecić? doczegóż będzie teraz podobna?

Jej więcej chodzi o wygląkanie dziecka, niż o ból jego; sama nieopatrna, synowi zarzuca wady, które po niej odziedziczył. Ale Ludwiś nietylko po matce wziął naturę; ojca przewrotność odzywała się w nim także.

— Nie ja Zosię uderzyłem. Co tylko złego się

stanie, wszystko na mnie spędzają. To Staś rzucił na nią piłkę.

Chłopczyk zarumienił się, oczy jego pociemniały z gniewu.

— Kłamiesz, drugi raz już kłamiesz dzisiaj! Już się z tobą nie będę bawił. Z kłamcami się nie zadaję — mówił z uniesieniem.

— Ty kłamiesz! — odparł kuzyn, gotów rzucić się na Stasia.

Staś jednak nie zastanawiał się wcale co robi; w zapamiętałości przyskoczył do kuzyna z zaciśniętymi pięstkami i bić go począł z całą siłą.

Ludwiś, choć o rok starszy, wątki był i słaby, więc nie mógł się obronić małemu napastnikowi.

Zaczęła się bójka; pani Luna nie była zdolna dwóch zajadłych kogucików rozbroić. Ale zdaleka obaj spostrzegli zbliżającego się Złoczowskiego.

Stanęli, jak wryci; obaj doznawali tego samego uczucia obawy.

— Chodź tu, Stasiu! — zawołał.

Dziecko drżące zbliżyło się do niego.

— Ja — odpowiedział bez zająknienia, choć blady ze strachu.

— Czy ty masz pojęcie co to gościnność?

— On mi powiedział, że kłamię.

— Może skłamałeś?

— Nie.

— To zostaje do wyjaśnienia. Swoją drogą



złym jesteś chłopcem. Nie masz serca, niegościnnie, źle wychowany jesteś. Idź za karę do swego pokoju; napiszesz trzy stronicie z rzędu: „Brak gościnności jest dowodem braku serca.” Marsz!

Chłopiec spełnił rozkaz ojca bez skargi, usta jego drżały, ale lży bohaterskim wysiłkiem utrzymał na wodzy.

W swoim pokoju zastał matkę, która składała książki jego, chcąc mu oszczędzić bury za nieporządek. Na jej widok dopiero płaczem wybuchnął. Rzucił jej się na szyję.

— Mamo, mamol! Czemu mnie ojciec nie cierpi?

— Co tobie w głowie, kochanku? Ojciec ciebie kocha nad wszystko na świecie. Nie myśl tego nigdy, to bardzo, bardzo źle. Dlatego, że cię tak kocha, chciałby cię widzieć doskonałym; wady twoje razią go więcej, niż wady obojętnych osób.

— Mamusia mnie kocha, a nie laje mnie!

— Mamusia źle robi: to słabość charakteru; gdyby ojciec postępował tak samo, to zepsulibyśmy cię i byłbyś później bardzo nieszczęśliwym.

— Kiedy... mamol, kiedy... ja już jestem bardzo nieszczęśliwy.

— Nie jesteś, synku — pocieszała go matka, choć głos jej drżał ze wzruszenia. — Tak ci się tylko wydaje w tej chwili. Jutro wszystko będzie dobrze; zapomnisz, przeprosisz ojca i będziesz się bawił wesoło.

— Z Ludwisiem, bawić się już nie będę; zły jest, kłamie. Ja mu tego nie daruję, że mnie o takie o takie rzeczy oskarża!

— Darujesz, dziecko. Urazy trzeba zawsze darować. Ludwiś był źle wychowany; trzeba go żałować, a nie potępiać go.

— Ojciec mówi, że nie mam serca, a ja przecież mamusię tak kocham!

— I ojca pewnie, ojca musisz tak samo kochać, jak mamę.

Staś głowę spuścił zniechęcony i milczał.

— O czym myślisz, synku?

— Ja nie mogę, mamó, co ja temu winien, że nie mogę.

— Tak ci się zdaje w tej chwili, ale ty jesteś dobrém dzieckiem i musisz ojca kochać.

— Czemu ojciec nigdy się nie śmieje, ani nie mówi, tylko, kiedy się gniewa? Czy ojciec mamę kocha?

— Moje dziecko, mama temu winna, że ojciec nigdy się nie śmieje; to mamy wina, mama była nie-dobra.

— A kiedy przeprosiłaś, to czemu się gniewa? Mówisz, że winy trzeba darować?

— Ojciec się nie gniewa, tylko się martwi.

Dziecko nie mogło pojąć, jaka jest różnica między gniewem a zmartwieniem, skoro wynik ten sam mu się wydawał. Jednak argumentu już nie znalazł

i zabrał się z rezygnacją do pisania kilkadziesiąt razy z rzędu: „Brak gościnności jest dowodem braku serca.”

Halka tymczasem cała oddaje się Lunie na usługi.

Po ostatecznej ruinie Waclaw drapnął do Ameryki, zostawiając żonę z dziećmi bez środków do życia.

Złoczowski zajął się natychmiast losami rodziny nieletnich, bo i Luna do dzieci zaliczoną być mogła i miała dzieckiem zostać całe życie.

Osadził ich w owiej Rudce, którą kiedyś Kilański miał wziąć w dzierżawę. Dom był odpowiedni wymaniom pani Waclawowej, która po krótkiej, choć krańcowej, rozpacz, wróciła do zwykłego usposobienia i póki tylko miała dzieci wkoło siebie, nie pragnęła żadnych światowych rozkoszy. Od czasu do czasu spędzała po kilka tygodni w Złotopolu, a wtedy Halka dokładała starań, by jej pobyt umilić i wpływ dobry na dzieci brata wywierać.

Luna widziała, że stosunki pomiędzy Czesławem a Halką zmieniły się. Choć nieporozumienia małżeńskie miała za rzecz konieczną i nieodzowną, to przecież żal jej było tych dwojga ludzi, widocznie nieszczęśliwych.

Do Halki nie czuła najmniejszej urazy.

— O ile Wacek jest ostatnim z ludzi — rzekła raz w naiwności ducha do Złoczowskiego — o tyle Halka jest idealną kobietą.



On uśmiechnął się ironicznie i milczał.

— Naturalnie, ty tego nie uznajesz — dodała, czując się osobiście dotkniętą i stając w obronie Halki — Już to wy, panowie, jesteście tak stworzeni na mężów, jak wilki na owczarzów. Nie pojmuję, dlaczego się żenicie? Za nic macie żony wasze.

— Widocznie nie zyskujecie na bliższym poznaniu — odparł Złoczowski, starając się zbyć żartem siostrzenicę.

— Nie mów tego, Czesiu, bo tak nie myślisz. Doprawdy, nie spodziewałam się po tobie, byś i ty mógł dręczyć kogoś, a ty Halkę dręczysz.

— Doprawdy? Pod jakim względem mianowicie?

— Dręczysz ją! Ja wolałabym, żeby mnie ktoś złażał, żeby mnie wybił nawet, niż żeby do mnie nie mówił i patrzył na mnie, jak na obcą. Ona musi być bardzo nieszczęśliwą.

— A czy ja przypadkiem mam minę szczęśliwego człowieka?

— Nie, ale to twoja rzecz, bo ona wzorową jest żoną; w oczy ci spogląda, by myśli twoje odgadnąć, stara ci się we wszystkim przysłużyć, jak pokorna niewolnica drży przed tobą, aż smutno patrzeć.

Tego samego dnia wieczorem, gdy panie siedziały z książkami w ręku, a Złoczowski czytał gazetę, dzieci bawiły się na drugim końcu salonu. Staś zabrał małą Zonię pod swoją protekcję. Od czasu, gdy

brat o mało jej oka nie pozbawił, Staś opiekuje się dziewczątkiem, mając siebie za znacznie starszego.

Zonia prosi go, aby jej obrazki pokazywał.

— Już dosyć na dzisiaj—perswadowała bona— teraz Staś sam się bawić będzie; cały dzień nudzisz go, Zoniu, spokoju mu nie dajesz.

— To nic nie szkodzi — odparł poważnie chłopczyk — ja bardzo lubię dzieci. Chodź, Zoniu.

I zasiedli w kąciku na kanapce o kilka kroków od rodziców, a Staś począł maleńkiej kuzynce opowiadać historye o słoniach, wielbłądach, tapirach, w miarę tego, jak przewracał kartkę za kartką w wielkiej kolorowanej zoologii.

— Patrz — mówił — to jest żyrafa; taką ma długą szyję, żeby mogła zrywać gałązki na wysokich drzewach, bo bardzo lubi gałązki. A to, to hipopotam; straszny jest, co, Zosiu? Jak Staś będzie duży, to pojedzie do Afryki i złapie hipopotama i przywiezie Zoni i zaprzężemy go i pojedziemy daleko, daleko.

Imaginacya dziecka zapalała się w miarę opowiadania.

— A to jest lew! Taką ma ogromną grzywę, a jak ryknie, to aż się cały świat trzęsie i wszystkie zwierzęta w nory się kryją, a on tak idzie, jak król jaki.

Zoni z podziwu oczy wychodziły na wierzch, bajeczne wrażenie wywoływały historye Stasia.

— A czy koronę nosi? — pytała Zonia.

— Jak sądzi zwierzęta, to nosi koronę i berło trzyma w ręku i siedzi na tronie.

Złoczowski przestał czytać, a coraz uważniej przysłuchiwał się opowiadaniom syna, brwi marszcząc.

— I co mówi? — pytała Zonia ciekawie.

— Mówi, że go się wszyscy bać mają, i tak groźnie patrzy, aż zwierzęta drżą ze strachu.

— Patrzy? Jak chto? jak chto?

— Co jak chto?

— Lew patrzy, jak chto?

— Jak... jak...

Staś szukał porównania, nareszcie odparł:

— Patrzy, jak ojciec!

— Jak wujek? — pytała Zonia ze wzrastającym strachem.

— Tak, a potem ryczy.

— A wujek nie ryczy.

— Bo ojciec, to nie lew.

— Czy ty widziałeś lwa.

— Widziałem takiego, takiego ogromnego!

I wskazał Zoni piec.

— I nie bałeś się?

— Nie,—odparł obrażony, a w tej chwili byłby przysiągł, że lwa widział i że z nim wojował. — Ja jego złapałem za uszy i wyrzuciłem za drzwi.

Wtem surowy głos ojca powrócił go do rzeczywistości:



— Stasiu!

Dziecko podniosło oczy na sędziego, poczuwając się raptownie do winy.

— Chodź tu.

Poszedł posłuszny.

— Czyś ty lwa widział?

— Nie — odparł chłopczyną zdławionym głosem.

— Czemu kłamiesz?

Chłopiec milczał, truchlejąc.

— Marsz! Nie pokazuj mi się na oczy! — rzekł ojciec groźnie, drzwi dziecku wskazując.

Trudno było spojrzeć na Halkę bez współczucia; blada, złamana, widocznie nie śmiała oczu podnieść. Krzyż ciężki, taki ciężki, że już chyba dalej nie udźwignie.

— Doprawdy, Czesiu, że ty okrucieństwem odznaczać się zaczynasz! — zawołała gwałtownie Lunka, książkę z oburzeniem na stół rzucając.

Czesław spojrział chłodno na nią.

— Inne byłoby życie twoje, gdyby z tém samém okrucieństwem wychowywali...—chciał dodać: „męża twego,” ale obecność dzieci powstrzymała go.

— Ostrzegam cię, że z syna pociechy się nie doczekasz — kończył — jeżeli pozwolisz rozwinąć się jego naturze.

— Ja wiem, że go psuję, wiem, że źle, ale to co innego, a twoje okrucieństwo jest straszném. Ja się tylko dziwię Halce, że to znosi.

— Proszę cię, Lunko, nie sądź o rzeczach, o których nie masz pojęcia.

Ona zerwała się z miejsca gwałtownie.

— Chodźcie, dzieci! — zawołała — nie trzeba wujowi w drogę wchodzić, gdy się gniewa.

Cała gromadka procesjonalnie poczęła wynosić się z salonu; pani Luna, rozdrażniona, nie krępowała się rozsądkiem, ani zimną krwią się nie odznaczała.

Złoczowski posępnie przed siebie spoglądał, Halka milczała. Po dłuższej pauzie on rzekł z goryczą:

— Ta kobieta marnuje przyszłość dzieci, najfatalniejszy kierunek nadaje ich wychowaniu; gdyby miała przyzwoitego męża, wszystko byłoby poszło inaczej w jej życiu. Nie mogę patrzeć spokojnie na tę ruinę materyalną i moralną.

Halka bała się odezwać; mąż jej skorzystał z tego, by dodać jeszcze:

— Ale przepraszam, ciebie to wcale interesować nie może. Cóż dla ciebie znaczy cudze nieszczęście?

I kładąc nacisk na wyraz „cudze”, wyszedł z pokoju, nie patrząc na błagalny ruch Halki, gdy ręce do niego wyciągnęła, i nie słysząc może błagalnego głosu, gdy zawołała z najgłębszym żalem:

— Czesiu!...

Została sama, a ból dręczący serce w oczach jej się malował.

W chwilę później była już w pokoju Stasia.

Dziecko siedziało, łzami zalane; zbliżyła się do niego, rękę kładąc mu na głowie.

— Nie płacz, Stasiu, idź ojca przeprosić; potem będziesz miał lekcję z mamą i zapomnisz o tém, co się stało.

— Ja nie chcę zapomnieć, nie chcę, nie chcę! — mówił chłopczyzna, łkając — ja chcę pamiętać, ja chcę pamiętać. O mamó, mamó, czemu ja skłamałem?

Dziecko odziedziczyło egzaltowane uczucie po matce i pewność charakteru po ojcu. W tej chwili nie buntował się na ojca; napomnienie za słuszne uważał.

Nie pierwszy raz Halka poczuła się bezsilną i nie wiedziała w jaki sposób przemawiać do syna, aby ojca nie potępić, a dziecko w gwałtowném cierpieniu pocieszyć. Dziś zniechęconą się czuła, upadła na siłach. Nie chciała mężowi zabierać serca syna; przeciwnie, wszelkie wysiłki jej skierowane były do jednego celu: wzbudzić w Stasiu dawne uwielbienie dla ojca. Wiedziona intuicyą matki, odczuwała, co się dzieje w sercu dziecka, gdy surowo i bezwzględnie łajany był i sądzony; ale jakże miała temu zapobiedz? Była skazaną na wielką pokutę, nie dziwiła się wcale, że cierpi; ale że jej przewinienia wpłyną w ten sposób na życie dziecka, tego przypuścić nie mogła; nabierała zabobonnego przekonania, że przynosi nieszczęście. Modliła się często i gorąco, korząc



się głęboko; teraz znowu, gdy zdawało jej się, że krzyża już dalej nie udźwignie, Bogu ofiarowała cierpienie swoje, błagając o trochę sił jeszcze.

Wspólne pożycie stało się jedną męczarnią dla niego i dla niej.

Każde gorzkie słowo, które Złoczowski żonie rzucił, wywoływało w nim nowe cierpienie, bo choć tego przyznać nie chciał, żal mu jej było. Gdy patrzył na nią, uginającą się pod ciężarem życia, odczuwał żądzę nieledwie, by ją pocieszyć, by tak, jak dawniej, do serca ją przygarnąć.

Ale wstydził się swej słabości i podniecał w sobie oburzenie, pamięcią wywoływał cały szereg jej „zbrodni.” Wmawiał w siebie, że darować takie winy znaczy to zachęcać złe, dawać mu prawo obywatelstwa na świecie. Więc się mścił na niej, znęcając się nad sobą samym, nad nią i nad dzieckiem. Wmawiał w siebie, że zasługuje na takie postępowanie z jego strony, że nieubłaganą surowością uchroni syna od złych instynktów i wpływów. Tylko, że od pewnego czasu począł coraz częściej wątpić o tém, czy rzeczywiście wpływy matki zgubne są dla dziecka?

Dziś znowu żona jego rozmawia z synem, a on przysłuchuje się zdaleka, portyera przedzielony od tych dwóch istot, które kocha nad wszystko na świecie, i dręczy się niemilosiernie, może dlatego, że je kocha.

Halka trzyma malca na kolanach i mówi poważnie, tym swoim zmęczonym, zbolalym, takim bardzo smutnym głosem:

— Słuchaj, Stasiu, ty jeszcze mały jesteś, jeszcze tego nie rozumiesz, ale gdy dorosisz, z pewnością ojca kochać będziesz tak samo, a nawet więcej, niż mamę; pojmiesz, że ojciec jest lepszy od wszystkich ludzi, których poznasz.

— Ale nie od ciebie, mamusiu.

— I odemnie. Stokroć lepszy odemnie. Jest mądry, jest sprawiedliwy, nigdy nic złego nie zrobił. Złego nienawidzi i dlatego tak mu przykro, gdy jego syn nie jest do niego podobny. Ty musisz być taki, jak ojciec, musisz być do niego podobny.

— I gniewać się będę na wszystkich?

— Ojciec się gniewa sprawiedliwie tylko. Ty myślisz, że jak się nie śmieje, to dlatego, że się gniewa: wcale nie tak. Nie bawi się z tobą i nie śmieje się wesoło, bo jest bardzo smutny, bardzo nieszczęśliwy! Trzeba go żałować i kochać całym sercem. Ty żalujesz tych, co płaczą? nieprawda, Stasiu?

Chłopiec kiwnął główką potakująco.

— Więc widzisz. Nietylko ci są nieszczęśliwi, którzy płaczą; czasem ci, którzy nie umieją płakać, są jeszcze nieszczęśliwsi. Trzeba ich kochać i żałować, a nie myśleć, że są w złym humorze, bo to złe serce oznacza takie lekkomyślne posądzanie.

Złoczowski słyszy słowo każde, wie, że żona nie przypuszcza, iż jest świadkiem tej rozmowy; więc coś dziwnego z nim się dzieje. Czy to być może, aby tak się odzywała ta niegodziwa kobieta, ta potworna kobieta? I nic już nie pojmuje. Wie tylko, że mu się serce do niej wrywa, choć w jego mniemaniu jest niegodziwą, potworną!

— Ach! gdyby tych dwoje uściskać, gdyby ich móżdż kochać, sercu gwałtu nie zadawać!

I ucieka czemprędzej przed niebezpieczeństwem, winaawiając w siebie, że to słabość, że nie godzi się przebaczyć.

Halka, widząc jak dalece system wychowania, przyjęty przez jej męża, źle wpływa na dziecko, postanowiła zaradzić temu, o ile było w jej mocy. Wahala się długo, drżała na myśl, że przyjdzie może stoczyć walkę, ale chodziło o dobro syna, więc jednego dnia, gdy byli sami, zapytała męża:

— Czy masz chwilę czasu? Chciałabym pomówić z tobą.

— O co ci chodzi?

— Przebacz mi, Czesiu, że ośmielam się rad ci udzielać; ty wiesz, co robisz, ale chciałabym... bo widzisz... chodzi o dziecko.

I wahala się onieśmielona do tego stopnia, że tchu jej brakło i rumieniec na twarz jej się wybił.

— Masz prawo mówić, gdy o Stasia chodzi — odparł Złoczowski mniej szorstko, niż zwykle.



Cierpiał, widząc pomieszanie kobiety, którą kochał jednak, a która drżała przed nim.

— Powiedz, o co ci chodzi? — kończył — jesteś jego matką, więc masz te same prawa, co ja.

— Bo widzisz — mówiła Halka, zaciskając ręce nerwowo i siląc się, aby nad głosem zapanować. — Staś, to takie dziecko jeszcze, on nie rozumie, że... że...

Czesław, pochłonięty swoją „*idée fixe*”, natychmiast odparł gniewliwie:

— Nie pojmuję, że złe jest złem, chcesz powiedzieć: otóż właśnie o to chodzi, by pojął, jak najwcześniej.

Halka zamilkła; odwagi jej zabrakło, nie śmiała odezwać się więcej. Spostrzegł, że ją przestraszył, i znowu żał mu się jej zrobiło. Chwilę wahał się między tém, co nazywał słabością charakteru, a tém, co brał za poczucie obowiązku. Nareszcie odezwał się:

— Swoją drogą nie przeczę, że może nie umiem dobrać stosownej drogi, by Stasia od złego uchronić.

— To nie; przeciwnie, myślę, że złego lęka się on z natury. Wierz mi, Czesiu, twoja trwoga jest zbyt uczynna; on się nie wdał...

Znowu zawahała się chwilę, poczem dodała pokornym głosem:

— On się nie wdał we mnie, ale w ciebie. Tylko dzieckiem jest jeszcze, więc przez dziecinne roz-

trzepanie zasłuży czasem na nagane, jednak... widzisz... Ty nie chciałbyś, żeby on się ciebie bał tylko, a...

— Wolałbym, aby się tylko bał, ażeby został takim człowiekiem, jak ja rozumiem.

— To słusznie — mówiła Halka z uległością, zachęcona tem, że pierwszy raz od owych strasznych, pamiętnych dni, mąż chce z nią rozmawiać. — Ale przecież ty jego ojcem jesteś; on ciebie powinien kochać.

— Jeżeli nie ma serca, to nikogo kochać nie będzie.

— O Czesiu, ty wiesz, że ma serce!

— Nie wiem; ja już o wszystkim zwątpiłem.

Znowu chwilę milczeli. Ona ze łzami w oczach odezwać się nie śmiała, a jednak nadludzki wysiłek zrobiła i rzekła cichym głosem:

— To z mojej winy, a czemu dziecko ma za mnie pokutować?

Czesław doznał w tej chwili tak dziwnego uczucia, że nie mógł pozostać na miejscu, nie mógł dłużej patrzeć na nią. Miała dar rozdzierania serca jego na dwie części: kochał ją i nienawidził, choć ani do jednego, ani do drugiego z tych uczuć nie przyznawał się przed sobą.

Dnie mijały, a Halka spostrzegła zmianę w postępowaniu ojca względem syna. Więc mąż przychylił się do jej prośby? Od czasu do czasu starał

się rozmawiać z synem łagodnie, nawet bawił się z nim, pomagając mu domy z klocków budować, albo dobierać farb do malowania starych rycin. Halka tak wielkiej doznała pociechy, że cały horyzont zdawał się rozjaśniać dla niej.

— To wszystko, czego pragnęłam, o Boże! — powtarzała sobie.

A chociaż, za każdym szorstkiem słowem męża, do niej zwróconem, czuła chwilowe zniechęcenie, to otrząsała się z niego natychmiast.

— Dla mnie pokuta, byle dziecko nie cierpiało.

Swoją drogą, choć tylko dla dziecka żyła, tylko do niego zwracała wszystkie myśli swoje, przecież w głębi jej serca ukryte było wiecznie to samo pragnienie miłości. Nie zdawała sobie z tego sprawy, że tęsknota pożerała ją, tęsknota po tém uczuciu, które dawniej opromieniało jej życie, choć wtedy nie cenila dostatecznie skarbu serca, o które oprzeć się można.

O tem nie marzyła już, by ją ktoś jeszcze prócz dziecka mógł kochać na świecie, przyznawała, że nie zasłużyła na to, ale mimo jej wiedzy i woli całą siłą egzaltowanych uczuć, tak imaginacyi, jak dziś rozbudzonego jej serca, pożądała miłości męża.

Od chwili, gdy miłość tę utraciła, nabrała ona dla niej stokroć większej wartości. Dziś pojąć już nie mogła, że był czas, w którym mąż uwielbiał ją; nie pojmowała tego, bo teraz zdawało jej się, że być



przez niego kochaną byłoby szczytem szczęścia na ziemi. Dziwna rzecz: o Kilańskim myślała bardzo rzadko, i to bez żadnego wzruszenia; okresu życia swego, w którym on grał rolę, nie pojmowała; była to dla niej tajemnicza strona jej własnego serca, zagadkowa, niezrozumiała.

To przejście w życiu wydawało jej się najbardziej karygodnym, bo dziś nie wątpiła, że już wtedy kochała męża i gardziła sobą na myśl, że mimo to była zdolna upoważnić obcego człowieka do sceny, jaka się rozegrała pomiędzy nimi wtedy w Leśniczówce. Starła się nie myśleć o tem, bo przecież i bez tych okropnych wspomnień życie już takim ciężarem przygniatało ją.

Czasem tylko pamięć jej zmuszoną była wrócić do chwil minionych, a to wtedy, gdy napotykała artykuły w poważnych pismach, podpisane nazwiskiem Kilańskiego, albo gdy oczy jej zatrzymały się na krytyce jakiej nowej jego pracy literackiej.

Kilański, po opuszczeniu Złotopola, miał zamiar starać się o nową posadę; tymczasem rodzinę zostawił we Lwowie, u matki żony; tam się zapoznał z kółkiem literackim, tam się coraz żywiej przejmował ideami radykalnemi. Z opozycją nosił się na dnie duszy. Świat wydawał mu się niemożliwie zorganizowanym, stosunki społeczne wywoływały w nim oburzenie.

Należał do partyi malkontentów. Zestawienie

swego niejasnego stanowiska z położeniem Złoczowskiego, buntowało go. Dlaczego tamten, brat jego, korzystał ze wszystkich przywilejów, a dlaczego on miał być paryą?

To dało początek jego wypowiedzeniu wojny porządkowi przyjętemu w kraju; rzucił rękawicę temu, co „rutyną” nazywał, i byłby chciał wyrzucić wszystko, co było do tej pory za zbawienne uważanem.

Bystry a niespokojny umysł jego był wysoko ceniony w obozie, do którego się przyłączył. W obozie tym niejednego przecież razily wyrafinowanie estetyczne upodobania jego. Ale tu tylko prawo obywatelstwa mu nadawano; tu tylko nikt nie pytał, kto go rodzi, i z kim go łączą koligacye. Tutaj tylko, gdy się buntował na przesady, na nیکczemność uprzedzeń ludzkich i tak dalej, zamiast nagany, wywoływał oklaski, uwielbienia niemal.

Próżność była tłem natury jego, na niej rozwijały się dopiero wszystkie inne, dodatnie i ujemne strony charakteru. Rozjątrzony był znowu przeciw społeczeństwu, które skazuje niektóre jednostki na wyjęcie z pod prawa.

Tę gorycz nosił zawsze w sobie, ale w sprzyjających warunkach zdawał się zapominać o tym wiecznym bólu. To jednak było tylko chwilowem zapomnieniem; zajęcie ze Złoczowskim obudziło w nim bunt, wzrastający z nową siłą. Drażliwość odezwała się w nim nanowo; we wszystkiem, co go dotykało,

upatrywał jedną i tę samą przyczynę: nieprawidłowość położenia swego w świecie,

— Ta kobieta odtrąciła mnie dlatego, że mnie za coś niższego uważała — powtarzał sobie, myśląc o Halce. — Chwilowo tylko zapominała, że jestem paryą. Upokarzała ją myśl, że można kochać jakiegoś przybłędę, bez nazwiska, rumieniącego się z powodu swego pochodzenia.

Złoczowskiego nienawidził teraz, a Halkę z gorzełą wspominał. Pragnął okazać im wyższość swoją, bo czuł się wyższym umysłowo.

Rzucił się do pracy o wiele sympatyczniejszej dla niego, choć pracę tę za tym czasową tylko uważał, nie wiedząc, czy z niej żyć będzie można. Napisał wreszcie książkę, która mu miała zapewnić rozgłos, wywołać wielką wrzawę, wzniecić oburzenie w niektórych kołach, a zachwyty w innych. Tytuł dziełka: „O porządku społecznym” — był na wszystkich ustach.

W ciągu jednego dnia został uznany za człowieka wybitnego. Przeciwne obozy zaczęły go sobie wyrzywać, ale on stanowczo wybrał obóz duchem opozycji zagrzany i został szermierzem niebezpiecznym dla przeciwników.

W rok po opuszczeniu Złotopola Kilański stał na czele pisma radykalnego. Artykuły, podpisane literą „K.” wywoływały niechybnie wrzawę wielką. Teraz dopiero autor piorunujących odezwo oddychał całą



piersią. Mógł wypowiadać myśli swoje bez ogródek, mógł szyderstwem zjadliwem, jak żądło zatrute, kąsać wszystko, co „rutyną” nazywał.

I dlatego w Złotopolu echo słów jego odbijało się, pociągając za sobą następstwa, których Kilański nie przypuszczał. Zagrzewał się tylko do boju myślą, że, wypowiadając opinię swoją, zrani dawnego pryncypała w sposób dotkliwy, ale nie wiedział, że drażniąc Złoczowskiego, mści się na Halce.

A jednak tak było.

Ile razy Czesław w któremkolwiek z pism wyczytał imię młodego autora, tyle razy czoło jego pochmurniało więcej, niż zwykle. Czuł się osobiście dotkniętym zarzutami, które spotykały jego partyę; wszystkie rany zawodów, jakich doznał w życiu, odnawiały się, i wtedy w stosunku do żony stawał się bardziej jeszcze cierpkim i szorstkim. Przekonany był, że gdyby nie ona, jego wychowawiec byłby szedł drogą obowiązku, byłby pracował na chleb, nie rzucając się w zamęt polityki, która, wedle jego przekonań, zgubną była.

Dlatego imię Kilańskiego, zamiast żalu za przeszłością, tylko obawę w Halce wzniewało.

— Gubi siebie i innych za sobą pociąga — takie było zdanie jej męża.

A ona teraz tylko jego wpływowi ulegała, bo wpływ ten był niepodzielnym, więc i jego opinię za nieomylną uznawała.

Po rozmowie z mężem, gdy go prosiła, by więcej względności synowi okazywał, pierwszy raz trochę swobodniej odetchnęła. Czesław zdawał się pracować nad sobą, by gorycz nurtującą w duszy przytłumić i łagodniej odzywał się, tak do niej, jak do dziecka. Ostatecznie o tem już wątpić nie mógł, że jakiegokolwiek są jej przewinienia, to na syna złego wpływu nie wywiera; przyznać jej musiał, że jest wzorową matką.

Nadchodziła pora otwarcia sejmu. Złoczowski w dwóch ostatnich latach niechętnie Złotopole opuszczał; zdawało mu, że jego wyjazd z domu niebezpieczeństwem grozi dziecku. Mimo to, gdy raz przyjął mandat poselski, już się nie cofnął. Nietylko partya jego, ale i on musiał uznać dodatni wpływ swój na sprawy jemu powierzone, więc postanowił w dalszym ciągu dla kraju pracować.

— Nie wolno mi zamykać się w ciasnym kole, jeżeli gdzieindziej mogę być użytecznym — powiedział sobie. — Czasowy pobyt mój we Lwowie nie może prawdziwego uszczerbku dziecku przynieść.

I jeździł spełniać obowiązki, na niego nałożone.

Teraz wybiera się w drogę; ale niespokojny jest i rozdrażniony. Wyczytał w pismach i dowiedział się na miejscowych zgromadzeniach, że Kilański został obrany posłem. Gotów jest stanąć z nim do walki. Dręczy go myśl, że to on, wychowaniec jego, pracuje

ze szkodą dla kraju. Dla niego niema wątpliwości, że kto nie dzieli jego przekonań, ten błądzi.

Cheiał być i był w całym tego słowa znaczeniu prawym człowiekiem. Natura jego złożona była z dodatnich pierwiastków; stalowym charakterem i bezwzględną uczciwością wznosił się nad ogół ludzi. Ale przecież na dnie najbardziej prawych nawet charakterów jest miejsce na złe instynkta, i te zbudziły się w nim z całą siłą w dniu otwarcia sejmu, gdy się znalazł naprzeciw Kilańskiego. Zabrał głos i pojąć nie mógł: co się stało? Do tej chwili nawet obóz nieprzyjazny szanował go, choć nie dzielił jego przekonań.

Gdy zdanie jego wywołało głos opozycyi, był to głos spokojny, umiarkowany, nie budzący w nim osobistej urazy. Zgodził się lub nie na zarzuty przeciwnika, ale nie czuł się niemi dotkniętym.

Dlaczego dzisiaj głos jego drży ze wzruszenia, gdy poczyna mówić? Dlaczego mimowoli nie miarkuje się, jak dawniej, w słowach, ale unosi się, sam czując, że nie tak powiedział i nie to, co miał zamiar mówić? Dlaczego jakaś burza zrywa się z nim, dyktująca mu słowa gniewu i nagany, jakby, nie cel jakiś, ale osobę godną skarcenia miał na uwadze?

Złoczowski nie był panem siebie, czuł, mówiąc, niezadowolenie wewnętrzne, ale gorączka go ogarnęła: uniesiony burzą, szedł na oślep prawie. Nigdy może nie był równie wymownym; wszyscy ze zdziwie-



niem patrzyli na niego, nie poznając go. Takiego ożywienia na tej przedwcześnie pooranej, zmęczonej zwykle twarzy dawno już nikt nie widział. Ale Czesław tylko chwilowy zapal wywołał słowami swemi; powiedział więcej, niż stronnicy jego pragnąć mogli; zaszkodził, zamiast pomódz, sprawie, która była przedmiotem obrad.

Może chwilowe jego uniesienie zostałoby puszczo-  
nem w niepamięć, gdyby nagle nie powstał młody mężczyzna, prosząc o głos. Na niego w tej chwili wszystkie oczy się zwróciły. Wszyscy wiedzieli, że to autor „Porządku społecznego”, człowiek bez nazwiska, obdarzony niezmierną siłą słowa. Dlatego, że był bez nazwiska, dlatego był groźny, bo bronił swej własnej sprawy. Głos jego metaliczny dźwięczał w przestrzeni:

— Panowie pozwolą, że zanim odpowiem na zdanie przeciwnika mego, zacytuję słowa genialnej autorki angielskiej George Eliot. Mówi ona:

„Ludzie szerokiego umysłu instynktownie cofają się i usuwają od człowieka, najeżonego zasadami. Dla ludzi o widnokregu niezacieśnionym formułkami jasnym jest, że tajemnicza zawilóść życia naszego nie da się zamknąć w ciasne ramy zasad; że spowinąć się w reguły i formułki, to znaczy zdusić w sobie wszystkie duchowe porywy i natchnienia, których źródło leży we współczuciu i sympatyj dla ludzkości.

„Człowiek zasad jest przedstawicielem tych umy-

słów, których sąd moralny opiera się jedynie na ogólnych formułach; umysły takie przekonane są, że z góry określona patentowana metoda jest drogą wiodącą do sprawiedliwości. Metoda taka nie wymaga od każdego indywiduum z osobna pracy nad tćm, by wyrobić w sobie uczucia cierpliwości, względności, bezstronności względem bliźniego. Ludzie dogmatu nie zadają sobie trudu, by zapytać siebie: czy wolno im sądzić bliźnich na zasadzie, iż sami doświadczyli ciężkiej próby pokus?; nie zdają sobie sprawy, czy umysł ich wzniósł się na te wyżyny, na których budzi się w człowieku uczucie dla ludzkości całej...”

Kilański również, mówiąc, myślał więcej o jednym człowieku, niż o sprawie, którą roztrząsano. Ale gdy, wychodząc z ogólnej zasady ciasnych i płytkich sądów, ciskał kamieniem na jednego głównie człowieka, sprawa jego osobista służyła mu tylko do tego, by z większą werwą pognać obóz przeciwny. Wymowa jego była całkiem różna od wymowy Złoczowskiego. Sofizmat w ręku jego stawał się bronią niebezpieczną; przekonywał nim, jak najgruntowniejszym argumentem. Od czasu do czasu ciskał zdanie krótkie, piorunujące.

Zwykłe jednak zdawał się rozmawiać z otoczeniem spokojnie, umiarkowanie, z wdziękiem kobiecym prawie. Kwintensencję długiego, miękkim głosem wyrażonego okresu, streszczał następnie w kilku gwałtownych słowach. Wtedy nawet, gdy mówił

z pozornem umiarkowaniem, z całą wytwornością stylu, słowa jego mieściły w sobie tyle ironii i tak niebezpieczne szyderstwo, że przeciwnik wychodził okryty śmiesznością, choćby tylko chwilową.

Gdy skończył, lewica promieniała tryumfem, a Złoczowski siedział z głową na ręku opartą, starając się naprężoną do ostatnich granic siłą woli stłumić w sobie niepohamowaną chęć rzucenia się na tego człowieka i zmiżdżenia go w przytomności wszystkich. Uczucia, o których istnieniu w sobie nie wiedział, tak rzadko się odzywały, lecz w tej chwili kipiały w nim, do zapamiętałości go doprowadzając. Pycha, gniew niepohamowany, zazdrość, szalały tak prawie, jak wtedy, gdy list żony odczytywał. A jednak nie był pysznym, ni zapamiętałym, ni zazdrosnym.

Nikt nie miał wiedzieć, co się w nim działo; na twarzy jego z posępnym wyrazem tylko niezadowolenie można było wyczytać. Napozór zachował całą zimną krew; ale to nadmierne naprężenie wszystkich nerwów i gwałtowne stłumienie w sobie uniesienia, sprawiło, że czas dłuższy znowu serce jego, jak wielki rezerwoar, przepelniło się goryczą, trawiącą go w chwili każdej.

Gdy Kilański skończył, zabierając miejsce, zwrócił głowę po raz wtóry od czasu, gdy wszedł do sali posiedzeń, w stronę łóż, oczyma szukając kogoś.

— Ona wie — myślał — że zostałem posłem,



może ciekawa była słyszeć mnie, zobaczyć mnie choćby tylko na tym neutralnym gruncie. Może jest tutaj?

Ale mylił się: nie przypuszczał, jak dalece stał się dla niej obojętnym, jak dalece poszedł w zapomnienie.

Nie widząc jej, doznał pewnego rozczarowania i odczuł to, co odczuwają lisy, gdy się pocieszają myślą, że winogrona są kwaśne.

— Ta kobieta nie żyje, ale wegetuje; nie jest zdolną ani upajać się, ani cierpieć. Nigdy w niej serce żywiej nie zabiło.

W tej chwili, gdy trudno było wątpić, iż młody mówca tylko o polityce myśli i słucha komentarzy, odnoszących się do słów jego, on odbiegł daleko od przedmiotu rozpraw. Halkę widział, rozpromieniony tryumfem, odniesionym nad mężem jej.

Starcia między tymi dwoma posłami były prawie na porządku dziennym. Teraz głośno mówiono już, że osobiste nieporozumienia dzieliły tych dwóch ludzi. Wszyscy wiedzieli, że Kilański był wychowawcą Złoczowskiego, później administratorem w Złotopolu, ale nikt nie mógł dojść powodu rozbratu między nimi. Tak jeden, jak drugi, na zapytania lakoniczną dawał odpowiedź; widocznym tylko było, że dzieliła ich nienawiść.

I znowu spełniło się konieczne prawo, ciężące nad przewinieniem. Wszystko na tej ziemi spłacić

trzeba. Bo Halka nienawiść rozdmuchała lekkomyślnością swoją, i ona też cierpieć miała od jej skutków.

Złoczowski powrócił ze Lwowa bardziej rozdrażniony, niż kiedykolwiek, a żona była ofiarą uniesień jego. Zajęty był bardzo, pracował i spełniał tak, jak dawniej, obowiązki swoje; ale znać było, że goryczą zaprawione są wszystkie myśli jego. Przychodziło mu walczyć z sobą na każdym kroku. Co chwila czuł się porywany szaleem gniewu, nie mógł patrzeć spokojnie na Halkę, jeżeli tylko choćby chwilowa pogoda zajaśniała na jej twarzy. Uśmiech jej bunt w nim wywoływał. Halka bezwiednie rozdrażniała go coraz częściej; z bohaterską odwagą starała się nie okazywać cierpienia swego, zdobywała się nawet na wesołość z miłości dla dziecka. Nie przypuszczała, że mąż potępia ją, nie odgadując, ile ją kosztuje ta pozorna swoboda. Nigdy nie znali się do głębi, nigdy nie czytali w sobie, i teraz mylili się oboje.

Jednego dnia Halka, przeglądając szpalty „Czasu”, wyczytała następujące ogłoszenie:

„Jeżeli pan (trzy gwiazdki) nie zgłosi się w przeciągu dwóch tygodni po odbiór należących mu się 20 tysięcy złot. reńs., suma ta przeznaczoną będzie na szpital dla sierot.”

Podpisano: „Czesław Złoczowski”.

Nie wiedziała do tej chwili, co się stało z temi pieniędzmi, nie śmiała o to zapytać męża. Nie wiedziała też, co się dzieje z rodziną Kilańskich, czy kierunek obrany przez niego zapewnia utrzymanie żonie i dzieciom?

Nieraz obawa co do tego dręczyła ją, ale imienia Kilańskich bała się wymówić. Teraz dopiero, z tego ogłoszenia wie, że mąż jej do tej chwili nie rozporządził owemi dwudziestu tysiącami.

Ogłoszenia takie czytała w kilku pismach przez tydzień cały, ale jaki był ich wynik, nie wiedziała. Czy Kilański zgłosił się, czy nie, po pieniądze? Byłaby dużo dała, by mieć jakąś pewność co do tego, ale dni mijały, a dla niej pozostało to zagadką.

Jednego dnia siedziała naprzeciw syna, grając z nim w forteczkę; uczyła go strategii, potrzebnej w grze tej.

Od czasu do czasu matka z dzieckiem rozśmiali się wesoło, zapominając chwilowo o ciągłej trosce, a Halka, wskazując malcowi błąd w grze popełniony, mówiła:

— Nie będziesz nigdy dyplomata; mogłeś mamę zamknąć tak łatwo, zamiast tego, sam zostałeś pobity.

Złoczowski przysłuchiwał się rozmowie tej z goryczą.

— Ona może się śmiać jeszcze; cóż jej do szczęścia brakuje? Ostatecznie zdobyła to, co mieć



chciała. Mieszka w pałacu, ma służbę na swoje rozkazy, jest majątną kobietą. Jej to wystarcza; cóż ją świat cały obchodzi?

Chłopiec powtórzenie gry zaproponował.

— Jeżeli wygram — mówił — to mamusia będzie konikiem, a ja będę powozik.

Układ został przyjęty, i Staś całą uwagę zebrał, by zwyciężyć. Halka ułatwiała mu wygranie, ciesząc się z góry radością chłopca. Wkrótce potem musiała spełnić obietnicę: malec leżąc do rąk matki przywiązał i poczęli oboje biegać wkoło dziecinnego pokoju, śmiejąc się na głos.

Tego było nadto Złoczowskiemu; zawołał nagle:

— Dosyć tego hałasu!

Oboje umilkli natychmiast, matka więcej od dziecka przerażona.

Teraz dopiero Halka odgadła, że jej wesołość go drażni. Teraz dopiero przekonała się, że wszelkiej nadziei wyrzec się musi, że uśmiech, a nawet najbardziej wyraz twarzy, jest jej zakazany.

I znowu uznała za słuszne, że skoro spowodowała cierpienie, powinna cierpieć do spółki; że na chwilę zapomnieć jej nie wolno, iż przewiniła, tak, jak mąż jej na chwilę o tem nie zapominał. Ale młodą była, więc perspektywa długiego pasma życia oko w oko z tą przeszłością, którą mąż jej za zbrodniczą poczytywał, przerażała ją.

Złękła się nie po raz pierwszy tych długich, dłu-

gich lat, i pytała siebie: czy będzie miała dość siły, by dźwigać godzinę za godziną.

Kilka smutnych dni minęło. Nikt prawie nie zaglądał teraz do Złotopola; już dawniej, tak Halka, jak mąż jej, nie zadawali się towarzystwem, pozabawioném wyższej inteligencji.

Od kilku lat przestali prawie wyjeżdżać, a któkolwiek zajrzał do Złotopola, wracał ztamtąd znużony, bo życia brakowało w tym domu. Więc żyli, jak samotnicy. I straszna była egzystencja dwojga ludzi, skazanych na wieczne sam na sam w takich warunkach.

Złoczowski jednak, który innych sądził surowo, i dla siebie surowym być potrafił. Potępił się, ile razy się uniósł gniewem na żonę, a wiedziony chęcią zadosyćuczynienia, starał się okazaniem względów wynagrodzić Halce przykrość wyrządzoną. Tym razem również kilka dni minęło stosunkowo spokojnie. Od czasu do czasu mąż odezwał się do żony z zapytaniem, lub czytał jej głośno w chwili, gdy ona ręczną robotą zajęta była.

Po raz setny może Halka ludziła się, że przecież stosunki ułożą się wreszcie i znośniejszemi staną się czasem. Ale złudzenia jej trwały krótko, i tём głębsze zniechęcenie odczuwała, gdy przychodziło wyrzec się nadziei po tyle razy.

Jednego dnia Złoczowski odczytywał list w chwili,

gdym Staś nieopatrznie zbliżył się do niego, i kładąc mu rękę na ramieniu, mówił:

— Ojczy, już się nauczyłem.

Ale on, pochłonięty treścią listu, nie usłyszał. Chłopczyk, od kilku dni łagodniej przez ojca traktowany, powtórzył:

— Już się nauczyłem.

Złoczowski odwrócił głowę.

— Nie przeszkadzaj, smarkaczu! Czy nie widzisz, że jestem zajęty?

Dziecko, wrażliwe, jak matka, i nerwowe, jak ona, tak dalece przeraziło się tą niespodzianą napaścią, że nogi jakby przyrosły mu do ziemi; przerażony, patrzył na ojca.

— Ruszaj sobie! Czy już chwili spokoju mieć nie będę?

Chłopiec odzyskał przytomność i z wolna szedł do swego pokoju, zraniony do głębi.

Halka była świadkiem tej sceny, ale, jak zwykle, odezwać się nie śmiała.

Złoczowski czytać skończył, wstał i szybkim krokiem począł się przechadzać. W tej chwili nie panował nad sobą.

Niespodzianie zatrzymał się przed żoną i począł mówić głosem gniewliwym:

— To wszystko twoja robota. Wszystko! Patrz! Ten błazen odrzuca to, co mu się należy. Czekalem, by się zgłosił. Pycha szatańska nie dała mu się ode-



zwać. Ogłaszałem w dziennikach. Nic nie pomogło. Nareszcie do mego adwokata napisałem; widział się z tym szaleńcem, miał mu oddać pieniądze. Nie przyjął. Egoista! waryat! pyszałek! W nędzy będą niedługo. Dzieci nie będzie z czego wychować! Ale jaśnie pan raczy być obrażonym. A przecież miałem prawo wziąć go za kark i za drzwi wyrzucić. Ciesz się swoją robotą. To wszystko twoje dzieło!

Schwycił się oburącz za głowę.

— Ach! — wołał teraz w uniesieniu. — Ile złego taka przewrotna kobieta może wyrządzić na świecie!

Nazajutrz Halka, trzymając syna za rękę, szła w kierunku starej cegielni. Daleka to była wyprawa. Marcowe chmury toczyły się po niebie i od czasu do czasu deszcz padał. Tuż za starą cegielnią stała chata odosobniona, biedna, zapadająca się w ziemię.

Halka wchodzi do izby, w której pięcioro drobnych dzieci i stara babka, kaleka, mieszkają.

Oprócz tej gromadki, napełniającej izbę hałasem, na łóżku leży kobieta, wycieńczona chorobą. Oczy zgasłe, zdają się niczym nie interesować; potargane, siwiejące włosy spadają jej na twarz wyżółkłą; chude ręce, złożone na wierzchu kołdry. Rok temu kołdra nieźle wyglądała; Halka opatrzyła nią wdowę Stanisławową, jak i wielu innymi rzeczami. Ale dziś już kołdra rozpada się w kawałki, brud pokrył i deseń kwiatów, i tło czerwone.

Za ukazaniem się Halki dzieci palce do ust wpa-

kowały, na znak podziwu, a stara, ociemniała babka, poznając głos jej, błogosławiła ją i dziękowała, korząc się, jak przed Panem Bogiem. Halka mizerniejsza dziś była, niż zwykle. Śladu ożywienia nie było znać na jej twarzy: upadała pod ciężarem życia. Oczy jej mówiły:

— Już dalej nie mogę!

Ale starała się spełnić to, co poczytywała za swój obowiązek. Uniewinniała się wobec Stanisławowej:

— Nie mogłam być u was oddawna; codzień pada, czekałam pogody. Jakże się macie?

Schorowana kobieta poczęła się skarżyć Halce głosem monotonnym, płaczącym, na tyle dolegliwości, że słuchając tych żalów, w głowie się mieszało.

Dzieci tymczasem ośmieliły się trochę; nie pierwszy raz widziały panią dziedziczkę i panicza.

Mały chłopak, w wieku Stasia, ukryty w kącie, język mu pokazywał, a dwie dziewczynki popiszywały się wobec niego siłą swoją, jedna drugą młóćąc pięściami po plecach. Staś przyglądał się temu z niejasnym uczuciem zgorszenia i zazdrości równocześnie. Wolno tym dzieciom nawet języki pokazywać, nawet po brudnej podłodze się tarzać i bić się, a nikt ich nie łaje.

Straszno, nędznie wyglądała ciasna, zakopcona izba, ale chłopiec czuł, że tu wolność panuje, a w pięknych salonach, które on zamieszkuje, niewola.

Równocześnie Halka, słuchając skarg złamanej

chorobą kobiety, zdawała sobie jasno sprawę, że mimo wszystko, duchem mniej cierpi ta nędzarka, niż ona, pani bogata. Litość głęboką czuła dla tego niedostatku materyalnego, dla fizycznej ciemnoty, starała się wszelkimi siłami ratować, wspomagać, leczyć i pocieszać. Ale wiedziała także, iż na złe, które się w biednej chacie rozgospodarowało, jest rada: chleb powszedni ludziom tym zapewnić, a będą szczęśliwi; dzieci podrosną, zaczną pracować i koniec będzie niedoli... Chora kobieta żyć pragnie, śmierci nie pożąda: to dowód, że życie przedstawia dla niej wartość jakąś.

Więc nędza materyalna, na którą spoglądają tak matka, jak syn, u obojga wywołuje porównanie z ich położeniem, i każde na inny sposób przyznaje, że w tej chacie więcej jest warunków do szczęścia, niż w ich pałacu.

Halka zostawiła zapomogę i lekarstwa, Staś kilka starych zabawek; obietnica, że tego samego dnia drzewo, mąka i kartofle ze dworu będą przysłane, napełniła ciemną izbę takim gwarem zadowolenia, radości nawet, że stara babka dzieci poskromić nie mogła w ich swawoli.

Halka tymczasem wracała z synem do domu; deszcz zimny kropił i świat cały beznadziejnie szarym i smutnym wydawał się im obojgu.

Szli, zamieniając zrzadka słów parę; zimno było: tak matkę, jak syn, posinieli od ostrego wiatru.



Deszcz wzmagał się z chwilą każdą; byli zaledwie na pół drogi z powrotem, gdy zamienił się na gwałtowną, zimną ulewę. Halka zdjęła z siebie płaszczyk, mimo oporu Stasia, i otuliła go szczelnie, sama na słotę się narażając.

Szli pod wiatr; rozhukany wichur oddech im w piersiach tamował, zwolna tylko i z wysiłkiem mogli podążać naprzód.

Halce odzież przemokła do ostatniej nitki, ale nie czuła zimna w tej chwili, cała pochłonięta myślą, by dziecko od zaziębienia uratować.

Pół godziny szli ciągle pod zimną falą, z nieba płynącą. Stasia rzeczy przesiąknięte były wilgocią; buciki, mimo kaloszy, czapka, pończochy, wszystko wodą przesiąknięte

— Nie zimno ci? — pytała Halka.

— Nie! Zabierz, mamu, płaszczyk — woła rozpaczliwie, łyżę połykając z niepokoju o matkę.

Ale ona ustąpić nie chciała, nie czuła zimna. Nareszcie doszli do dworu.

Złoczowski wyszedł na ich spotkanie.

— To waryactwo na takie niepewne powietrze się wybierać! — zawołał, bo i on tłumił w sobie od kilku godzin niepokój o żonę i dziecko. — Mogłaś przynajmniej powiedzieć, w którą stronę idziecie; chciałem po was posłać powóz; nikt nie miał pojęcia, gdzie was szukać. Szaleństwo, doprawdy! Wybrałaś się, jakby to był lipiec!

Halka, przestraszona, tłumaczyła się, że gdy wychodzili, rozjaśniało się i prawie ciepło było.

— Gdzieście byli? — pytał szorstko.

— U Stasiukowej. Tam taka nędza. Obiecałam im trochę drzewa, kartofli i mąki, czy zechcesz posłać?

— Można było posłać, a na takie zmienne powietrze w domu siedzieć — odparł krótko.

Halka dążyła ze Stasiem na górę i zapominając zupełnie, że wszystko, co miała na sobie, było przemokłe, wzięła się razem ze starą boną do rozbierania dziecka. Wszelkie rozgrzewające środki, które знаła, zostały zastosowane. Natarła silnie ciało syna wodą kolońską, dała mu gorącej limoniady i natychmiast do łóżka położyć mu się kazała.

Chłopiec poddawał się wszystkiemu z pewną niecierpliwością. Co chwila powtarzał:

— A ty, mamusiu, a ty?

Ale ona zdawała się nie słyszeć.

Staś, zmęczony długą przechadzką i raptownie rozgrzany, zasnął prawie natychmiast. Halka chwilę jeszcze siedziała przy łóżeczku, nasłuchując, czy oddech równy, kładąc rękę na czole dziecka, niespokojna czy gorączka nie nadejdzie. Ale Staś spał smacznie; nie mu nie groziło.

Teraz dopiero poczuła dreszcz, przebiegający jej ciałem; równocześnie wszedł służący, prosząc ją na obiad. W obawie, by mąż nie niecierpliwił się cze-

kając, zmieniła tylko pośpiesznie mokrą suknię na inną i zeszła, choć mokrą bieliznę miała na sobie.

Sala stołowa duża była i trudna do ogrzania; na północ położona, więc i wilgoć czuć w niej było, jak w kościele.

Małżeństwo, jak zwykle, milcząc, zasiadło do stołu. Halka miała zamiar zagrzać się ciepłym rosółem, ale pomimo wysiłków, nie była w stanie zjeść więcej nad kilka łyżek. Nie miała apetytu. Zimno ogarniało ją coraz większe; dreszcz wstrząsał nią, ale nie zrobiła wzmianki o tém. Już ściągnęła na siebie ostrą naganę męża za lekkomyślne narażanie dziecka na zaziębienie—tylko dziecka. Ani jej przyszło do głowy, że jemu o nią chodzić mogło.

On tymczasem przygląda jej się ze wzrastającym niepokojem. Zatrwożony jest, widząc ją taką niezwykle bladą; usta jej nawet były jakby krwi pozbawione, sine, drgające nerwowo, z takim bolesnym wyrazem. Oczy, podkrążone ciemną obwódką, takie bezgranicznie smutne. Dreszcze, wstrząsające nią, nie uszły jego uwagi. W ogóle, gdy patrzył na tę kobietę zbolalą, widocznie złamaną, serce się w nim ścisnęło. Nie pierwszy raz widzi ją taką, ale do tej chwili nie przyszło mu na myśl, że ją może stracić, więc się zaciął w gniewie, nie okazując współczucia.

— Sama sobie winna!—powtarzał—tyle cierpieć nie może, co ja cierpię z jej powodu!



Dziś dopiero przychodzi mu na myśl, że choroba jej grozi, że już chorą być może.

Chce jej powiedzieć, żeby poszła położyć się natychmiast.

Ale nie; wyrazy zamierają mu na ustach. Obcą jest dla niego. Staje mu w myśli pokój jej, do którego sam sobie wzbronił przystępu. Widzi ją spoczywającą, a jemu nie wolno się przy niej i otoczy jej troskiwą opieką.

Halka ani przypuszczała, że myśli męża nią są zajęte. Przeciwnie, pewną była, że zaprzątiony jest tysiącem spraw, z nią nie wspólnego niemających. I wielki smutek nią owładnął.

— Kto o mnie dba? — pytała siebie.

Czuła się tak osamotnioną na świecie, że w tej chwili nawet myśl o dziecku nie zdołała jej pocieszyć.

Możliwość choroby nie przychodziła jej na myśl. Nigdy chorą nie była; ale zastanawiała się, że gdyby nawet cierpieć miała fizycznie, nikt nie pożałowałby jej, bo czemże jest ból fizyczny wobec moralnego? A jednak, kto się ulituje nad nią, choć życie przyniotło ją całym swoim ciężarem?

— Gdyby mnie nie było — myśli — może i dziecko nie wyszłoby źle na tém, może ojciec byłby dla niego wyrozumialszym; mój widok drażni go codziennie i nic dziwnego, nic dziwnego — powtarza sobie.

Złoczowski coraz więcej wzruszony jest, patrząc na żonę. Przypomina sobie, ile razy ta kobieta, nie zważając na własną wygodę, z zaparciem się siebie, staranie miała o chorych, ile razy gorącym sercem nędzę ratowała. Widzi ją, gdy idzie przemokła do nitki, obok syna, którego tuliła, o sobie zapominając.

Nagle dźwięczą mu w uszach wyrazy, które w pamięć na zawsze mu się wryły, choć nie chciał ich rozważać, dlatego, że nienawistne usta wygłosiły je.

Słyszy: „Człowiek skrępowany ciasnymi formułami, przekonany jest, że z góry określona patentowana metoda jest drogą wiodącą do sprawiedliwości. Cierpliwość, względność, wyrozumiałość! Czy ludzie tacy sądzą bliźniego na zasadzie, iż sami doznali ciężkiej próby pokus? Czy umysł ich podniósł się na wyżyny, na których budzi się się w człowieku głębokie współczucie dla ludzkości całej?”

Urywane zdania; pamięć na myśl mu je przywoździ w tej chwili, niewiadomo dlaczego?

Zdania te dręczą go. Ale przecież uciszył w sobie niepokój sumienia. On wie, że to sofizmata, niebezpieczne bardzo, bo prowadzące do współuczucia z winowajcami, więc do ostatecznego zamętu w świecie.

Kto wygłosił te teoryę? Kto ją wyznaje? Człowiek bez czci i wiary, bez żadnych zasad; udaje wyrozumiałość, bo sam tylko takimi zgubnymi ideami

może się w swém własnem sumieniu usprawiedliwić!

Znowu niepokój odczuwa. Czy teorye te nie strzeszczają się w boskich słowach: „Jako i my odpuszczamy?” Dręczy go zestawienie słów modlitwy ze słowami autora, które Kilański cytował. Stara się wrócić do swych niezachwianych przekonań. Są rzeczy, które potępiać trzeba, tylko mścić się nie wolno; po za tём, darować złe — znaczy zachęcać do złego.

Rozdrażniony był, rozdrażniał się coraz więcej sprzecznymi myślami, które mu się do głowy cisnęły. I poszedł za popędem wręcz przeciwnym temu, który mu kładł w usta wyrazy współczucia dla żony.

— Czy Staś chory, żeś go do łóżka położyła?

— Nie, dzięki Bogu — odparła Halka, na samą myśl truchlejąc. — Przemókł tylko, bałam się, żeby mu to nie zaszkodziło, więc...

— Więc babę chcesz z niego zrobić? — Cóż to dla chłopca znaczy, że przemókł trochę?

— Zimno było bardzo.

— Niech się hartuje. Jeżeli lada drobnostka ma mu szkodzić, to nie będzie mężczyzną, ale niedołęgą.

Halka wysłuchała słów tych, ale tak zboląłą się czuła, że nie była zdolną cierpieć głębiej.

Gdy wstała od stołu, natychmiast udała się do pokoju dziecka. Staś spał jeszcze snem spokojnym; odetchnęła swobodniej trochę. Stanowczo dziecku nie



nie groziło. Zmęczoną była do tego stopnia, że gdy raz usiadła na fotelu obok łóżeczka Stasia, nie miała już odwagi podnieść się, i choć zimno jej było, coraz zimniej, to nie myślała o tém, by zaradzić złemu.

— Mnie się nic nie stanie — powtarzała sobie z pewnym rodzajem żalu.

W tej chwili byłaby może chciała być złożoną ciężką chorobą, nie nie czuć, o niczem nie wiedzieć.

— Może, może wtedy przyszedłby i darował winy, możeby mu trochę żal było — myślała.

I pierwszy raz uczyła gorycz na dnie serca.

— Prawda, że życie mu zламаłam, ale on się znęca nademną bez miłosierdzia. Nie wie, co to litość. Przecież dobrowolnie wyznałam przewinienia. Czemu nie chce mi przebaczyć? Czemu mści się z mego powodu na dziecku? Gdybym umarła, jemu darowałby może? Stasiowi nawet byłoby lepiej, jaśniej na świecie bezemnie? Cóż to za życie dla tego chłopczyny pomiędzy ojcem i matką, których przygnębienie wystarcza, by cały świat smutkiem zarazić... Nic mi nie będzie — wmawia w siebie z nieokreślonym pragnieniem, aby się przepowiednia ta nie sprawdziła.

Zimno jej, ale chociaż tak bardzo zmęczona, rozbudzona jest, podniecona. Silne klócie odczuwa w boku; jest to ból fizyczny, który znosi z pewnym rodzajem zadowolenia.

Za nią stoi stół, na którym kilka książek leży.

Zrana nadeszły; nie miała czasu do tej pory przejrzeć ich.

Przecina z wolna kartki: „Revue de deux Mondes.” Tytuł: „Fables orientales” czy jej przyciąga.

Zaczyna czytać, choć trudno jej uwagę zebrać; zimno coraz dotkliwiej czuć jej się daje i ból w pierśsiach wzrasta co chwila; przecież nie chce się poddać chorobie. Czyta dalej. Kilka zdań zaciekawiło ją widocznie. Teraz zapomniała o zimnie, o znużeniu i czyta. Chaldejskie podania opierają się często na astronomii. Jedna z ładniejszych legend osnuta jest na tle gwiazdy do mgły, a raczej mgły do gwiazdy podobnej. Zjawisko to na niebie niejasnym było dla pasterzy-astronomów. Legenda wspomina, że ktokolwiek okiem błędził za taką mglistą gwiazdą, ginął. Mgła, czy gwiazda, na manowce prowadziła, przynosząc nieszczęście zagadkowym światłem swoim.

Halka czytać przestała.

Nagle stanęły jej w pamięci rozmowy z Kilańskim, jego wiara w przeznaczenie, jego porównanie jej z mgławicą. Umysł jej znużony był; nie była zdolną zrobić żadnego wysiłku, nie zastanowiła się krytycznie nad tem, co przeczytała. Doznawała dziwnego wrażenia. Zabobonna była zawsze, a w tej chwili owo wschodnie podanie nabrało dla niej znaczenia doniosłego bardzo; wiązało się z jej życiem; do niej się odnosiło.

Zdawało jej się, że dawno już знаła tę legendę,

nie dziwiła się, nie zastanawiała. To o niej była mowa, widocznie o niej. To ona nieszczęście przynosi.

— Mglawicą mnie nazwał, a mglawice nieszczęście przynoszą.

To jedno tylko wiedziała.

Zamęt jakiś czuła w głowie; krytycyzm, tak, jak i wszystkie zdolności umysłowe w chaosie zupełnym pogrążone były. Uczucia nawet zdawały się zastygać. Nie myślała już o Stasiu, nie myślała o mężu; mgła snuła się jej przed oczami.

Nie dziwiła się temu.

— To mglawice! — myślała nawpół przytomna — one nieszczęście przynoszą.

Ale ani się bała, ani zastanawiała nad tē. Czuła tylko, że jej zimno.

Automatycznie podniosła się z miejsca i, wiedzioma instynktem samozachowawczym, poczęła się rozbierać. Nie zadzwoniła na służącą, zapomniała o istnieniu dzwonka, o istnieniu ludzi w ogóle. Położyła się do łóżka machinalnie, nie zdając sobie sprawy z czynów swoich. Osłabiona była fizycznym wysiłkiem i znemu mgła zdawała się oczy jej zaszuwać.

— To mglawica! — powtarzała, nie dziwiąc się niczemu.

Gdy chwilami zdawała sobie sprawę z tego, że leży w łóżku i że coś niezwykłego się dzieje, myślała:



— Może chorą jestem? Tem lepiej. Gdybyż choć w chorobie o życiu zapomnieć!

Herbatę wieczorną zwykle Halka do swego pokoju podawać kazała. Dzwoniła wtedy, przywołując służącego.

Już minęła godzina, o której zwykła dzwonić, dziewiąta, dziesiąta. Cisza zupełna.

Bonę odesłała do jej pokoju, gdy powróciła z obiadu.

— Sama przy Stasiu posiedzę — rzekła. — Gdybym czego potrzebowała, zadzwonię.

Złoczowski także wyczekiwał głosu dzwonka; wiedział, że wtedy w pokoju żony ogień się pali na kominku i wesołe blaski rzuca na smutny obraz samotnej kobiety, bo wtedy Staś spał już zwykle.

O tej to porze serce męża najgoręcej wrywało się do tego ciepłego gniazda rodzinnego. Wtedy wspomnienia rozkosznych godzin, spędzonych tam, obok Halki, do szaleństwa, do rozpaczycy go doprowadzały. Dzwonek wieczorny, jej ręką dotknięty, był dla niego sygnałem głębszego jeszcze cierpienia. Tylko jedno piętro ich dzieliło i wola jego. Ale wola ta położyła granice przepaści, nieprzebyte zapory między nimi.

Dziś i on dzwonka oczekiwał: to przecież dowód życia. Te długie wieczory takie smutne, takie smutne, jakby nikt żyjący nie mieszkał w tym domu!

Więc, gdy dziewiąta minęła, a ciszy wielkiej głos

żaden nie przerwał, Złoczowski wezwał Jacentego.

— Idź się dowiedz, co się na górze dzieje — rzekł.

Po chwili Jacenty wrócił.

— Proszę jaśnie pana, pewnie tam śpią wszyscy, bo mi nikt nie odpowiedział. Nie śmiałem wejść.

— Poślij bonę — rzekł, bardziej jeszcze zaniepokojony.

Nie minęło pięć minut, gdy stara „pani bońcia,” jak ją w domu nazywano, zeszła z góry niezwykle pośpiesznym krokiem.

— Pani chora — rzekła. — Febrę ma, czy co? Drży cała, a takie ma wypieki na twarzy, że i chyba gorączka być musi.

Złoczowski zadzwonił i znowu Jacenty się ukazał.

— Niech Marcin natychmiast konie zakłada do żółtej bryczki i jedzie po doktora.

Rozkaz spełniono. On tymczasem stał na środku pokoju, wahający się, zatrwożony, w niepewności co czynić.

— Pójść do żony — dyktowało mu serce. — To śmieszne. Zkądże ta pewność, że ona doprawdy chora? Nic jej nie będzie! — mówiła, czy ta próżność która żądała od niego konsekwencyi w raz obranym kierunku, czy zawsze ten sam żal głęboki do ukochanej istoty, na której gdy się zawiódł, to już i świat cały otchłanią pełną zbrodniarzy mu się wydał.

Pozostał na miejscu.

Tymczasem bona, siedząc obok Halki, mówiła:

— Pan posłał po doktora.

Halka zupełnie zrozumiała, o co chodzi. W pierwszej chwili zdawało jej się, że Staś zachorował, i zerwała się raptownie, wołając:

— Co mu jest? co mu jest?

Oczy jej błyszczały gorączkowo. Stara kobiecina za ręce ją schwyła.

— Jemu nic nie jest, nikomu nic nie jest, tylko pani chora—mówiła dobitnie—trzeba cichutko leżeć.

— Ja chora?—pytała Halka ze zdziwieniem, nie zdając sobie sprawy z niczego.

Ale gdy pomyślała, że chodzi o dziecko, doznała chwilowego gwałtownego wstrząśnienia; teraz, skutkiem reakcyi, umysł jej otrzeźwiał trochę.

— Chora jestem — rzekła w końcu — i uśmiech zadowolenia zajaśniał na jej twarzy. — To bardzo dobrze, że jestem chora.

Nie wiedziała, że mówi głośno.

— Majaczy — pomyślała przerażona bońcia.

I zostawiając pannę służącą przy pani, pobiegła do Złoczowskiego.

— Pani bardzo chora być musi — rzekła. — Już i majaczy teraz.

Złoczowski przestał się namyślać: czy iść, czy nie iść. W kilku skokach był na górze. Od lat całych służba nie widziała go poruszającego się z taką



energią i szybkością. Ale bońcia pomyliła się: Halka nie majaczyła. Była tylko chwilowo odurzona i zmęczona bardzo. Kilka słów, które zamieniła, wystarczyły, by jej wrócić całą przytomność umysłu. Już zdawała sobie sprawę ze wszystkiego.

— Muszę mieć gorączkę—myślała—głowę i ręce mam rozpalone. Ale to nic nie szkodzi. Tém lepiej. Będę mocno chora. W boku kłócie czuję coraz silniejsze. Ciekawa jestem: co to będzie? Nigdy nie chorowałam. Zaziębiłam się dzisiaj. To nic; za to Staś zdrow jest zupełnie. Co to kogo może obchodzić, że ja chora? Stasiowi przykro będzie, ale dziecko jeszcze nie pojmie. Póki będę chora, póty ojciec będzie dobry dla niego. O tém nie wątpię. Po doktora posłał. . No, tak, posłałby tak samo, gdyby kto ze służby zasłał. Sam nie przyjdzie. Ciekawa jestem, czyby mi darował, gdybym umierała?... Ale na co o tém myśleć; nie tak łatwo się umiera. Jeszcze tu pewnie długo przyjdzie pokutować, póki Bóg się nie zlituje.

Po głowie jej myśli przesuwiają się z błyskawiczną szybkością jeszcze, dobitne, zda się słyszy wyraźnie każde słowo wymówione. Chwilami machinalnie ręką lewy bok przyciska, ból chcąc przytłumić.

Nagle oczom nie dowierza. Może doprawdy straciła przytomność? To mąż jej stoi we drzwiach; zatrzymał się chwilę, jakby onieśmielony, jakby czekał jej pozwolenia, by iść dalej.

Od przeszło trzech lat noga jego w jej sypialni nie postąpiła. Gdy Staś chorował, łóżeczko jego przeniesione było do dzieciennego pokoju. W zwykłych okolicznościach sypiał obok matki, ale Złoczowski odmawiał sobie nawet tej pociechy, by syna śpiącego w czoło na dobranoc pocałować. Więc Halka nie pojmuje, co się stało? Bardzo chora być musi, ale nie, nie przyzna się do niczego, nie chce się ratować, na co?

Złoczowski już jest przy niej; pochylony nad nią, przygląda jej się bardzo zaniepokojony.

— Czy cię co boli? — pyta, choć z tak wielką trudnością przychodzi mu zmienić ton oschły i zimny na pełen współczucia, a jednak serce jego żal i niepokój rozsadza.

— Nie — odpowiedziała Halka — dziękuję ci Czesiu, mnie nie nie jest. Niepotrzebnie posłałeś po doktora; jutro wstanę.

— Jednak gorączkę masz widocznie?

— To tylko wypieki z wiatru. Nie mi nie będzie.

— Może lepiej byłoby chiny zażyć? Jest w domu, to w każdym razie nie nie zaszkodzi.

— Doprawdy, że nie potrzeba. Zbytecznie cię trudzili.

Złoczowski stał wzruszony i zakłopotany. Byłby chciał zostać, usiąść obok niej i czuwać nad nią, bo mimo jej zapewnień niespokojny był. Ale tak się usunął od tej kobiety, że dziś poprostu nie śmiał już

do praw swych powrócić. Zdawało mu się, że i dla niej obcym być musi.

Wahał się chwilę; nareszcie zapytał:

— Pozwolisz, że jeszcze przyjdę za godzinę dowiedzieć się: co tu słychać?

— Dziękuję ci bardzo — odparła Halka, więcej jeszcze od niego zakłopotana.

— Może zaśniesz. Staraj się zasnąć. Wejdę ciicho, to cię nie obudzę.

— Dziękuję ci. Może zasnę.

I była mu wdzięczną z głębi serca w tej chwili; ale rozczulenie prędko przeszło.

— Zrobił to z poczucia obowiązku, dla oczu ludzi — pomyślała. — Cóż go moje zdrowie obchodzi? Gdyby mnie nie było, życie jego byłoby daleko znośniejszem. I może byłby jeszcze swobodnym tak, jak dawniej. Ja go tylko krępuję.

Powoli myśli jej płatać się zaczynają, bezład w nich panuje. Wszystko wiąże się w jeden obraz: mąż jej i Kilański, Staś i mgławica, unosząca się nad nim. Rzeczywistość przestaje istnieć. Ale i to chwilowem jest tylko. Halka przypomina sobie, że lada chwila mąż nadejdzie. Myśl ta niepokoi ją, wzrusza, drażni i cieszy równocześnie. Gdyby nie przyszedł, przykroby jej było. A jeżeli przyjdzie, jeżeli odezwie się szorstko? Więc prawie boi się tego.

Pocichu, z niesłychaną ostrożnością, wsuwa się Złoczowski. Halka oczy przymknęła.



— Niech myśli, że śpię; to będzie najmniej kłopotliwe dla nas obojga.

Zbliżył się do jej łóżka, popatrzał na nią. Przekonany, że śpi, rękę na czole jej lekko położył. Głowa rozpalona była.

Coraz większa trwoga go ogarnia, litość podnosi się w jego sercu. Żal mu jej, tak mu jej żal, że mógłby już zapłakać nad nią głośno. Nie analizuje uczuć swoich. Wzruszony jest do głębi; w tej chwili to jedno tylko wie, że ją kocha.

Nie, nie może oprzeć się pokusie, by choć ręki jej nie dotknąć ustami. Halka czuje nagle na swej rozpalonej ręce długi pocałunek. Coś dziwnego w niej się dzieje. Przemocą chciałaby stłumić wzruszenie, ale nerwy skolatane biorą górę, i oto dwie łzy staczają się z pod jej zamkniętych powiek po twarzy.

— Halko!—słyszysz imię swe wymówione z cicha. Otwiera oczy i spogląda na niego.

Jak się te oczy zmieniły od czasu, gdy ją pierwszy raz zobaczył. Teraz dopiero uderzyło go to. Dawniej zagadkowe były, teraz mówią o całej głębi uczuć, promienieją słodyczą i rezygnacją, tylko smutne są bardzo.

W tej chwili nie przychodzi mu na myśl, że ona pozbawiona jest serca i wszelkich zalet; w tej chwili wie to jedno tylko, że ją kocha.

— Obudziłem cię?

— Nie, ja nie spałam.

I dziwna rzecz, widocznie lody przełamane zostały, bo teraz żadnego już zakłopotania nie czuli; dobrze im było razem.

— Czemu płaczesz?

— To nic. Zmęczona jestem trochę.

— Powiedz prawdę, nic cię nie boli? Głowę i ręce masz rozpalone.

Ona nie ufała jeszcze.

— Gdy przestanie się obawiać — pomyślała — znowu nienawiść i pogardę okazywać mi będzie. Nie ma nadziei, by to się zmieniło.

W chorobie odpoczywa trochę i Staś także. Ale w tej chwili uczuła znowu klócie w lewym boku, bardzo dotkliwe; zapomniała, że do bólu lepiej się nie przyznawać, i twarz jej drgnęła boleśnie.

Złoczowski rękę jej schwycił.

— Powiedz, powiedz, co ci jest? Co ciebie boli?

Teraz wiedziała już, że jej zaprzeczanie tylko przykrość sprawiłoby mu. Więc odparła, siłąc się na głos obojętny:

— Widocznie zaziębiłam się: to drobnostka. Prześpię się i jutro zdrowa będę.

— Czy pozwolisz mi zostać tu chwilę?

— Naturalnie. Bardzo ci jestem wdzięczną.

Usiadł na krześle przy łóżku. Halka oczy zamknęła i pierwszy raz od dawnego czasu doznawała wielkiej ulgi. Lepiej jej było na świecie.

A jednak obecność męża silne wzruszenie w nią wywoływała. Podnieconą się czuła coraz więcej.

On widział, że nie zasypia.

— Pewnie jej przeszkadzam — pomyślał. — Może zaśniesz, jeżeli lampę zagaszę i wyjdę?

— Może—odparła, obawiając się, że mu kłopot sprawia, że sam spoczynku potrzebuje.

Raz jeszcze w rękę ją pocałował, ale teraz bardziej etykietałnie.

— Przyślę tu boncię; kilka godzin przedrzemie się na kanapie, a potem Jadwiga ją zastąpi.

— Nie rób tego, Czesiu. Doprawdy, że nikogo nie potrzeba. Jutro zdrowa będę.

Poszedł, rzeczywiście trochę uspokojony jej zapewnieniem.

Halka noc całą spędziła w wielkiem podnieceniu; zasypiała, ale sny straszne ją dręczyły, a co chwila budził ją dotkliwy ból w płucach i coraz silniej kaszlać poczynała.

— To nic. Tylko tyle wygranej, ile ja chora jestem. Przecież, choćym umrzeć miała, to lepsze, niż takie życie.

Stało się to u niej jedyną jasno określoną myślą. Zresztą nie była zdolna zastanowić się głębiej nad niczem. Owo wejście męża, gdy stanął nad nią, a myśląc, że śpi, ręce jej całował, snem jej się wydawało.

Nazajutrz, skoro tylko głos Stasia posłyszała,



zerwała się sama i pomimo perswazyi bońci i panny służącej, poczęła się ubierać.

W jej garderobie okno dopiero co zostało zamknięte, pokój pełny był jeszcze dotkliwego chłodu i wilgoci. Nie zważała na to. Zimną kąpiel wzięła, jak zwykle, pomimo dreszczy, które odczuwała. Robiła to wszystko z pewną zaciętością. Podnieconą była i niezupełnie odpowiadać mogła za czyny swoje. Jedna myśl tylko popychała ją do szkodzenia sobie samej:

— Gdybym umarła, to lepiej byłoby i dla niego i dla Stasia. Żałowałby mnie i dla dziecka byłby lepszym!

W godzinę później zeszła ze Stasiem na śniadanie do stołowego pokoju.

Złoczowski wiedział już, że się podniosła, więc uspokoił się; widocznie była to tylko chwilowa niedyspozycya. Wyciągnął do niej rękę na „dzień dobry”, ale chorobliwa jej cera i nienaturalnie świecące oczy zatrwożyły go znowu.

— Lepiej było w łóżku zostać — rzekł do niej.

— Nic mi nie będzie — choć znowu, cisnąc gwałtownie ręką bok lewy, starała się powstrzymać dotkliwy ból.

Dopiero teraz doktor nadjechał. Ale ani ona, ani mąż jej, zaufania do niego nie mieli.

Ruch, jaki się zrobił za jego wejściem, sprawił, że Halka, nie będąc zdolna nic do ust włożyć, myślała, iż nikt na to uwagi nie zwróci.

Jednak w chwilę później poczuła tak silny zawrót głowy, że tylko całym wysiłkiem woli powstrzymała się od zupełnego zemdlenia.

— Lepiej będzie położyć się—rzekła teraz, widząc, że bólu nie ukryje—jeżeli to ma być choroba, tém prędzej minie.

Doktor wkrótce poszedł za nią. Na liczne zapytania odpowiadała to samo:

— Trochę kłócia w lewym boku, nic więcej.

— Ale pani kaszle.

— To kataralne.

— Gorączka jest jednak. Może to i kataralne ale ja myślę, że będzie zapalenie oskrzeli.

— W każdym razie lekkie.

Na zapytanie Złoczowskiego: czy nie telegrafować po drugiego doktora?—miejscowy eskulap odparł stanowczo:

— To całkiem zbyteczne. Pani sama zapewnia, że nic jej nie jest.

I tak, gdy druga doba mijała, już było zapóźno. Daremnie telegramem Złoczowski dwóch doktorów zawezwał, daremnie dzień i noc przy Halce czuwali; gorączka wzrastała. Zapalenie płuc rozwijało się z całą gwałtownością.

Chwilami traciła zupełnie przytomność, nie wiedziała, co się z nią dzieje; chwilami jednak zdawała sobie sprawę z tego, że pewnie umrzeć przyjdzie. I wtedy trwoga ją ogarniała, nie przed śmiercią, bo

gdy się zastanowiła, to życia w dawnych warunkach bała się więcej jeszcze. Ale serce jej z żalu pękało, że z dzieckiem będzie trzeba się rozstać.

Daremnie Złoczowski, zapominając o wszelkich wyrokach potępienia, cały pochłonięty myślą, że stracić ją może, dwie noce przy niej spędził, blizki rozpacz. Daremnie głowę bólem skołataną do rąk jej tulił, daremnie spieczonemi usty dłonie jej całował: nie wierzyła teraz, tak, jak on jej przestał wierzyć.

Gdy myśli zebrać mogła, powtarzała sobie:

— To tylko chwilowe, gdybym była zdrowa...

Piątego dnia podnieconą była więcej, niż dni poprzednich. Dziecko kazała do siebie przywołać. Staś rzucił się jej na szyję, szlochając. Od dwóch dni jej nie widział.

Ona zwraca się do męża:

— Powiedz doktorowi, że chciałabym sama z wami zostać na chwilę — mówi.

Doktor wychodzi, nakazując Halce spokój:

— Proszę się nie wzruszać, nie unosić; gorączki podniecać nie trzeba.

Ale ona nie słyszy prawie.

— Już się dziś nie wyratuję — myśli. — Zapóźno.

Staś, przytulony do matki, płacze z cicha w tej



chwili; słyszał słowa doktora i chciałby ukryć żal swój.

Złoczowski siedzi obok żony, skamieniały z bólu; oddałby ostatnią kroplę krwi, by ją śmierci wyrwać, i wie, że to daremne.

— Czesiu — mówi Halka głosem, który z trudnością się wydobywa, bo oddech ból tamuje — mam do ciebie wielką, wielką prośbę, może ostatnią: musisz mi przysiąc, że spełnisz.

— Ty wiesz, że zrobię wszystko, co każesz.

— Potem ci powiem, nie teraz, nie przy Stasiu. Chciałam tylko, póki myśli mogę zebrać, zobaczyć was razem; męża i syna: bo ty mi teraz uwierzysz... ja was bardzo kocham obydwóch. Może nie umrę, ale gdybym umarła, to musielibyście sobie starczyć za świat cały, jeden drugiemu, ale nikt was tak kochać, jak ja, nie będzie, nie może...

— Mamo, mamo, nie mów tak, nie mów! — błaga dziecko, nie mogąc dłużej głośnego łkania powstrzymać.

Malec nie rozumie śmierci, nie rozumie niebezpieczeństwa, ale czuje, że matkę stracić może i że jest to czémś straszliwem, przerażającym.

Złoczowski rękę żony w swych ręku trzyma.

— Moja! moja!...

Chce coś powiedzieć, ale głos zachwiał się i skonał w cichym jęku.

— Nie płaczcie — mówi Halka — teraz to jest

okropne, ale Bóg wie, co robi: wszystkim będzie lepiej.

Stasia szlochaniem bona usłyszała; przestraszona, że matka na tém ucierpieć może, przyszła zabrać dziecko. On się nie opierał, sam czując, że łkania powstrzymać nie zdoła, choć powinien.

Halka z mężem sama została.

— Teraz, Czesiu, gdybym umarła, ja muszę wiedzieć, żeś ty mi darł wał! Powiedz, może tobie tak się tylko zdaje; może masz jeszcze na dnię duszy żal do mnie?

— Cicho, cicho!... -- błagał ją. — Ty wiész!..

Ale głos urywał się ciągle, a przecież dałby życie, by jej powiedzieć teraz, co czuje.

Zdobył się wreszcie na trochę siły i rzekł:

— Ja ci nie mam nic do darowania. Sam sobie uczyniłem zadość. Dręczyłem cię, Halko. Ty mi przebaczyć musisz i ty mi przebaczysz, boś lepsza odemnie. Ale widzisz, to pewnie dlatego, że cię tak po szalonemu kochałem. Teraz będzie inaczej. Zobaczysz. Teraz będziemy znowu szczęśliwi. Powiedz, Halko, że będziemy, powiedz, powiedz!

Ale ona milczała. W tej chwili i jej serce rwało się do życia, a czuła, że zapóźno już. Wyczytała to z oczu lekarzy, ze słów niedomówionych, przeczuwała zresztą.

— Bo czemu ty — mówił, ożywiając się Złoczowski, z żalem wielkim w głosie — czemu nie chcia-

łaś przyznać, że chora jesteś? Czemu wmawiałaś w siebie i w innych, że ci nie jest?

— Widzisz, Czesiu. To bardzo źle, ja ci się muszę przyznać. Ja chciałam umrzeć.

Gdyby własną ręką rozrywała krwawiące się rany serca jego, nie doznałby straszliwszego bólu, niż w tej chwili, gdy słów jej słucha.

— Chciałam umrzeć, bo bardzo byłam nieszczęśliwa. To było tchórzostwo z mojej strony. Teraz nie chcę już, ale Bóg mnie ukarze. Ja się tak bardzo bałam cierpienia, więc mi się sprzykrzyło życie. Myślałam, że mnie nie kochasz. Zawsze słaba byłam, i teraz się boję, więc mnie musisz uspokoić: przysięgniesz?

Podniecała się coraz więcej. Ochryplym, zdławionym głosem, mówiła ciągle; on jej przerywać nie śmiał:

— Bo widzisz, choremu nie odmówić nie wolno. Jeżeli mam umrzeć, to umrę spokojnie. Przysięgniesz, że dobrym będziesz dla Stasia? Że będziesz wyrozumiałym? Bo ja nie mogłabym umrzeć, gdyby... gdyby dziecko miało cierpieć. Już tyle złego zrobiłam! Niech przynajmniej nie dręczy się z mego powodu. Przysięgnij, Czesiu. Widzisz, dla chłopca wyrozumiałym być trzeba. Przecież doskonałości nie ma na świecie. Ty byłbyś doskonałym, gdybyś wybaczać umiał. Bądź dla niego ojcem i matką. Niech swego osierocenia nie czuje. Pamiętaj, Czesiu. Obie-



caj. Przez pamięć na mnie, bądź dobrym dla niego.

Ale on mówić nie może, nie może! Czuje, że gdy się odezwie, to łkać będzie głosem wielkim. Więc milczy. A ona, tylko jedną myślą owładnięta, woła ochryplym głosem:

— Przysięgnij!

— Przy... przysięgam — wyrzekł wreszcie, kłęząc obok niej.

Domyśliła się więcej, aniżeli zrozumiała odpowiedź jego, bo oto człowiek ten, który nigdy jeszcze łzy nie uрониł, płacze teraz, szlochając i jęcząc, a ciałem jego łkanie wstrząsa.

— Nie płacz, Czesiu, tak lepiej. Bóg wie, co robi. Poślij zaraz po księdza. Teraz jestem przytomna, lepiej być gotową, co? — pytała, siląc się na uśmiech.

Już ceremonia skończona; ksiądz z jednym z doktorów szepeczą z cicha w sąsiednim pokoju.

— Nie ma nadziei?

— Żadnej — odpowiada doktor bez wahania. — Zapóźno zostaliśmy wezwani. Ratunek był niemożliwy prawie.

Mija godzina za godziną. Halka nieprzytomna leży, chrapliwy oddech z trudnością z jej piersi się wydobywa.

Nad ranem oczy otwiera. Twarz męża widzi pochyloną nad sobą.

— Gdzie Staś? — pyta.

— Każę go zawołać.

W chwilę później matka kładzie krzyż na głowie dziecka:

— Bądź dobrym, Stasiu. Kochaj ojca za mamę i za siebie. Ufaj mu, on dobry. Kochaj ojca i módl się za mamę, prosź Boga, żeby... że...

Nie domówiła ostatnich wyrazów, tehu jej za brakło, oczy zmęczone zamknęła.

. . . . .

Mijały miesiące. Złoczowski był dla syna, po dług obietnicy Halce uczynionej, przyjacielem, rówieśnikiem, nauczycielem, niańką, ojcem i matką. Tylko przez pamięć na zmarłą, by dziecku życie osłodzić, zdobywał się na uśmiech i na ożywienie. Po za tём ze smutku otrząsnąć się nie mógł. Smutek zrósł się z sercem jego i korzenie puścił tak głęboko, że tylko śmierć wyrwać go ztamtąd mogła.

Dziecko jednak, gdy pierwszy żal za matką miał, było szczęśliwe. Towarzysza w równym wieku wybrał ojciec dla niego, by mu weselej było.

Nie łajał, nie karcił, prosił tylko, zachęcał, perswadował, radził, wyjaśniał każdą zawilóść życia, ostrzegał o każdym niebezpieczeństwie.

Halki pokój nietknięty został. Meble stały w tym samym porządku, w którym były, gdy ona tam mieszkała.

Złoczowski lubił tam spędzać wieczorne godziny.

Długi czas umysł miał tak zmęczony, że czytać nie mógł, myślą odrętwiałą nie potrafił nawet biedz za przeszłością. Powoli jednak siły powracać mu zaczęły. Chciał zawładnąć znowu pamięcią, zdolnościami, chciał żyć dla dziecka.

Książka o naśladowaniu Jezusa Chrystusa stała się dla niego źródłem pociechy. Poddał się woli Bożej.

W rocznicę śmierci żony lampa paliła się w jej pokoju. Złoczowski siedział na tém samém miejscu, z którego patrzył na nią, gdy oczy na wieki zamknęła,

Znużony myślami, otworzył... Rozdział jeden zaznaczony był ołówkiem. Ta książka, to „Boska Komedia“ Dantego i odczytuje po raz setny może słowa, które na pamięć już umie:

„Niech tedy ludzie w sądach swych nie będą  
Zanadto ufni, jak ten, który ceni  
Zboże na polu, nim dojrzało jeszcze.

Widziałem bowiem krzew, co zimę całą

Zdawał się niby suchy i ciernisty,

Później różami czoło swe ozdobił.

Widziałem okręt, co prosto i żywo

W ciągu żeglugi biegł przez morskie tonie,

I zginął w końcu u wnijścia zatoki.

Niech więc pan Marcin, ani jejmość Berta,

Nie myślą wcale, widząc, że ktoś kradnie,

A drugi niesie kościołom ofiary,

Że w łono sądów Bożych już zajrzeli;

Bo tamten powstać, a ten — upaść może.”

K O N I E C .

71/14.716/2



akc. 94/66K

<http://rcin.org.pl>







8271/63

A. 7/2

14.716

2.